

ONA ZADAJE PYTANIE  
ON JEST ODPOWIEDZIĄ

# GDY SŁOWA ZAWODZĄ



**JULIE BUXBAUM**

Polecamy tej samej autorki

COŚ O TOBIE  
I COŚ O MNIE

GDY SŁOWA  
ZAWODZA

J U L I E B U X B A U M

GDY SŁOWA  
ZAWODZA

Przełożyła z angielskiego  
Donata Olejnik



WROCŁAW 2017

Tytuł oryginału  
*What to Say Next*

Projekt okładki  
© 2017 BY THOMAS SLATER

Redakcja  
ANNA JACKOWSKA

Korekta  
URSZULA WŁODARSKA

Redakcja techniczna  
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Text copyright © 2017 by Julie R. Buxbaum, Inc.

Polish edition © Publicat S.A. MMXVII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,  
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-271-5806-2



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

e-mail: [ksiaznica@publicat.pl](mailto:ksiaznica@publicat.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

Dedykacja

Rozdział pierwszy. DAVID

Rozdział drugi. KIT

Rozdział trzeci. DAVID

Rozdział czwarty. KIT

Rozdział piąty. DAVID

Rozdział szósty. KIT

Rozdział siódmy. DAVID

Rozdział ósmy. KIT

Rozdział dziewiąty. DAVID

Rozdział dziesiąty. KIT

Rozdział jedenasty. DAVID

Rozdział dwunasty. KIT

Rozdział trzynasty. DAVID

Rozdział czternasty. KIT

Rozdział piętnasty. DAVID

Rozdział szesnasty. KIT

Rozdział siedemnasty. DAVID

Rozdział osiemnasty. KIT

Rozdział dziewiętnasty. DAVID

Rozdział dwudziesty. KIT

Rozdział dwudziesty pierwszy. DAVID

Rozdział dwudziesty drugi. KIT

Rozdział dwudziesty trzeci. DAVID  
Rozdział dwudziesty czwarty. KIT  
Rozdział dwudziesty piąty. DAVID  
Rozdział dwudziesty szósty. KIT  
Rozdział dwudziesty siódmy. DAVID  
Rozdział dwudziesty ósmy. KIT  
Rozdział dwudziesty dziewiąty. DAVID  
Rozdział trzydziesty. KIT  
Rozdział trzydziesty pierwszy. DAVID  
Rozdział trzydziesty drugi. KIT  
Rozdział trzydziesty trzeci. DAVID  
Rozdział trzydziesty czwarty. KIT  
Rozdział trzydziesty piąty. DAVID  
Rozdział trzydziesty szósty. KIT  
Rozdział trzydziesty siódmy. DAVID  
Rozdział trzydziesty ósmy. KIT  
Rozdział trzydziesty dziewiąty. DAVID  
Rozdział czterdziesty. KIT  
Podziękowania  
Przypisy

*Joshowi, wodzowi mojego pierwszego plemienia  
Jestem Ci głęboko wdzięczna za to, że pozwoliłeś  
mi do niego należeć. Kocham Cię.*

*A także Indy'emu, Elili i Luce: mojemu sercu, rozumowi,  
domowi i plemieniu. Mojemu życiu*

*Księga miłości to długi i nudny tom.  
Nikt tego cholerstwa nie uniesie.*

The Magnetic Fields

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

# DAVID

**W**ydarzenie bez precedensu: Kit Lowell usiadła obok mnie w stołówce. Zawsze siedzę sam, a kiedy mówię *z a w s z e*, to nie jest wyolbrzymione sformułowanie stosowane powszechnie przez moich rówieśników. W ciągu 622 dni mojej nauki w tej szkole średniej ani jedna osoba nie zajęła miejsca obok mnie podczas obiadu, co chyba usprawiedliwia dobór słowa „wydarzenie” na określenie tego, że Kit usiadła tak blisko, iż niemal muska mnie łokciem. Od razu mam ochotę otworzyć notes i sprawdzić, co napisałem na jej temat. Pod K jak „Kit”, a nie L jak „Lowell”, bo chociaż jestem niezły, jeśli chodzi o fakty i wiedzę naukową, nie mam zupełnie głowy do imion ani do nazwisk. Z jednej strony dlatego, że imiona to przypadkowe słowa całkowicie pozbawione kontekstu, a z drugiej, ponieważ rzadko pasują do osób, które je noszą. Jeśli się nad tym zastanowić, to całkiem zrozumiałe. Rodzice nadają dziecku imię, kiedy nie mają jeszcze żadnych informacji na temat tego, jakie będzie. Kompletnie nielogiczna praktyka.

Weźmy na przykład Kit. To nie jest jej prawdziwe imię, w rzeczywistości brzmi ono „Katherine”, ale nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek zwracał się do niej w ten sposób, nawet w szkole



podstawowej. Kit nie wygląda wcale na Kit, to określenie pasuje bowiem do sztywnej, kanciastej osoby, łatwej do zrozumienia dzięki zestawowi prostych instrukcji<sup>[1]</sup>. Dziewczyna, która siedzi obok mnie, powinna mieć w imieniu literę Z, ponieważ jest zagmatwana i zygzakowata, w dodatku pojawia się w zaskakujących miejscach – na przykład przy moim stoliku w stołówce. I jeszcze cyfrę osiem, ze względu na kształt klepsydry. Oraz literę S, bo to moja ulubiona. Lubię Kit, nigdy nie była wobec mnie niemiła, niestety nie mogę tego samego powiedzieć o większości osób z klasy. Szkoda, że rodzice dali jej niewłaściwe imię.

Ja jestem David, i to też nieodpowiednie imię, ponieważ na świecie jest mnóstwo Davidów – kiedy sprawdzałem ostatnio, w samych Stanach było ich 3 786 417. Dlatego właśnie wszyscy zakładają, że będę taki jak inni ludzie. A przynajmniej względnie neurotypowy, co jest naukowym, mniej tendencyjnym określeniem normalności. Niestety, tak nie jest. W szkole nikt nie woła na mnie po imieniu, z rzadka ktoś nazwie mnie debilem albo homo, choć to niezgodne z prawdą. Mój iloraz inteligencji wynosi 168 i czuję pociąg do dziewczyn, a nie do chłopaków. Poza tym „homo” to negatywny termin oznaczający geja, a nawet jeśli moi koledzy z klasy myślą się co do mojej orientacji seksualnej, nie powinni używać takich słów. W domu mama mówi do mnie „synu” – nie mam z tym problemu, bo to prawda – tata natomiast zwraca się per „Davidzie”, a to trochę jak noszenie drapiącego swetra ze zbyt ciasnym golfem. Z kolei moja siostra nazywa mnie Małym D. i z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu to idealne rozwiązanie, chociaż wcale nie jestem mały. Mam metr osiemdziesiąt osiem wzrostu i ważę siedemdziesiąt pięć kilogramów. Moja siostra ma metr sześćdziesiąt i waży czterdzieści osiem kilo. Powinienem nazywać ją Małą L., od Lauren, ale mówię na nią Miney<sup>[2]</sup> – zacząłem jako dziecko, bo zawsze miałem wrażenie, że tylko ona na tym całym

chaotycznym świecie należy do mnie.

Miney wyjechała na studia, a ja bardzo za nią tęsknię. To moja najlepsza przyjaciółka – a technicznie rzecz biorąc, jedyna – ale mam przeczucie, że nawet gdybym cieszył się wieloma przyjaciółmi, ona i tak byłaby najważniejsza. Jak dotąd jest jedyną osobą, która pomogła mi w tym, żeby bycie mną stało się odrobinę łatwiejsze.

W tym momencie już się zapewne domyślacie, że jestem inny. Ludzie zwykle bardzo szybko sobie to uświadamiają. Jeden z lekarzy uznał, że mogę być granicznym przypadkiem zespołu Aspergera, co jest głupotą, ponieważ nie istnieje coś takiego jak graniczny przypadek zespołu Aspergera, gdyż taka opcja została usunięta w 2013 roku z DSM-5 (kolejna edycja *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders*). Teraz osoby z takimi cechami są uważane za dotknięte autyzmem wysokofunkcjonującym, co też wprowadza w błąd. Autyzm to zaburzenie wielowymiarowe, a nie liniowe. Tamten lekarz ewidentnie był idiotą.

Z ciekawości przeprowadziłem własny wywiad w tym zakresie (kupiłem używany DSM-4 na eBayu, piątka była zbyt droga) i chociaż brakuje mi odpowiedniego wykształcenia medycznego, żeby dokonać pełnej oceny diagnostycznej, nie sądzę, by ta etykieta do mnie pasowała.

Owszem, bywa, że w różnych sytuacjach społecznych wpadam w tarapaty. Lubię porządek i rutynę. Kiedy coś mnie zainteresuje, potrafię się tak na tym skupić, że ignoruję wszystkie inne sprawy. I zgadza się, jestem niezdarny. Ale jeśli muszę, nawiązuję kontakt wzrokowy. Nie cofam się przed dotykiem. Rozpoznaję większość idiomów, chociaż dla pewności zapisuję je sobie w notesie. Wydaje mi się, że jestem empatyczny, chociaż nie mam pojęcia, czy to prawda.

Zresztą nie wiem, czy to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie, czy jestem dotknięty zespołem Aspergera, skoro to schorzenie już nie

istnieje. To tylko jedna z wielu etykiet. Weźmy na przykład słowo „osiłek”. Gdyby wystarczająca liczba psychiatrów wykazała się dobrą wolą, mogliby dodać je do DSM i zdiagnozować wszystkich chłopaków z naszej szkolnej drużyny futbolowej. Cechy charakterystyczne obejmują co najmniej jedno z trzech: 1) świetna forma fizyczna, zwłaszcza połączona ze strojem z lycry; 2) nienaturalna łatwość, z jaką przychodzi im przywiązywanie sobie twardego pojemnika wokół penisa; 3) bycie dupkiem. Nieistotne, czy nazwiecie mnie Aspie, dziwolągiem, czy nawet debilem. Naprawdę chciałbym być taki jak inni. Niekoniecznie jak osiłki, bo wolałbym nie być gościem, który prześladowa takich jak ja. Ale gdybym miał szansę skorzystać z cudownej aktualizacji – z Davida 1.0 do Davida w wersji 2.0, która wie, co należy mówić w codziennych sytuacjach – zrobiłbym to bez wahania.

Może rodzice nadają dzieciom imiona na zasadzie pobożnego życzenia. Jak człowiek, który idzie do restauracji, zamawia krwisty stek i chociaż nie istnieje żadna uniwersalnie przyjęta definicja słowa „krwisty”, spodziewa się otrzymać dokładnie to, na co ma ochotę.

Moi rodzice zamówili Davida. Zamiast tego dostali mnie.

W moim notesie:

KIT LOWELL: Wzrost: 162 cm. Waga: około 57 kg. Falowane brązowe włosy, w dni klasówek, deszczu i w większość poniedziałków nosi je ściągnięte w kitkę. Skóra lekko brązowa, ponieważ jej tata – dentysta – jest biały, a mama to Hinduska. Ranking klasowy: 14. Zajęcia: szkolna gazeta, kółko hiszpańskiego, klub organizatorów szkolnych wydarzeń.

#### Istotne kontakty

1. Trzecia klasa podstawówki: Powstrzymała Justina Cho, gdy chciał mi naciągnąć majtki wysoko aż na plecy.
2. Szósta klasa podstawówki: Zrobiła dla mnie kartkę walentynkową. (Uwaga: K.L. przygotowała kartki dla wszystkich chłopców, nie tylko dla mnie. Ale i tak było to miłe. Nie licząc brokatu, który jest nie do opanowania i ma właściwości klejące, a je nie lubię rzeczy, które się kleją i nad którymi nie można zapanować).
3. Druga klasa gimnazjum: Po sprawdzianie z matematyki zapytała, co dostałem. Odparłem, że sto procent, na co powiedziała: „Wow, chyba się dobrze przygotowałeś”. Odpowiedziałem: „Nie. Równania kwadratowe są proste”. Odparła: „Eeee. Aha”. (Kiedy później powtórzyłem naszą rozmowę Miney, stwierdziła, że trzeba było jej powiedzieć, że się dużo uczyłem, nawet gdyby to

miało być kłamstwo. Ale ja nie jestem dobrym kłamcą).

4. Druga klasa liceum: Kit się do mnie uśmiechnęła, kiedy tylko nasze dwa nazwiska zostały ogłoszone przez megafon, zdobyliśmy bowiem stypendium naukowe. Już miałem powiedzieć: „Gratuluję”, kiedy Justin Cho rzucił: „Cholera, dziewczyno!” i ją wyściskał. A potem ona już na mnie więcej nie spojrzała.

#### Najważniejsze cechy

1. W zimne dni naciąga na dłonie rękawy, zamiast włożyć rękawiczki.
2. Jej włosy nie są lokowane, ale też nie proste. Zwisają w postaci powtarzających się przecinków, raz skierowanych w jedną stronę, raz w drugą.
3. Jest najładniejszą dziewczyną w szkole.
4. Na wszystkich krzesłach siada „na kokardkę”, nawet na bardzo wąskich.
5. Przy lewej brwi ma ledwo widoczną bliznę, która wygląda niemal jak litera Z. Zapytałem kiedyś Miney, czy uważa, że mógłbym jej dotknąć, bo jestem ciekaw, jaka jest pod palcami. Odparła: „Sorry, Mały D. Moja magiczna kula numer osiem mówi, że marne szanse”
6. Jeździ czerwoną toyotą corollą o numerze rejestracyjnym XHD893.

#### Przyjaciele

Przyjaźni się praktycznie ze wszystkimi, ale najczęściej trzyma się z Annie, Violet i Dylan (dziewczyną Dylan, nie Dylanem chłopakiem). Do cech charakterystycznych tej grupy, z wyłączeniem Kit, należą wyprostowane włosy, niewielki trądzik i piersi większe od przeciętnych. Przez pięć dni w ubiegłym roku szkolnym Kit chodziła za rękę z Gabrielem, od czasu do czasu przystawali, by się pocałować, ale już tego nie robią. Nie lubię Gabriela.

Dodatkowe uwagi: Jest miła. Miney wpisuje ją na listę osób godnych zaufania. Popieram.

Oczywiście nie otwieram notesu w obecności Kit. Nawet ja zdaję sobie sprawę, że to idiotyczny pomysł. Ale dotykam jego grzbietu, bliskość notesu koi mój niepokój. Pisanie było pomysłem mojej siostry. Jeszcze w gimnazjum, po incydencie w szatni, nieistotnym z punktu widzenia tej opowieści, Miney uznała, że jestem zbyt ufny. Najwyraźniej w przeciwieństwie do mnie większość osób nie zawsze mówi prawdę. Wystarczy wspomnieć ten pomysł z kłamstwem odnośnie do sprawdzianu z matematyki, o którym wcześniej wspominałem. Dlaczego miałbym kłamać, że się uczyłem? To idiotyzm. Równania kwadratowe są proste, taka jest prawda.

– A więc twój tata nie żyje – mówię, ponieważ to pierwsze, co przychodzi mi do głowy, gdy Kit siada obok. Dla mnie to nowa informacja, której jeszcze nie wpisałem do notatnika, ponieważ dopiero się o tym dowiedziałem. Zwykle o wszystkim w klasie dowiaduję się jako ostatni. Jeśli w ogóle. Ale dzisiaj rano Annie i Violet rozmawiały o Kit przy szafce Violet, która to szafka – tak się składa – znajduje się nad moją. Jak stwierdziła Annie, „Kit jest zupełnie rozwalona od tej historii z tatą.” Zwykle nie podsłuchuję innych w szkole – większość z tego, co mówią, to nudy, brzmiące jak muzyka w tle, coś ostrego, łomoczącego, jak heavy metal – ale z jakiejś przyczyny to zdanie się przebiło przez mój pancerz. Potem zaczęły rozmawiać o pogrzebie, o tym, że to dziwne, bo one płakały bardziej niż Kit. I że to niezdrowe tak dusić w sobie uczucia, co było idiotycznym sformułowaniem, gdyż uczucia nie mają masy, a one nie są lekarkami.

Chętnie wybrałbym się na pogrzeb taty Kit, chociażby dlatego, że znajdował się na mojej liście miłych osób, a rozumiem, że jeśli ktoś z tej listy umiera, należy iść na jego pogrzeb. Tata Kit, pan Lowell, jest – to znaczy był – moim dentystą i nigdy nie narzekał, że moje wygłuszające słuchawki przeszkadzają mu w borowaniu. Po plombowaniu zawsze wręczał mi czerwony lizak, co trochę mija się z celem, ale jest bardzo miłe.

Spoglądam na Kit. Nie wygląda na rozwaloną, co więcej, sprawia wrażenie o wiele bardziej poukładanej niż zwykle. Ma na sobie męską koszulę, chyba świeżo wyprasowaną. Jej policzki są różowe, oczy nieco wilgotne, a ja muszę odwrócić głowę, bo jest tak oszałamiająco piękna, że nie da się na nią długo patrzeć.

– Szkoda, że nikt mi o tym nie powiedział, poszedłbym na pogrzeb – ciągnę. – Dawał mi lizaki.

Kit patrzy przed siebie, ale milczy. Uznaję, że to zgoda na to, bym mówił dalej.

– Nie wierzę w istnienie nieba. W tym akurat zgadzam się z Richardem Dawkinsem. Myślę, że ludzie wmawiają sobie, że istnieje, ponieważ ostateczność śmierci mniej ich wtedy przeraża. A już zupełnie nieprawdopodobne są powtarzające się motywy aniołków i białych obłoków. Wierzysz w niebo? – pytam. Kit nadgryza kanapkę, ale nie odwraca głowy. – Przypuszczam, że nie, ponieważ jesteś bardzo inteligentną osobą.

– Nie obraż się, ale nie miałbyś nic przeciwko, gdybyśmy nie rozmawiali? – pyta.

Jestem pewien, że nie oczekuje odpowiedzi, ale i tak jej udzielam. Miney umieściła hasło „nie obraż się, ale...” na liście rzeczy, na które należy uważać. Podobno nigdy nic dobrego po nim nie następuje.

– Nawet wolałbym – mówię. – Ale powiem jeszcze tylko jedno: twój tata nie powinien był umrzeć. To bardzo niesprawiedliwe.

Kit kiwa głową, a wtedy podrygują przecinki jej włosów.

– Tak – odpowiada.

Kończymy jedzenie kanapek – moje są z masłem orzechowym i dżemem, ponieważ to poniedziałek – w milczeniu.

Myślę, że to dobra cisza.

## ROZDZIAŁ DRUGI

# KIT

**N**ie wiem, dlaczego nie siadam w stołówce z Annie i Violet. Czuję na sobie ich wzrok, gdy mijam nasz zwyczajowy stolik znajdujący się z przodu – w idealnym miejscu, z którego widać *w s z y s t k i c h*. Zawsze tam siadałam. Zawsze. Od czasów gimnazjum jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, więc wymijając je bez choćby pomachania ręką, wygłaszam stanowczy komunikat. Ale kiedy weszłam i zobaczyłam, jak rozmawiają, śmieją się i są takie zupełnie normalne, jakby nic się nie zmieniło – i owszem, zdaję sobie sprawę, że dla nich faktycznie nic się nie zmieniło, że ich rodziny są takie same, a tylko moje życie wywróciło się do góry nogami – od razu zrozumiałam, że nie dam rady. Nie dałabym rady usiąść, wyjąć swojej kanapki z indykiem i zachowywać się tak, jakbym była starą, dobrą Kit. Kit, która z pewnością zażartowałaby sobie ze swojej koszuli. Włożyłam ją, żeby uczcić pamięć taty, z idiotyczną nadzieją, że w ten sposób się do niego zbliżę, chociaż w rzeczywistości czuję się jak wyrzutek społeczny i jestem jeszcze bardziej zdezorientowana tym wszystkim niż wcześniej. Ta koszula przypomina o tym, czego nie muszę sobie przypominać. Nigdy nie zapomnę ani sekundy z tego, co się zdarzyło.

Czuję się głupio. Czy to możliwe, że żałoba robi z człowiekiem coś takiego? Jakbym chodziła po szkole w hełmie astronauty. To otępienie, nieprzepuszczalne jak hartowane szkło. Nikt nie rozumie, przez co przechodzę. Zresztą jak miałiby to rozumieć, skoro ja sama nie potrafię?

Miałam wrażenie, że bezpieczniej będzie usiąść z tyłu, z dala od koleżanek, które już zajęły się innymi ważnymi sprawami, jak na przykład tym, czy uda Violet wydają się grube w jej nowych dzinsach o podwyższonym stanie; z dala od wszystkich osób, które w ciągu ostatnich dwóch tygodni zaczepiały mnie na korytarzu z fałszywie zatroskaną miną i mówiły: „Kit, tak bardzo mi przykro z powodu twojego taaaaaty”. Wszyscy przeciągają sylabę „ta”, jakby się bali wyjść poza to jedno zdanie, jakby spodziewali się nieuchronnej katastrofy w rozmowie. Moja mama uważa, że nie powinniśmy za wszelką cenę pomagać innym czuć się dobrze. W końcu to nasza tragedia, a nie ich, co powiedziała mi na cmentarzu. Tylko że jej sposób polega na płaczu i rzucaniu się w objęcia współczujących nieznajomych, a to nie moja bajka. Ja swojego sposobu jeszcze nie znalazłam.

A właściwie zaczyna do mnie docierać, że żaden sposób nie istnieje.

Oczywiście nie będę płakać, to zbyt proste i zbyt lekceważące. Płakałam nad złymi stopniami, nad szlabanem w domu, a raz nawet – co przyznaję ze wstydem – nad nieudaną fryzurą. (Na swoją obronę mogę powiedzieć, że ta grzywka odrastała przez trzy koszmarnie długie i okropne lata). To, co się wydarzyło, jest za wielkie na głupie dziewczynskie łzy, za wielkie na wszystko.

Płacz byłby luksusem.

Uznaję, że najlepiej będzie usiąść obok Davida Druckera, ponieważ to tak cichy chłopak, że łatwo można zapomnieć o jego obecności. Jest dziwny – zawsze siedzi ze swoim zeszytem i tworzy skomplikowane rysunki, a kiedy z kimś rozmawia, co zdarza się bardzo rzadko, patrzy



na usta, jakby człowiek miał coś w zębach. Nie zrozumcie mnie źle: przez większość czasu czuję się niezręcznie i paskudnie, ale nauczyłam się udawać, David natomiast całkowicie zrezygnował z podejmowania jakichkolwiek prób upodobnienia się do reszty.

Nigdy nie widziałam go na żadnej imprezie, na meczu ani nawet na żadnych zajęciach pozalekcyjnych, które teoretycznie mogłyby mu się podobać, na przykład na kółku matematycznym czy zajęciach z kodowania. Do waszej wiadomości – jestem ogromną miłośniczką wszelkich zajęć pozalekcyjnych, ponieważ uczestnictwo w nich będzie się dobrze prezentowało w podaniu na studia, ale raczej wybieram te bardziej humanistyczne, a więc nieco mniej zakręcone. Chociaż prawda wygląda tak, że i ja jestem nerdem.

Kto wie? Może David ma jakiś plan, gdy się tak od nas odwraca. To wcale nie jest najgorsza strategia przetrwania szkoły średniej. Trzeba przychodzić codziennie na lekcje, odrabiać zadania domowe, nosić potężne wygłuszające słuchawki – i po prostu przeczekać, aż liceum dobiegnie końca.

Być może bywam trochę nieporadna, trochę za bardzo zdesperowana w swoim pragnieniu bycia lubianą – ale do czasu tej historii z tatą nigdy nie byłam cicha. Dziwnie jest siedzieć przy stoliku tylko z jedną osobą i marzyć o zagłuszeniu wszystkich dźwięków. To zupełne przeciwieństwo mojej poprzedniej strategii przetrwania w szkole, polegającej na skakaniu na głęboką wodę.

Co zadziwiające, David ma starszą siostrę, Lauren, która w ubiegłym roku skończyła naszą szkołę i była najbardziej lubianą uczennicą w całym liceum. Stanowiła całkowite przeciwieństwo swojego brata, była przewodniczącą klasy i królową balu maturalnego. (Jakimś cudem udało jej się sprawić, że ten banalny tytuł wydawał się świetny). Chodziła z Peterem Malvernem, którego wielbiły z oddali wszystkie dziewczyny, łącznie ze mną – ponieważ grał na gitarze i miał zarost

na twarzy, co jest ewenementem wśród naszych rówieśników. Lauren Drucker stanowi żywą legendę – inteligentna, śliczna i luzacka – gdybym mogła przyjść na świat ponownie i zacząć to wszystko od zera, wybrałabym jej skórę, chociaż nigdy się nie poznałyśmy. Ona na pewno wyglądałaby w grzywce zajebicie.

Wiem, że gdyby nie Lauren i jej niewypowiedziana wprost groźba, iż zniszczy wszystkich, którzy się będą wyśmiewać z Davida, chłopak zostałby zjedzony żywcem. Zamiast tego dali mu spokój. Zostawili go samego – dosłownie, bo on jest z a w s z e sam.

Mam nadzieję, że wykręcając się od rozmowy z Davidem, nie byłam niegrzeczna. Na szczęście on się chyba nie obraził. Może i jest dziwny, ale świat wydaje się wystarczająco podły, więc nie musimy dodatkowo być podli wobec siebie. A poza tym miał rację z tym niebem – nie żebym pragnęła rozmawiać z Davidem Druckerem o tym, co się stało mojemu tacie. To chyba ostatni temat na świecie, jaki chciałabym poruszyć, nie licząc może rozmiaru ud Violet – ponieważ k o g o o b c h o d z ą j e j c h o l e r n e d Ź i n s y? – ale akurat się z nim zgadzam. Niebo jest jak Święty Mikołaj – to opowiastka mająca na celu zwodzenie naiwnych dzieci. Na pogrzebie cztery osoby, niezależnie od siebie, miały tupet, żeby mi powiedzieć, iż tata jest teraz w l e p s z y m m i e j s c u. Jak gdyby znalezienie się w dziurze w ziemi przypominało wakacje na Karaibach. Jeszcze gorsi byli koledzy taty z pracy, którzy śmieli oznajmić, że tata b y ł z a d o b r y n a t e n ś w i a t. Gdy się nad tym zastanowić choć przez chwilę, widać, że to nie ma sensu. Czyżby tylko źli ludzie mieli prawo do życia? To dlatego ja tu jeszcze jestem?

Mój tata był najlepszym człowiekiem, jakiego znałam, ale nie, wcale nie był „za dobry” na ten świat i wcale nie trafił do „lepszego miejsca”. A już na pewno nie wierzę, że „nic nie dzieje się bez przyczyny”, że to „boski plan” albo że „nadeszła jego pora na odejście” – jakby miał

umówione spotkanie, którego nie mógł opuścić.

Nie kupuję takich tekstów. Zresztą wszyscy wiemy, jaka jest prawda. Mój tata miał po prostu przerąbane.

W końcu David zakłada słuchawki i wyciąga potężne tomisko z napisem: *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders IV* na grzbiecie. Na większość zajęć chodzimy wspólnie, bo oboje wybraliśmy te same rozszerzenia, więc wiem, że to nie jest szkolna lektura. Jeśli David chce spędzać wolny czas, studiując choroby psychiczne, jego sprawa, ale zastanawiam się, czy nie powinnam mu zasugerować, żeby jednak sprawił sobie iPada czy coś w tym stylu. Wtedy nikt nie będzie widział, co czyta. Jego strategia przetrwania powinna obejmować podstawową zasadę funkcjonowania w szkole średniej: nie należy zbyt ostentacyjnie ujawniać swojego niedopasowania. Lepiej trzymać swoje dziwactwa schowane głęboko, jeśli to konieczne, pod metaforycznym hełmem astronauty. Być może to jedyny sposób, by wyjść z tego cało.

Do końca przerwy przeżuвам bez apetytu swoją smutną kanapkę. Co chwila komórka mi pika od wiadomości przysyłanych przez koleżanki, ale staram się nie patrzeć w stronę ich stolika.

*Violet:* Czy zrobiłyśmy coś, co Cię uraziło? Dlaczego tam usiadłaś?

*Annie:* WTF!?!?!?

*Violet:* Chociaż nam odpisz. Powiedz, co się dzieje.

*Annie:* K.! Ziemia do K.!

*Violet:* To chociaż powiedz mi prawdę: tak czy nie w tych spodniach?

Kiedy ma się dwie najlepsze przyjaciółki, w takim trójkącie zawsze ktoś się na kogoś wścieka. Dzisiaj, ignorując ich esemesy, niejako zgłaszam się na ochotnika do bycia ofiarą. Nie wiem nawet, jak wyjaśnić to, że nie mogę z nimi usiąść. Że zrobienie tego, zajęcie miejsca na widoku, paplanie o bzdurach byłoby jak zdrada. Zastanawiam się, czy nie zająć stanowiska w kwestii dzinsów Violet, ale śmierć mojego taty

przyniosła taki nieszczęsny efekt, że odebrała mi hamulce. Nie ma potrzeby mówienia mojej przyjaciółce, że chociaż jej uda prezentują się dobrze, to jednak w talii wygląda tak, jakby cierpiała na zaparcia.

Mama się nie zgodziła, żebym została dzisiaj w domu, chociaż ją błagałam. Nie chciałam wracać do stołówki, przechodzić z klasy do klasy, przygotowując się psychicznie na kolejne niewygodne rozmowy. Muszę przyznać, że ludzie są naprawdę mili. I niemal szczerzy, co się rzadko zdarza w tym miejscu. To nie ich wina, że wszystko – s z k o ł a ś r e d n i a – nagle wydaje się takie idiotyczne i bezcelowe.

Gdy rano się obudziłam, nie przeżyłam cudownej półminutowej amnezji, która mnie ostatnio nawiedzała, tych fantastycznych trzydziestu sekund, podczas których mój umysł był całkowicie pusty i beztroski. Zamiast tego powitałam dzień czystą, kosmiczną wściekłością. Od wypadku minął równy miesiąc, trzydzieści nierealnych dni. Prawdę powiedziawszy, moje koleżanki nie mają szansy na wygranie tego starcia. Gdyby nawet coś powiedziały, coś współczującego, jak na przykład: „Kit, wiem, że minął miesiąc od śmierci twojego taty, to musi być wyjątkowo trudny dzień”, i tak byłabym wkurzona, ponieważ zapewne bym się rozsypała, a szkoła nie jest miejscem, w którym pragnę przebywać w trakcie emocjonalnej rozsypki. Z drugiej strony jestem pewną, że Annie i Violet o tym nie wspomniały, ponieważ zupełnie wyleciało im to z głowy. Plotkowały, pijąc latte ze Starbucksa, gadały o tym, który chłopak powinien je zaprosić na szkolny bal, i zapewne zakładały, że wstałam lewą nogą. Oczekiwały, że się przyłaczę.

Powinnam chyba dojść już do siebie.

A nie snuć się przez cały dzień w starej koszuli mojego taty.

Dzisiaj mija miesiąc.

To dziwne, że akurat David Drucker jako jedyny użył właściwych słów: „Twój tata nie powinien był umrzeć. To bardzo niesprawiedliwe”

– Przecież od dwóch tygodni chodzisz do szkoły – powiedziała mama przy śniadaniu, kiedy podjęłam ostatnią próbę przekonania jej do pozostania w domu. – Plaster został dawno zdarty z rany.

Tyle że ja nie miałam żadnego plastra. Wolałabym mieć podbite oczy, połamane kości, wewnętrzny krwotok i widoczne blizny. Wolałabym, żeby mnie nie było. A tak? Ani jednego otarcia. Najgorszy cud z możliwych.

– Idziesz do pracy? – zapytałam ją, bo uznałam, że skoro ja mam problemy z pójściem do szkoły, jej też będzie ciężko włożyć garsonkę, szpilki i pojechać na dworzec.

Oczywiście, moja mama miała świadomość dzisiejszej daty. Na początku, kiedy wróciliśmy do domu ze szpitala, ciągle płakała, za to ja byłam otępiała i nie uroniłam ani jednej łzy. Przez pierwsze dni jej płaczu siedziałam cicho z nogami podciągniętymi pod brodę i wstrząsały mną dreszcze, chociaż owijałam się wieloma warstwami ubrań i koców. Miesiąc później nadal wiecznie mi zimno.

Jednak mama najwyraźniej wraca do dawnej siebie. Trudno byłoby się tego domyślić, patrząc na nią w weekendy, kiedy wkłada spodnie sportowe, tenisówki i czesze włosy w kitkę, albo widząc ją bezpośrednio po wypadku, wstrząśniętą, poszarzałą, zdruzgotaną – w każdym razie w życiu zawodowym mama jest szefową do szpiku kości. Zarządza internetową agencją reklamową o nazwie Disruptive Communications. Czasami słyszę, jak wrzeszczy na swoich pracowników i używa słów, za które ja dostałabym karę.

Sporadycznie jej zdjęcie ukazuje się na okładce jakiegoś branżowego czasopisma z tytułem typu „Złożona przyszłość marketingu wirusowego”. To ona nadzorowała produkcję nagrania ze śpiewającymi psami i kotami – tego, które ostatnio miało szesnaście milionów wyświetleń – a także reklamy płatków śniadaniowych z dwoma homoseksualnymi tatusiami o różnych kolorach skóry. Zanim została

wdową, była naprawdę niezła w tym, co robi.

– Oczywiście, że idę do pracy. Dlaczego miałabym nie iść? – zapytała, po czym zabrała moją miseczkę, chociaż jeszcze nie skończyłam płatków, i wrzuciła do zlewu z taką siłą, że się rozbiła.

Wyszła, ubrana w swój „strój roboczy” – czarny kaszmirowy sweterek, ołówkową spódniczkę i szpilki. Zastanawiałam się, czy nie posprzątać szkła, może nawet „niechący” się skaleczyć. Tylko odrobinę. Ciekawe, czybym cokolwiek poczuła. Potem jednak uświadomiłam sobie, że mimo mojego nowego nastawienia po śmierci taty, polegającego na przypisywaniu najdrobniejszym rzeczom większego znaczenia – jak na przykład wkładaniu męskiej koszuli do szkoły – to byłoby jednak zbyt metaforyczne, nawet jak dla mnie. Dlatego zostawiłam bałagan w zlewie, żeby mama później się nim zajęła.

## ROZDZIAŁ TRZECI

# DAVID

**P**o lunchu zjedzonym z Kit Lowell zdejmuję słuchawki, chociaż zwykle tego nie robię między lekcjami, bo dzięki słuchawkom, gdy idę korytarzem, wszystkie dźwięki wydają się odległe, stłumione. Cała ta paplanina i kotłowanina tylko odwracają moją uwagę i mnie denerwują, zwiększając ryzyko tego, że się potknę. Najkrótsza droga między dwoma punktami to linia prosta, a jednak chłopcy z naszej szkoły biegają zygzakiem, pełni energii i agresji. Uderzają się pięściami w plecy, szarpią za szyję z uśmiechami na twarzy, przybijają sobie piątki. Dlaczego wszyscy muszą się ciągle dotykać? Co prawda dziewczyny nie biegają tak chaotycznie jak chłopcy, ale i tak zatrzymują się i ruszają, często wypadają nie wiadomo skąd i tulą się do siebie, jakby wcale nie widziały się na poprzedniej przerwie.

Nasłuchuję, ponieważ jestem ciekaw, czy ktokolwiek rozmawia o tacie Kit. Wyguglałem jego nazwisko i znalazłem nekrolog – został zamieszczony na łamach „Daily Courier” w sekcji A16 trzy tygodnie i cztery dni temu. Tylko trzy krótkie zdania, i chociaż doceniam zwięzłość, zupełnie pominięto istotne detale, jak na przykład lizaki i to, że był miłym człowiekiem.

*Robert Lowell, lekarz stomatolog, zginął tragicznie 15 stycznia br. w wypadku samochodowym. Robert Lowell przyszedł na świat 21 września 1912 r. w Princeton, stan New Jersey, i przez ostatnie 12 lat prowadził praktykę dentystyczną w Mapleview. Zostawił żonę Mandip i córkę Katherine.*

Oto czego się dowiedziałem z mojego pospiesznego śledztwa: 1) Tata Kit miał na imię Robert – to nawet sensowne, znane słowo i parzysta liczba liter. Zawsze nazywałem go w myślach Dentystą, ale wiem, że to ograniczające określenie. 2) Tata Kit zginął w wypadku, co jest błędnym sformułowaniem, ponieważ większość osób ginących w wypadkach w rzeczywistości nie umiera wcale w samochodzie, ale później, w karetce albo w szpitalu. Będę musiał się dowiedzieć szczegółów.

Idę korytarzem i zauważam Gabriela.

GABRIEL FORSYTH: Loki. Kamiennie oczy. Usta klauna.

#### Istotne kontakty

1. Pierwsza klasa gimnazjum: Zabrał mi ciastka oreo bez pytania. Wyjął je z mojej śniadaniówki i odszedł.
2. Druga klasa liceum: Trzymał Kit L. za rękę. (To nie jest kontakt ze mną, ale warto go odnotować).
3. Trzecia klasa liceum: Siedzi ze mną na fizyce, ponieważ w pierwszym dniu nauki nauczyciel nas wszystkich poprzęsadał. Gdy Gabriel zobaczył, jak daleko ma do Justina Cho, powiedział: „Kurde, naprawdę, proszę pana?”, za co dostał pierwsze ostrzeżenie. Nie mówiłem mu, że to całkiem dobre miejsce z punktu widzenia akustyki i perspektywy. Miney stwierdziła, że bardzo dobrze, iż zatrzymałem to dla siebie.

#### Przyjaciele

Drużyna lacrosse, drużyna tenisowa (oczywiście składają się na siebie nakładają). Od podstawówki przyjaźni się z Justinem Cho.

Dodatkowe uwagi: Miney wpisała go na listę osób, którym nie należy ufać.

Nie patrzę na niego. Opuszczam głowę, koncentruję się na ludziach, którzy się zatrzymują przede mną i nagle znów ruszają.



– Słuchaj, po treningu w Pizza Palace, dobra? – mówi Gabriel. Wnioskując z tenisówek oraz z kontekstu, jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewien, że rozmawia z Justinem. Nie zamieszczę tutaj wpisu z notatnika na temat Justina, ponieważ jestem już zmęczony ciągłym czytaniem tych notatek i zastanawianiem się, dlaczego on mnie tak nienawidzi. nierozwiązywalne równanie. Lista „Istotnych kontaktów” zajmuje pięć stron. Justin jest prezesem klubu osób, którym nie należy ufać.

Według Yelp Pizza Palace zajmuje drugie miejsce wśród najlepszych włoskich restauracji w Mapleview. Większość osób woli Rocco's. Gdyby Gabriel chciał mnie zaprosić, a oczywiście nie chce, zasugerowałbym wybór Pizza Pizza Pizza, bo tam między czternastą a siedemnastą można kupić dwa kawałki pizzy w cenie jednego. Uważam, że nieco gorsza jakość jest tym samym rekompensowana z naddatkiem. Tak czy inaczej, rozumiem, dlaczego wybrali Pizza Palace (na marginesie – to żaden pałac, tylko niewielki lokalik przy głównej ulicy) – bo chociaż jedzenie z Pizza Pizza Pizza jest tanie, idiotycznie wymawiać na głos to powtórzone trzykrotnie słowo.

Wyobrażam sobie właśnie Gabriela mówiącego: „Słuchaj, po treningu w Pizza Pizza Pizza, dobra?”, i wiem, że brzmi to kretyńsko, kiedy wpadam na grupkę dziewczyn zgromadzonych przy szafkach. Jessica, Willow (tak się składa, że to jedyna Willow w naszym roczniku składającym się z 397 uczniów oraz wśród całej braci uczniowskiej naszej szkoły liczącej 1579 osób) i Abby. Miney nadała im nazwę w moim notatniku, napisała ją drukowanymi literami i jeszcze podkreśliła mazakiem: POPULARNE SUKI.

Kiedy po raz pierwszy użyła tego sformułowania, musiała wygłosić długi wykład wyjaśniający, że to wcale nie oksymoron: można być popularnym, czyli – jak zakładam – lubianym przez wiele osób, jednocześnie pozostając suką, czyli – jak zakładam – kimś zupełnie

nie lubianym. Jak się okazuje, popularność w szkole średniej jest odwrotnie proporcjonalna do bycia lubianym, za to wprost proporcjonalna do liczby osób, które chcą się z tobą zaprzyjaźnić. Po głębszej analizie doszedłem do wniosku, że ma to nawet sens, chociaż ja osobiście jestem osobą odstającą od reszty i idealnym przykładem na to, że nie ma co liczyć na proporcjonalność. Jestem miły wobec wszystkich, a ludzie ani mnie nie lubią, ani nie chcą się ze mną przyjaźnić.

– Uważaj no! – mówi Jessica i przewraca oczami, jakbym wpadł na nią celowo. Czy moi rówieśnicy nie zdają sobie sprawy, że ich uczucia są odwzajemniane? Nie chcą mieć ze mną nic wspólnego? Świetnie. A ja nie chcę mieć nic wspólnego z nimi. Miney zapewnia, że na studiach będzie lepiej, ale szczerze w to wątpię. – I dlaczego gadasz do siebie?

A gadam? To absolutnie możliwe, a do tego dość ironiczne, że mój cały proces myślowy na temat Pizza Pizza Pizza i nazwy, którą idiotycznie wypowiadać na głos, odbył się... na głos. Niekiedy zapominam o barierze między zawartością mojego umysłu a resztą świata.

– Przepraszam – mamrocze, podnoszę książkę, którą upuściła, i jej podaję. Nawet mi nie dziękuje.

– Dziwoląg – mówi Abby i wybucha śmiechem, jakby powiedziała cokolwiek zabawnego lub oryginalnego.

Zmuszam się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy, bo Miney twierdzi, że kontakt wzrokowy mnie ucłowiecza. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle trzeba mnie ucłowieczać, dlaczego wszyscy zakładają, że jestem wyjątkiem od powszechnie przyjętej zasady, iż każdy człowiek jest istotą ludzką obdarzoną uczuciami. Ale i tak patrzę w oczy – taka jest siła perswazji mojej siostry.

– Co się tak gapisz?

Przez chwilę mam ochotę zapytać Abby wprost, po prostu powiedzieć

to na głos: „Co ja ci takiego zrobiłem?” Przecież wpadłem na Jessicę, a nie na nią. Nie mieliśmy żadnych istotnych kontaktów, czy to pozytywnych, czy negatywnych. Wtem rozbrzmiewa dzwonek, jest bardzo głośny i nieprzyjemny, wszyscy ruszają pędem do klasy, a mnie czeka fizyka. Oznacza to, że przez następne czterdzieści pięć minut będę zmuszony siedzieć obok Gabriela i ignorować to, że pachnie dezodorantem Axe Anarchy, że uderza ołówkiem w ławkę, wybijając chaotyczny rytm, i odchrząkuje z częstotliwością mniej więcej trzydziestu pięciu sekund. Nie ma wątpliwości – mimo akustyki i perspektywy tego miejsca zdecydowanie lepiej było mi siedzieć samemu z tyłu klasy.

Kit wchodzi do klasy dziesięć minut po tym, jak pan Schmidt rozpoczął wykład na temat trzeciej zasady dynamiki Newtona, którą zapisałem sobie po łacinie, żeby było ciekawiej.

– Straciłam poczucie czasu – mówi Kit i zajmuje swoje miejsce – dwie ławki za mną, w prawym rzędzie.

Nie jest to najlepsza wymówka, zważywszy na to, że w szkole używa się głośnego dzwonka. Pan Schmidt kiwa głową, nie krzyczy, nie daje jej pierwszego ostrzeżenia, co zrobiłby w normalnych okolicznościach. Kiedyś musieliśmy odwiedzić naszych sąsiadów w czasie sziwy. Miney powiedziała, że wobec osób, które właśnie straciły kogoś bliskiego, obowiązują inne zasady. Jestem ciekaw, jak długo to trwa – nie śmierć, ale to specjalne traktowanie. Czy pan Schmidt też traktowałby mnie łaskawiej, gdyby to mój tata umarł?

Zapewne nie. Mój tata jest naukowcem w Abbot Laboratories i przypuszczam, że nie widnieje na liście miłych osób u zbyt wielu ludzi, przede wszystkim dlatego, że to nie jest typ człowieka, który trafia na jakiegokolwiek listy, nie licząc naukowych. Za to gdyby odeszła moja mama, ludzie z pewnością by to zauważyli. Pod tym względem są z Miney podobne: wszyscy je kochają. Mama zawsze się zatrzymuje,

żeby porozmawiać z innymi kobietami stojącymi w kolejce w aptece czy w supermarkecie. Zna imiona i nazwiska wszystkich uczniów z mojej klasy oraz ich rodziców, czasem nawet dopowiada mi, co mam napisać w notesie. To ona zdradziła mi, że Justin i Jessica ze sobą chodzą – widziała, jak się całowali w centrum handlowym – i że potem ze sobą zerwali. Dowiedziała się tego podczas malowania paznokci, ponieważ chodzi do tej samej gadatliwej manikiurzystki co mama Jessiki.

Miney jest moim przeciwieństwem. W zeszłym roku zdobyła mnóstwo wyróżnień: najpopularniejsza uczennica czwartej klasy, najatrakcyjniejsza dziewczyna, uczennica z największą szansą na sukces. Dla siebie nie przewiduję żadnych wyróżnień, chociaż muszę przyznać, że mamy z Miney jedną wspólną cechę: ona także jest przykładem na to, że teoria proporcjonalności nie zawsze się sprawdza. Moja siostra jest popularna, ale nie jest suką. Niestety, od razu zacząłem powątpiewać w prawdziwość całej genetyki, ponieważ mamy pięćdziesiąt procent wspólnego DNA.

Moi rodzice są małżeństwem od dwudziestu dwóch lat i nadal się kochają. To statystyczny ewenement.

Mama twierdzi: Przeciwiństwa się przyciągają.

Tata mówi: Miałem niewyobrażalne szczęście.

Miney uważa: Mama jest w głębi duszy wariatką, a tata jest w głębi duszy normalny, dlatego to działa.

Nie zastanawiam się specjalnie nad ich małżeństwem, ale podoba mi się to, że nasi rodzice nadal są razem. Nie chciałbym się pakować co drugi weekend, nocować w obcym mieszkaniu, myć zębów w obcej umywalce. Mama twierdzi, że jestem podobny do taty, co napełnia mnie optymizmem. Skoro jego pokochał ktoś taki jak mama – ktoś powszechnie uważany za świetną osobę – i to pokochał na tyle, by spędzić z nim resztę życia, może i dla mnie jest jakaś nadzieja.

W połowie lekcji, kiedy pan Schmidt zaczyna pisać równania

na tablicy, Kit wstaje i wychodzi. Bez słowa. Nie pytając, czy może iść do łazienki, nie tłumacząc się. Po prostu wychodzi z lekcji.

Gdy tylko drzwi się za nią zamykają, rozlegają się szepty.

*Justin:* To było niezłe.

*Annie:* Nie no, ona naprawdę powinna z nami porozmawiać. Kompletnie nas ignoruje.

*Violet:* Jej tata UMARŁ, Annie. Odszedł na zawsze. Daj jej spokój.

*Gabriel:* Jestem głodny.

*Annie:* Mam batonika.

*Gabriel:* Dziewczyno, ratujesz mi życie, i to dosłownie.

Tak to wygląda. Wokół mnie toczą się rozmowy, wszystkie słowa wydają się chaotyczne. To jak gra w pinball z zawiązanymi oczami. Co głód Gabriela ma wspólnego ze śmiercią taty Kit?

– Panie i panowie, proszę o uwagę – mówi pan Schmidt i klaszcze trzykrotnie bez wyraźnego powodu. Zanim zdam sobie sprawę, co robię, moja ręka znajduje się w powietrzu. – Słucham?

– Czy mogę wyjść? – pytam.

– Wyjść? To lekcja, a nie spotkanie rodzinne. Wracajmy do pracy.

– Czy mogę iść do pielęgniarki? Mam migrenę – wyjaśniam, co nie jest zgodne z prawdą. Miney byłaby ze mnie dumna. Twierdzi, że powinienem ćwiczyć mijanie się z prawdą, i zapewnia, że każde kolejne kłamstwo przyjdzie mi łatwiej. Zastanawiam się, czy nie wydać z siebie jęku, jakbym rzeczywiście cierpiał, ale uznaję, że to byłaby przesada.

– Dobrze. Idź – mówi nauczyciel.

Wstaję i wychodzę z klasy, tak samo jak Kit zrobiła chwilę wcześniej. I tak nic nie stracę, latem przeczytałem cały podręcznik. Kilka niejasnych kwestii, na które natrafiłem, zostało rozwiązanych dzięki Google'owi i rozwiniętych na darmowych internetowych lekcjach organizowanych przez Uniwersytet Stanforda.

Gdy wydostaję się na cichy korytarz, mój umysł dogania wreszcie ciało i uświadamiam sobie, co tu robię. Chociaż lekcje pana Schmidta są nudne i zupełnie tracę na nich czas, zwykle wypełniam polecenia. Siedzę grzecznie na zajęciach. Nie odzywam się. Jeśli chcę skończyć szkołę średnią i zdać końcowe egzaminy, nie mam wielkiego wyboru.

Nagle jednak zdaję sobie sprawę, że chcę odnaleźć Kit. Muszę wiedzieć, dokąd poszła.

Biegnę przez korytarz, postanawiam sprawdzić na boisku. Ignoruję Señorę Rubenstein, nauczycielkę hiszpańskiego, która woła za mną z silnym akcentem z New Jersey:

– *Adónde vas, Señor Drucker?*

Omiotam wzrokiem znajdujący się po prawej stronie parking, oddalony o jakieś dwieście metrów na północny wschód od głównego wejścia. Nie widzę Kit, ale dostrzegam jej czerwoną corollę, jak zwykle zaparkowaną w drugim rzędzie, sześć samochodów od końca, miejsce parkingowe numer czterdzieści trzy, należące do uczniów starszych klas.

Obchodzę budynek szkolny i kieruję się ku boisku do futbolu, gdzie znajdują się wysokie trybuny, z których roztacza się przyzwoity widok na Mapleview. Może tam usiadła, żeby pooddychać świeżym powietrzem. Nie lubię wydarzeń sportowych – za dużo na nich ludzi i hałasu – ale zawsze uważałem, że trybuny to wspaniałe miejsce, wszystko uporządkowane od najwyższego do najniższego.

– Pan Schmidt cię przysłał? – pyta Kit.

Nie siedzi na trybunach, gdzie jej szukałem, ale w budce, w której podczas meczów członkowie samorządu szkolnego sprzedają słodyczne, hot dogi i lemoniadę po zawyżonych cenach. Światła są zgaszone, Kit kuli się na brudnej podłodze, kolana przyciągnęła do siebie. Gdyby się nie odezwała, pewnie bym jej nawet nie zauważył.

– Nie. Skłamałem, powiedziałem, że mam migrenę – wyjaśniam, zmuszając się do spojrzenia jej w oczy. To łatwiejsze niż zwykle,

ponieważ w środku panuje ciemność.

Kit ma policzki zaczerwienione od zimna i zielone oczy. Oczywiście, jej oczy są zawsze zielone, ale dzisiaj wydają się jakby zieleńsze. Moja nowa definicja zieleni. Ten kolor zwykle kojarzył mi się z Kermitem, ewentualnie z wiosną, ale z niczym więcej. Teraz zieleń to oczy Kit. Nerozerwalna więź. To tak jak z cyfrą trzy – z niewyjaśnionych powodów gdy o niej myślę, zawsze widzę literę R.

– Nie chciałam zapoczątkować mody na wagary – mówi Kit, a ja się uśmiecham, bo chociaż to nie do końca żart, to jednak coś podobnego.

– Jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś, nie podążam za modą – oświadczam, pokazując na swoje spodnie, które są luźne, w kolorze khaki i – jak twierdzi Miney – stanowią zbrodnię przeciwko modzie.

Miney od lat próbuje zaciągnąć mnie na zakupy, uważa, że wyglądałbym o wiele lepiej, gdybym tylko minimalnie się postarał. Ale ja nie lubię zakupów. Właściwie nie tyle zakupów, ile nowych ubrań. Dotyku obcego materiału na skórze.

Kit spogląda na mnie, a potem zerka ponad moim ramieniem na szkołę.

– Śledzisz mnie? To nie jest gabinet pielęgniarki.

Nie potrafię ocenić jej tonu, nie wiem, czy jest zła. Jej głos brzmi ostro, ale mina nie odpowiada żadnej z kart, które Miney kiedyś dla mnie wydrukowała, by nauczyć mnie rozpoznawać emocje.

– Chciałem się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku. – Unoszę dłonie. To sygnał, że nie mam złych zamiarów, często pojawia się w programach policyjnych.

– Wszyscy o mnie gadali, kiedy wyszłam, prawda? – pyta. – Nie chciałam robić afery. Po prostu nie mogłam już tam wysiedzieć.

– To zrozumiałe – odpowiadam. – Że nie mogłaś wysiedzieć, a nie że nie chciałaś robić afery.

Teraz, kiedy tu jestem, kiedy po raz drugi w jednym dniu rozmawiam

z Kit, chociaż do tej pory prawie w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy, nie licząc paru „Istotnych kontaktów”, uświadamiam sobie, jakie to wszystko dziwne, niezaplanowane.

To, że za nią wyszedłem.

Że sam postanowiłem sprawdzić, co się stało.

Że zmieniam definicję zieleni.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

# KIT

**S**iedzę w budce do sprzedaży hot dogów, a David Drucker stoi na zewnątrz. Cała sytuacja jest bardzo dziwna. Ten chłopak chyba zdaje sobie sprawę, że kiedy usiadłam dzisiaj przy jego stoliku, szukałam jedynie samotności i świętego spokoju? Nic od niego nie chcę. Nie chcę, żebyśmy nagle się kumplowali. Nie zrozumcie mnie źle, to wszystko jest takie do mnie niepodobne. Zwykle nie zostawiam przyjaciółek w stołówce, nie wychodzę w środku lekcji bez słowa, nie mam problemu z oświadczeniem: „Twój tyłek wygląda bosko w tych džinsach z podwyższonym stanem”

Koszula mojego taty jest brudna.

W tej budce śmierdzi gnijącymi hot dogami i starymi tenisówkami.

Nic nie jest takie, jak być powinno.

Mija właśnie miesiąc.

Ja nie jestem taka, jaka powinnam być.

– Nie śledziłem cię – mówi David. Jego wzrok odbija się od ścian, aż w końcu ląduje na mojej twarzy. – To znaczy... owszem. Ale dlatego, że ktoś musiał to zrobić. Czy to w ogóle brzmi sensownie?

– Jest okej – odpowiadam, ponieważ on wygląda na zdenerwowanego,

a ja mam zamiar ułatwić mu sprawę. – Pomóż mi wstać. Nie chcę dotykać podłogi.

David podchodzi do bocznych drzwi i wyciąga rękę. Chwytam ją i się podnoszę.

– To obleśne miejsce – mówię.

– Trybuny byłyby lepsze.

– Wiesz co? To świetny pomysł. – Puszczam się biegiem w stronę boiska, pokonuję po dwa stopnie naraz. Ten pęd dobrze na mnie działa, powietrze jest pompowane do mojego zimnego, martwego serca. Docieram na samą górę i siadam.

Już zapomniałam, jak lubię tu przebywać. Nie brakuje mi meczów, ponieważ nie jestem aż tak zainteresowana futbolem, ale uwielbiam stawać się częścią tłumu. Człowiek ma wtedy poczucie, że znajduje się na właściwym miejscu, że jego rolą jest dopingowanie szkolnej drużyny – idealny banał nastolatki. Widzę, że David wyciąga szyję, pewnie się zastanawia, czy do mnie dołączyć.

– Chodź! – wołam.

Wchodzi wolniej ode mnie, patrzy pod nogi, żeby się nie przewrócić. David należy do osób, o których się w ogóle nie myśli, ale teraz, kiedy zaprosiłam go, żeby usiadł obok, próbuję usilnie przypomnieć sobie wszystko, co wiem na jego temat. Mam nadzieję, że dzięki temu będzie mniej niezręcznie, bo – powiem szczerze – wolę już grypę żołądkową od niezręcznych sytuacji.

Problem polega na tym, że pierwsze słowo, jakie kojarzy mi się z Davidem, to właśnie „niezręczność”. Nic o nim nie wiem. Pamiętam, że byłam zapraszana na jego przyjęcia urodzinowe, a kiedy mieliśmy po pięć lat, motywem przewodnim urodzin był Kosmos. Dostaliśmy superprzypinki NASA (mam jeszcze gdzieś swoją), jego rodzice wynajęli dmuchany zamek, który wyglądał całkiem jak księżyc. Skakaliśmy, wpadaliśmy na siebie, a on ni z tego, ni z owego upadł na podłogę,

zakrył sobie uszy rękoma i zaczął płakać. Wszyscy szybko porzuchodzili się do domów.

Co jeszcze? Widziałam chyba z milion razy, jak się potyka. I często wpada na ludzi. Może dlatego, że wiecznie chodzi w ogromnych słuchawkach i po prostu niczego nie słyszy, a może jego umysł jest zajęty rozwiązywaniem ważnych problemów, na przykład globalnego ocieplenia czy czegoś w tym rodzaju. No i ma rację, okropnie się ubiera. Wygląda jak misjonarz albo ktoś, kto po szkole pracuje w sklepie z elektroniką w centrum handlowym.

Teraz, kiedy znajduje się tak blisko, przyglądam się pospiesznie jego twarzy i dochodzę do wniosku, że nie jest brzydki. Co więcej, plasuje się piętro wyżej od Justina i Gabriela, którzy uważają, że są cholernie seksowni mimo paskudnego trądziku na brodzie. Gdyby David obciął włosy i pokazał światu przepastną głębię swoich brązowych oczu, mógłby uchodzić za przystojniaka. Jeśli mam być ze sobą szczerą, to muszę przyznać... Zawołanie go zapewne miało coś wspólnego z tym, że parę miesięcy temu mój tata wspomniał o nim zupełnie zniecka. Któregoś wieczoru przy kolacji oznajmił, że powinnam poznać Davida Druckera.

„Dzisiaj był u mnie David Drucker. Muszę ci powiedzieć, że to interesujący młodzieniec. Rozmawiał ze mną o mechanice kwantowej” – zaczął.

Jestem pewna, że rzuciłam coś sarkastycznego w rodzaju: „Fascynujące, tato”

Czy mam ochotę cofnąć się w czasie i dzielić się w łeb? O tak.

– Stadion imienia Arthura B. Pendlocka może pomieścić nawet osiemset cztery osoby – stwierdza David, siadając obok mnie. Patrzy jednak nie na mnie, ale na boisko. Widać stąd pocztę. Ciastkarnię Sam’s Bagels...

– Tak to się nazywa? Stadion imienia Arthura B. Pendlocka?

David kiwa głową.

– Nie wiedziałam. Ale myślałam, że wejdzie tu więcej osób. Na meczach jest niezły tłok.

– Nigdy nie byłem na meczu.

– Naprawdę? Fajnie jest – mówię i od razu zaczynam się zastanawiać, czy nasze definicje tego, co fajne, się pokrywają. Już mam go zapytać o mechanikę kwantową, ale nawet nie wiem, co to takiego. – Rozumiem, że nie jesteś kibicem? – zadaję nedorzeczne pytanie. Nie wiem, czemu zawsze zakładam, że to na mnie spoczywa obowiązek prowadzenia rozmowy. W pięciu przypadkach na dziesięć lepiej, żebym trzymała buzię na kłódkę.

– Nie. Nie wiem, co w tym pociągającego. Możliwości są dość ograniczone. Twoja drużyna albo wygra, albo przegra, co nastąpi na skutek pewnego ciągu rzucania i łapania piłki. Choć generalnie wolę oglądać, niż grać. Po co miałbym zgadzać się na to, że zostanę powalony na ziemię i być może doznam jakiegoś urazu? To dla mnie niezrozumiałe.

– Rozumiem twój punkt widzenia – odpowiadam i łapię się na tym, że na moje usta wypełza uśmiech.

– Zastanawiałem się nawet nad tym, czy dla niektórych facetów nie ma to homoerotycznego podtekstu, ale większość z nich ma dziewczyny, więc zapewne jednak nie.

Wybucham śmiechem.

– To tylko po części żart – stwierdza David. Spogląda na mnie, a potem jego wzrok znów gdzieś ucieka. – Jeśli chcesz, możemy nie rozmawiać. Zakładam, że wyszłaś z lekcji, żeby uciec od hałasu, chociaż moje założenia sprawdzają się zwykle tylko w trzydziestu procentach.

– To prawda – mówię.

Widać stąd parking przed supermarketem, gdzie tata nie tak dawno uczył mnie jeździć. Pojawialiśmy się tam w późnych godzinach

w weekendy, a czasem nawet w tygodniu, i ćwiczyliśmy przez trzy miesiące przed moimi urodzinami. Tata był cierpliwym, dobrym nauczycielem i denerwował się tylko na początku, kiedy myliłam gaz z hamulcem. Test na prawo jazdy zdałam za pierwszym podejściem, uczciliśmy to gazowanym cydrem jabłkowym podanym w fikuśnych kieliszkach do szampana. Tata wzniósł toast za wszystkie drogi, którymi będę jeździć. Zrobił mi zdjęcie z prawkiem i wzruszył się trochę, mówiąc, że już mu trudno sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy wyjadę na studia, a w jego życiu zostanie pustka w moim kształcie.

To tata miał za mną tęsknić, a nie odwrotnie. To nie tak miało być.

Nie chcę o tym myśleć.

Zalega cisza między mną i Davidem, ale – co zadziwiające – nie ma w niej nic niezręcznego. Miło jest tu siedzieć, poza szkołą, poza głównym w domu, z dala od przerażającej świadomości mijającego właśnie miesiąca. Miło jest siedzieć z kimś i nie musieć się zastanawiać, co powiedzieć.

Nie wracam na lekcje, jadę do domu, kładę się na sofie i przeglądam Netflix. Minęło kilka godzin, a ja nie przygotowałam się do jutrzejszego testu z fizyki. Nie przeczytałam pięćdziesięciu stron *Jądra ciemności* ani nie zastanowiłam się nad powiązaniem z własnym życiem (choć to akurat byłoby proste), nie zaczęłam też pisać wypracowania na temat historii światowej migracji. Nie napisałam ani jednego słowa artykułu o klubie dyskusyjnym do naszej szkolnej gazety, chociaż już o piętnastej upływa termin. Pewnie zamiast artykułu damy zdjęcie, ale to z pewnością nie jest droga do stanowiska redaktora naczelnego, co było moim nadrzędnym celem przez ostatnie trzy lata. Teraz straciłam całą motywację.

– Sajgonki, naleśniki z szalotką i kurczak generała Tso. Same niezdrowe rzeczy – stwierdza moja mama, stawiając na blacie torbę wypchaną chińskim jedzeniem. Zrzuca szpilki z nóg. – Czy od żałoby

puchną stopy? Te buty mnie dobijają.

– Nie wiem. – Wstaję i nakrywam do stołu dla dwóch osób, a nie trzech – jak kiedyś. Muszę przestać zwracać uwagę na takie szczegóły.

– Jak ci minął dzień? Tak źle, jak sądziłaś? – Mama całuje mnie w czoło, po czym uznaje, że należy mi się jeszcze przytulenie.

– Nie. To znaczy... to nie był d o b r y dzień. – Nie mówię jej o wagarach, bo nie chcę jej załamywać. – Ale miałaś rację, pójście było konieczne. A u ciebie?

– Sprząłam tyłki paru osobom, spisałam nazwiska, nawet założyłam nowe konto. Nie najgorzej jak na poniedziałek.

– Super – odpowiadam i trącamy się szklankami.

– Muszę trochę podgonić sprawy finansowe – mówi mama, a ja zauważam, że jej usta otoczone są zmarszczkami, których wcześniej tam nie było. Nie powinna niczego podganiać, już i tak ciężko pracuje. Po kolacji stuka w klawiaturę laptopa, do późna w nocy wysyła e-maile. Kiedy byłam młodsza i bardziej zuchwała, narzekałam, że pracę kocha bardziej niż mnie. Teraz wiem, że to nieprawda. Moja mama po prostu należy do osób, za którymi się tęskni, nawet gdy siedzą naprzeciwko.

– Nie pomyślałam o pieniądzach – usprawiedliwiam się. Żołądek mi się kurczy od wyrzutów sumienia. Wkrótce dojdzie chesne za studia, a co będzie, kiedy wyjadę? Mama będzie codziennie wracała do wielkiego, pustego domu. Z trzech osób zrobiły się dwie, a zaraz zostanie jedna. Czy sprzeda dom? Mam nadzieję, że nie.

– Nie martw się, nie będziemy głodować. Wiesz, co mnie najbardziej stresuje? Skąd mam wiedzieć, kiedy trzeba wymienić olej w samochodzie? Jak nazywa się nasze towarzystwo ubezpieczeniowe? A wszystkie hasła sieciowe? Żadnego nie znam. Twoje imię? Czyjeś urodziny? To mnie przerasta. Z pracą sobie radzę, ale cała reszta – prawdziwe życie – to jest problem.

Myślę sobie, że mama nie ma nikogo oprócz mnie. Moi dziadkowie

sto lat temu przeszli na emeryturę i wrócili do Delhi, zresztą miała z nimi skomplikowane relacje. Gdy była dzieckiem, jej rodzice robili wszystko, żeby się zasymilowała w Ameryce – zapłacili za naukę w drogiej prywatnej szkole, do której chodziły głównie dzieci białych, a na którą ledwo było ich stać. Dostawała nawet kanapki z masłem orzechowym i dżemem, bo inne dzieci naśmiewały się, że jej hinduskie jedzenie śmierdzi. Wychowali ją na Amerykankę. A kiedy się okazało, że nie podziela ich staroświeckich wartości, zareagowali zaskoczeniem i oburzeniem. Przypuszczam, że te „staroświeckie wartości” w ich wypadku oznaczały brak akceptacji dla małżeństwa z białym facetem. We wszystkich innych kwestiach mama pozostaje bowiem wierna przekonaniom swoich rodziców – nie licząc tego, że jest pozbawionym wyrzutów sumienia mięsożercą i co sześć tygodni ścina i farbuje włosy. Raz w miesiącu, w niedzielę, jeździmy do gurdwary. Tata też czasem się z nami wybierał, nie tyle z zamiarem religijnego przebudzenia, ile w celu konsumpcji domowych hinduskich potraw. Teraz, kiedy sama mam wybór w tej kwestii, też jeżdżę tam z powodu jedzenia. Na życzenie babci mama utrzymuje kontakt ze wszystkimi krewnymi, chociaż są rozsiani po całym świecie, od Delhi, przez Vancouver, aż po Londyn. Pokrewieństwo jest dalekie, a oni są upierdliwi. Mama nauczyła mnie mówić po pendzabsku, niezbyt płynnie, ale się dogadam. Może i przyszła na świat w Stanach, jednak nigdy nie zapomniała o swoich hinduskich korzeniach.

Wszyscy udają, że stosunki z moimi niedającymi się zadowolić dziadkami są przyzwoite – co dwa lata jeździmy do nich do Delhi, chociaż mój tata zawsze zostawał w Stanach, ponieważ „musiał pracować”. Udawałyśmy, że to prawda, że nie miało to absolutnie nic wspólnego z faktem, że moi dziadkowie go nie zaakceptowali. Za każdym razem gdy mama rozmawia przez telefon z Bibiji, przybiera ton głosu, który kojarzy mi się z jej pracą: dyrektorsko-reklamowy.

Rozmowy mamy z jej rodzicami niemal zawsze polegały na przechwalaniu się naszymi małymi osiągnięciami – moimi stopniami, sukcesem mamy w pracy, nagrodą otrzymaną przez tatę – jakby prowadziła kampanię mającą na celu udowodnienie, że dokonała właściwych wyborów. A kiedy włożę *lehenga* albo *salwar kamiz* na przyjęcie urodzinowe jakiejś kuzynki, która jest dziesiątą wodą po kisielu, a do której trzeba jechać trzy godziny samochodem, bo mieszka w środkowej Pensylwanii, mama na sto procent zrobi mi zdjęcie i wyśle je e-mailem do babci. I to niezwłocznie. „Widzisz” – zdaje się mówić. „Nic nie zginęło. Przekazuję nasze tradycje dalej”

Wicie, co jest w tym najsmutniejsze i najbardziej przerażające? Ledwo tylko włożę hinduski strój, dziadkowie są natychmiast o tym informowani, ale kiedy umiera tata, mama nawet do nich nie zadzwoni. Zrobiła to dopiero dzień po pogrzebie. Wyjaśniła mi, że jechali w tamten weekend na wesele i nie daliby rady dotrzeć na czas do Stanów, więc nie było sensu mieszać im w planach. Prawdę powiedziawszy, sądzę, że wołała po prostu nie wiedzieć, czy zdecydują się przyjechać i go pożegnać.

Wolę myśleć, że jednak by to zrobili. Może nie zaakceptowali małżeństwa swojej córki, ale przecież nie są potworami. Są po prostu trochę zacofani. No dobra, i trochę... rasistowscy.

Co dziwne, zawsze komplementują kolor mojej skóry, chociaż pewnie nie są zadowoleni z tego, że jestem w połowie biała. „Taka jasna” – mawia Bibiji, jakby fakt, że mam karnację o kilka odcieni jaśniejszą niż mama, był czymś cudownym i niezwykle ważnym. „I widzę, że ci smakuje”

– Pomogę ci to wszystko rozgryźć – mówię do mamy. – Przepraszam.

– Och, skarbie, nie mów tak. Wszystko będzie dobrze. Nie masz się czym zamartwiać, naprawdę. Niepotrzebnie się odzywałam.

Zajmuję się nakładaniem jedzenia, ładuję nam na talerze ogromne



porcje. Są ludzie, którzy w smutku nie jedzą, tracą apetyt i chudną. My z mamą do nich nie należymy.

– Kocham cię, mamo – mówię i od razu czuję wyrzuty sumienia, ponieważ łzy nabiegają jej do oczu. Chciałabym dać jej do zrozumienia, iż cieszę się, że to ona jest moją matką. Że gdybym miała wybrać jedną osobę z całego świata, z którą chciałabym to przeżyć, wybrałabym właśnie ją. Tylko ją. Pewnie po części wynika to z żałoby, bo wcześniej mama często maksymalnie mnie wkurzała. Jest mistrzynią subtelnej krytyki podawanej pod przykrywką delikatnej sugestii. „Dlaczego nie wyprostujesz sobie włosów?” „Nie sądzisz, że twoje paznokcie wyglądałyby o wiele lepiej, gdybyś ich nie obgryzała?” „Ta spódniczka jest trochę staroświecka, prawda?” Teraz jest mi głupio, że się tym przejmowałam. Przecież jutro może jej już nie być. – Nie chciałam doprowadzić cię do łez.

– Nie szkodzi. To dobre łzy, przysięgam – mówi i osusza sobie policzki papierowym ręcznikiem. Nie wygląda to na dobre łzy. Raczej na początek ataku paskudnego płaczu. W niczym nie przypomina teraz kobiety, którą zapewne była dzisiaj w pracy: profesjonalnej, rzeczowej, mającej wszystko pod kontrolą. – Tak się cieszę, że jesteś ze mną, Kit.

Wiem, że nie chciała, by mnie to zabolalo, a jednak tak się dzieje.

– Nigdzie się nie wybieram – mówię i unoszę mały palec, żeby złożyć obietnicę.

– Cały miesiąc bez niego – odpowiada, ignorując mój gest. – Jak to w ogóle możliwe?

– Nie wiem.

– Kit... – Czekam, aż w końcu to powie, aż wspomni o wypadku, a potem może wydusi z siebie kilka pustych słów, które mają mnie pocieszyć. Przygotowuję się psychicznie do rozmowy o tym, o czym jak dotąd nie chciała rozmawiać. – Masz cebulkę między zębami.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

# DAVID

**K**it znów zajmuje miejsce przy moim stoliku, chociaż wcale się tego nie spodziewałem. Wmawiałem sobie, że to nie ma znaczenia. Że siedziałem samotnie już 622 razy i że lubię swoją rutynę: czekanie, aż Naczyniowa – pani od obiadów – mnie obsłuży, ponieważ zawsze ma rękawiczki, a w dobre dni zakłada także siatkę na włosy; rozkładanie jedzenia w takiej kolejności, w jakiej będę je jadł, po jednym kęsie z każdego talerza, od najmniejszego do największego i z powrotem; włączanie muzyki zaraz po zajęciu miejsca, od Mozarta, który jest najlepszy do nawigowania po szkolnych korytarzach, po Beatlesów, odpowiednich do posiłku w środku dnia. Wmawiałem sobie, że nic nie szkodzi, jeśli już więcej nie będziemy ze sobą rozmawiać. Mam dwa istotne kontakty do wpisania w notesie, przy czym raz udało mi się w dodatku rozbawić Kit Lowell.

Tak, że głośno się śmiała.

I nawet odrzuciła głowę do tyłu.

– Mogę? – pyta i siada, nie czekając na odpowiedź.

Sięga do plecaka i wyjmuje wyszukany zestaw, który wygląda mi na chińskie jedzenie. Zapewne z Szechuan Gardens, najlepszej chińskiej

restauracji w Mapleview według rankingu Yelp, a jednocześnie jedynej chińskiej restauracji w naszym mieście. Bardzo lubię ich pikantną kwaśną zupę.

– Zawsze jesteś mile widziana. – Z miny, jaką mnie obdarza, wnioskuję, że to chyba nie była najlepsza odpowiedź. Prawda zwykle brzmi dziwnie.

Nie jestem w stanie wymienić wielu osób, które chętnie widziałbym przy swoim stoliku – może Joségo, który nosi okulary dwuogniskowe, albo Stephanie L., która nigdy się nie odzywa. Chociaż, z drugiej strony, może jednak nie. José zapewne nakłaniałby mnie do wstąpienia do Ligi Akademickiej, co robił już dwadzieścia sześć razy w ciągu ostatnich trzech lat. A Stephanie L. wygląda jak ktoś, kto głośno przeżuwa. Cierpię na mizofonię i wolałbym się nie denerwować odgłosami, które wydaje podczas konsumpcji.

– Mogę cię o coś zapytać?

Powstrzymuję się przed uwagą, że już mnie zapytała o to, czy może mnie o coś zapytać. Kiedy niedawno powiedziałem coś podobnego Miney w czasie rozmowy przez FaceTime, którą prowadzimy trzy razy w tygodniu o ustalonej porze, odparła: „Mały D., czy ty musisz być taki upierdliwy?”

Co też jest pytaniem, rzecz jasna, tyle że retorycznym.

– Oczywiście – mówię do Kit.

– Dlaczego zawsze siedzisz sam?

Wzruszam ramionami, a że nieczęsto to robię, czuję się dziwnie. To taki lekko przesadzony ruch, jakby wykonywał go aktor grający zdeorientowaną osobę w jakiejś sztuce.

– Teraz nie siedzę sam.

– Wiesz, o czym mówię.

Kit je sajonkę, usta jej błyszczą od tłuszczu. Tylko Kit Lowell potrafi z jedzenia zrobić makijaż.

– W tej szkole nie ma zbyt wielu osób, z którymi mam ochotę siedzieć tu i jeść drugie śniadanie – mówię. Jestem dumny z siebie, że powstrzymałem się przed dodaniem tego, co Miney nazywa zbyt dużymi informacjami: „Mówiąc, że nie ma zbyt wielu osób, chcę powiedzieć, że jesteś tylko ty, Kit”

– Nie jesteśmy wszyscy tacy straszni, wiesz? – Kit wykonuje gest ręką, jak gdyby chciała powiedzieć: „Jest tu wiele osób, z których można kogoś wybrać”. Możliwe też, że tylko odgania komara. Prawdopodobieństwo, że mam rację, wynosi osiem do dziesięciu.

– Wiedziałaś, że tylko w tym roku szkolnym spędzimy w tej stołówce sto osiemdziesiąt pięć i pół godziny? To sporo czasu poświęcanego ludziom, z którymi nic nas nie łączy, nie licząc trzech nieistotnych zbiegów okoliczności. Po pierwsze, podobnie jak miliony innych osób, urodziliśmy się w tym samym roku. Po drugie, tak się złożyło, że wychowaliśmy się w tym samym miasteczku. I po trzecie, nasi rodzice wysłali nas do tych samych placówek oświatowych w Mapleview. – Wymieniając wszystkie trzy punkty, wystawiam kolejne palce, co moja mama uważa za nieznośny zwyczaj. Przyznaję jej rację, ale trudno mi z nim zerwać. – Z punktu widzenia rodziców są to wystarczające czynniki pozwalające na zawarcie przyjaźni. Ale dla mnie, skoro na nic nie miałem wpływu – a gdybym miał, z pewnością dokonałbym innych wyborów – te wspólne cechy to za mało. Większość z tych osób, które twoim zdaniem nie są wcale takie straszne, jest wobec mnie niemiła. Odpowiadając więc na twoje pierwotne, choć nie pierwsze pytanie – tak na marginesie, sądzę, że było trzecie w kolejności – mam lepsze rzeczy do zrobienia niż marnowanie czasu na... – Zakładając, że jej gest był celowy, a nie oznaczał odganiania się od komara, naśladuję go. Mam wrażenie, że wypadło to nieco teatralnie, ale poza tym bardzo na miejscu i bardzo w jej stylu. – ...tych ludzi.

– Fajna przemowa – stwierdza Kit. – Ja też czasami tak się czuję. To

znaczy nie tyle w kwestii ludzi, którzy nie są wobec mnie mili, ale raczej w związku z tym, że mamy ze sobą niewiele wspólnego. Zresztą kto wie? Może wszyscy tak się czujemy? Ale nie zadałam ci tego pytania, które tak naprawdę chciałam ci zadać, pewnie trzeciego albo czwartego z kolei. Nie jesteś samotny, kiedy tak tu siedzisz? Wiecznie sam?

Podnoszę wzrok i napotykam jej spojrzenie. Oczy ma zielone, takie zielone! Dzisiaj nie włożyła męskiej koszuli, tylko sweter, który wydaje się miękkiej w dotyku. Gdy byłem mały i mama zmuszała mnie do pójścia na zakupy, zapamiętałem głaskałem takie miękkie swetry. Jest jasnożółty, w kolorze małego kurczaczka. Na szyi widać cienki złoty łańcuszek z zawieszka w postaci dużej stylizowanej litery K, którą często pociera między palcem wskazującym i kciukiem, jakby to był krzyż albo różaniec. Dżinsy ma podarte, widać jej kolana, a ja się zastanawiam, czy nie jest jej zimno.

W stołówce panuje hałas, bez słuchawek jest tu naprawdę głośno. Zdjąłem je, kiedy zauważyłem, że Kit zmierza w kierunku mojego stolika. W takich sytuacjach od razu uświadamiam sobie, dlaczego tak często zakładam słuchawki.

– Możesz zadać mi pięć pytań – odpowiadam. – I oczywiście, czasami czuję się samotny. Jak każdy.

– A widzisz! Masz z nami więcej wspólnego, niż ci się wydawało. – Uśmiecha się, jakbym powiedział coś radosnego, a nie przygnębiającego. Dziwne, bo byłem pewien, że moje słowa niosły w sobie smutek.

– Teraz moja kolej na zadanie pytania – stwierdzam stanowczo, chociaż to zbyteczne. – Dlaczego wybrałaś mój stolik?

– Szczerze? Wiedziałaś, że jeśli cię poproszę, dasz mi spokój. Jak zapewne zauważyłaś, ostatnio kiepsko sobie radzę z rzeczywistością.

Nie zauważyłem, ale nie mówię jej tego. W moich oczach wygląda dobrze. A nawet lepiej niż dobrze. Wręcz kwitnąco.

– Nie znoszę, kiedy wszyscy się na mnie gapią. Na przykład gdy

zaczynam jeść w obecności Vi i Annie, uznają, że zajadam stres i tak dalej, a przecież ja to w i e m. Naprawdę nie muszą mnie przekonywać, że nie powinnam bardziej przytyć.

– To sugerowałoby, że już przytyłaś – oświadczam. – A to nieprawda. Nie jesteś gruba. To znaczy... nie jesteś też chudzielcem. Powiedziałbym, że jak na swój wzrost masz przeciętną wagę, no, może dwa kilo więcej w nogach.

Kit wybuchła śmiechem. To już drugi raz, kiedy ją rozbawiłem; jest tak samo przyjemnie jak za pierwszym.

– Dziękuję – mówi. – Myślę, że jedynym rozwiązaniem w tej sytuacji była bezpośredniość.

– Nie ma za co. Ale nie powinnaś się przejmować wagą. Nawet gruba wyglądałabyś ślicznie. Masz mnóstwo miejsca do przytycia. – Próbuję nawiązać ponownie kontakt wzrokowy, ale tym razem to ona odwraca głowę. Ma zaczerwienione policzki.

– Gorąco ci? – pytam.

– Nie. Tu jest bardzo zimno.

W stołówce mamy około dziewiętnastu stopni, ale może jej jest chłodniej ze względu na odsłonięte kolana.

– Cierpisz na alergię skórą? – dopytuję się. Najwidoczniej jej układ nerwowy spowodował rozszerzenie naczyń krwionośnych. Najłatwiej jest mi określić przyczynę drogą eliminacji. Nie jestem zbyt dobry w społecznych niuansach, ale orientuję się w nich na tyle, że nie pytam, czy ją zakłopotalem tym pytaniem.

– Nie. Ale to dziwne pytanie. Dlaczego je zadałeś?

– Bez powodu. – Ha! Kolejne kłamstwo, zaczynam być w tym dobry. – Podoba mi się to wyrażenie „zajadać stres”. Zapisuję sobie idiomy, muszę je koniecznie dodać do swojej listy.

– Ty sam jesteś idiomem – mówi Kit, a mnie serce przestaje na chwilę bić. Wyśmiewa się ze mnie.

Jednak kiedy na nią spoglądam, widzę, że uśmiecha się przyjaźnie. „To pozytywna kpina” – myślę. Przekomarzanie się, jak w starych komediach romantycznych, które uwielbia moja mama. Nigdy nie potrafiłem się przekomarzać, ponieważ to wymaga refleksu, bystrości umysłu i świadomości, co należy powiedzieć.

– Bardzo ci za to dziękuję – mówię, po czym to na mnie przychodzi kolej, żeby się zarumienić. Nawet nie ma potrzeby stosowania drogi eliminacji. Dobrze wiem, co jest przyczyną.

Oglądam mnóstwo filmów, głównie ze względu na to, że prowadzę badania socjologiczne, ale również dlatego, że mam dużo wolnego czasu. Wywnioskowałem z nich, że nastolatki powinny otwarcie nie lubić swoich rodziców. Wskazane jest prosić, by wysadzili nas nie pod szkołą, ale ulicę dalej, a w sobotę wieczór narzekać na to, że tak wcześnie musimy wracać do domu. Powinniśmy wykraść im alkohol z barku, upijać się na parkingu z przyjaciółmi i podejmować idiotyczne decyzje, które prowadzą nieuchronnie do wypadków samochodowych. Należy się szczególnie denerwować, kiedy któreś z rodziców zadaje pytania odnośnie do czegokolwiek, co wiąże się z przyszłością bądź naszymi planami.

Jedną z korzyści płynących z bycia innym jest to, że żadne z powyższych zachowań do mnie nie przemawia. Moi rodzice dokonali koszmarnego wyboru w kwestii mojego imienia, a mojej mamie kupno pasty do zębów zabiera przeciętnie trzynaście minut więcej, niż to konieczne. Z kolei mój tata ma tendencję do wygłaszania przydługich wykładów na tematy, które interesują mnie jedynie marginalnie, jak na przykład rozkład ruchu drogowego czy ornitologia. A Miney zostawiła mnie i wyjechała na studia. Ale i tak lubię swoją rodzinę i zawsze wyczekuję naszych popołudniowych dyskusji.

– Jak minął dzień? – pyta mama dzisiaj, jak codziennie, gdy wracam ze szkoły. Wkłada do piekarnika lasagne, ponieważ dzisiaj jest wtorek,

a wtorek to dzień makaronowy. Co prawda lasagne naciąga nieco tę kategorię, ale staramy się z tatą podchodzić do sprawy elastycznie. Wtorek oznacza także, że będę miał lekcję gry na gitarze, którą lubię bardziej, niż nie lubię swojego nauczyciela, Treya – a to wiele tłumaczy. Później odbędę sześćdziesięciotrzyminutowe szkolenie ze sztuk walki.

– Kit dzisiaj znowu usiadła przy moim stoliku.

– Bez jaj! – mówi mama. – Poważnie?

– Poważnie – odpowiadam i pozwalam, żeby jej „bez jaj” przeszło bez echa, chociaż dobrze wie, że nie lubię tego wyrażenia. Od razu przychodzi mi na myśl jedzenie, które kojarzy się z mlaskaniem, a to jeden z najbardziej znieawidzonych przeze mnie odgłosów, zaraz po pisku, zuciu i sapaniu. Mam też listę ulubionych dźwięków. Znajduje się na niej jeden punkt: śmiech Kit.

– Rozmawialiście ze sobą? Zdjąłeś słuchawki?

– Oczywiście.

Moja rozmowa z Kit to kolejny „Istotny kontakt”, a do tego zdecydowanie pozytywny i tak przyjemny, że wcale nie chcę go zapisywać w notesie. Wolę udawać, choćby przez krótką chwilę, że to nie jest odosobniony przypadek wymagający zapisywania.

– Wiem, że jej zdaniem jestem dziwny, ale chyba raczej to akceptuje. Tak jak wy i czasem Miney. Czy mówię sensownie?

Często zadaję to pytanie – zwykle rodzinie, ponieważ cenię sobie klarowność i przyjmuję, że inni także. Tak jak zamawianie steku i nadawanie imienia dziecku, język również wydaje się z natury nielogicznie optymistyczny. Po prostu zawsze zakładamy, że ta druga osoba rozumie, o czym mówimy. Że – jak to wyjaśnia idiom – nadajemy na tych samych falach. Z mojego doświadczenia wynika, że wcale tak nie jest.

– Całkowicie sensownie. Nawet widzę ciebie i Kit jako przyjaciół. To sympatyczna dziewczyna. Kiedy byliście mali, przychodziła na wszystkie



twoje urodziny. Pamiętałeś o tym?

– Nie, ale nie jestem pewien, czy z przyjęć urodzinowych, na które się chodzi w dzieciństwie, można wnioskować o przyszłym charakterze człowieka – stwierdzam, a moja mama nawet nie wzdycha – ma wprawę w powstrzymaniu tego odruchu. Gdyby na jej miejscu znalazła się Miney, z pewnością głęboko by westchnęła. Coraz lepiej wychodzi mi słuchanie samego siebie i to westchnienie byłoby w pełni zasłużone. – Ale masz rację, jest sympatyczna.

– I nieludzko inteligentna, tak jak ty.

– Nie jestem pewien, czy słowo „nieludzki” odnosi się w jakikolwiek sposób do Kit. Jest ludzka i bardzo normalna.

– Oraz ładna.

To zbyt słabe określenie – tak samo jak jej imię.

– Nie ładna – poprawiam mamę. – Ś l i c z n a.

Trey jak zwykle przychodzi punktualnie, dobrze wie, że nie lubię spóźniałskich. Ma na sobie to, co zawsze: muszlę zawieszoną na rzemyku u szyi, którą przywiózł „z Bali, kapujesz?”, złachmanioną koszulkę z jakimś hasłem („Zrób to!”) albo pustym frazesem („yolo!”) oraz japonki, nawet zimą. Studiuje w Princeton, ale w niczym nie przypomina chłopaków z broszury, którą mi kiedyś przyniósł. Nie wkłada wojskowych spodni khaki, nie nosi paska ani bluzy uczelnianej, no i nie jest biały. Zapytałem go raz, jaki właściwie jest, na co odparł, że to niegrzeczne pytanie, ale ostatecznie wyjaśnił, że jest w jednej czwartej Chińczykiem, w jednej czwartej Hindusem i w połowie Afroamerykaninem. Kit jest w połowie Hinduską, ale wygląda zupełnie inaczej – to tylko dowód na to, że genetyka jest fascynującą dziedziną wiedzy.

– Jak leci, stary? – pyta Trey, gdy mamy już za sobą kilka ćwiczeń na rozgrzanie palców. Zdaję sobie sprawę, że to taka rozmowa o niczym. I wiem, że świat nic by nie stracił, gdyby nie trzeba było takich rozmów

prowadzić. Nie jesteśmy przyjaciółmi, tylko nauczycielem i uczniem.

– Dobrze – odpowiadam i wskazuję na gitarę, żebyśmy kontynuowali. Może Trey ma ADHD. Muszę sprawdzić kryteria diagnostyczne w *DSM*.

– Posłuchaj – mówi, a ja wydaję z siebie jęk, ponieważ jest taka rzecz, która mnie denerwuje w Treyu (co dziwne – to jedyna osoba, jaką znam, obdarzona właściwym imieniem), a mianowicie: Trey jest świetnym nauczycielem gry na gitarze, ale niestety na tym nie poprzestaje, a ja wolałbym, żeby trzymał się tylko swojej pracy. Tymczasem on lubi wygłaszać wykłady na temat życia, daje mi wskazówki odnośnie do mojego notatnika i stawia przede mną rozmaite „wyzwania”, które są dla mnie niekomfortowe. Na przykład kazał mi co tydzień rozmawiać z inną (nową) osobą – co w końcu zrobiłem, ale być może zatrzymam to dla siebie, ponieważ nie chcę dawać mu satysfakcji. Albo polecił mi pożyczyć długopis od kolegi z klasy, co w ogóle nie ma sensu, ponieważ wszyscy korzystamy z laptopów. Oraz zapisać się do Ligi Akademickiej, co już stanowi nawracający motyw w moim życiu.

„Posłuchaj” to w rzeczywistości zaszyfrowany przekaz typu: „Za chwilę poproszę cię, żebyś zrobił coś, czego nie chcesz”. Zwykle nie jestem zbyt dobry w rozumieniu podtekstów, ale Trey posługuje się prostym językiem.

– Robię taki występ.

– Nie – odpowiadam.

– Przecież nawet nie wiesz, co chcę powiedzieć.

– Nie – powtarzam. – Wróćmy do *Stairway*.

– Chciałbym, żebyś wystąpił.

– Nie.

– To się odbędzie w kawiarni, całkowicie bezstresowa sytuacja, przyjdzie jeszcze paru moich uczniów.

– Nie. Nie ma mowy.

– David, to ci wyjdzie na dobre. I myślę, że polubisz pozostałe osoby, są podobne do ciebie.

– Do mnie... W czym są podobne do mnie? – pytam. Chociaż nie wiem, o co mu chodzi, nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa.

Trey milknie. Gładzi się po gładkiej brodzie w typowym dla siebie geście. Próbowałem go naśladować przed lustrem, ale do mnie ten gest nie pasuje.

– Są fajni, trochę nieśmiali. To nie osoby, które dobrze się czują podczas występów.

– Logika podpowiada, że w takim razie nie powinny występować – mówię i gram szybki riff, by dać mu do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

Później, kiedy ćwiczę codzienną krav magę, zamiast fantazjować jak zwykle o tym, że zostałem napadnięty przez uliczną bandę gangsterów, którzy biorą mnie za członka rywalizującego gangu – przyznaję, to nierealna historia, ponieważ nie słyszałem o wojnach gangów w naszym mieście – wyobrażam sobie, że ktoś kradnie Kit torebkę na głównej ulicy. Ścigam winowajcę, obezwładniam go szybkim kopniakiem w krocze i poprawiam ciosem łokciem. Owszem, w krav madze należy unikać konfrontacji i atakować wyłącznie w samoobronie, ale dzisiaj pozwalałam sobie na wyjątek od tej zasady. Kopię, uderzam, robię wymachy raz za razem. Próbuję wyobrazić sobie twarz Kit, jej zaróżowione policzki, tak jak dzisiaj w stołówce. Tym razem jednak nie są one oznaką zakłopotania, lecz dumy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

# KIT

**P**o lekcjach Violet i Annie czekają na mnie pod salą komputerową. Na ich twarzach maluje się coś, co interpretuję jako fałszywe współczucie. Zmarszczone brwi, troska przebijająca z półuśmieszków, jakby zamierzały dokonać jakiejś interwencji. Albo były emotikonami w ludzkiej skórze, przygotowanymi do wysłania konkretnego przekazu.

A może jednak to autentyczne współczucie. Nie wiem. Tak czy inaczej, wcale mi się to nie podoba. Wszędzie tylko przypomnienie tego, co się stało.

– Cześć – mówię niedbale. Udaję, że wcale nie złamałam niepisanych zasad naszej przyjaźni ani że się nie spodziewam tego, co chcą mi powiedzieć. Zignorowałam ich liczne telefony i esemesy. Bez słowa wyjaśnienia i bez wyraźnego powodu przesiadłam się do innego stolika w stołówce. Nie wyraziłam swojej opinii na temat nowych džinsów Violet. – Co tam?

– Chyba powinniśmy pogadać – stwierdza Annie i chociaż stara się być miłą, wyczuwam, że w głębi duszy jest wkurzona, ale wie, że nie wolno jej się wściekać. Śmierć mojego taty to jednocześnie najlepsza i najgorsza karta przetargowa.

Violet obejmuje mnie ramieniem, muszę się powstrzymać, żeby się nie wzdygnąć. Nie chcę takiej bliskości, nie do końca szczerzej, ale udaję, że jest okej. Mrugam, by powstrzymać szczypiące łzy.

Violet wygląda jak zwykle elegancko. Ma na sobie rozpinaną bluzkę z kołnierzykiem, włosy splotła w skomplikowany warkocz, który leży jej na ramieniu, i włożyła ściskającą mózg opaskę. Wygląda jak modelka J. Crew. To najbardziej biała osoba, jaką kiedykolwiek spotkałam. Annie też jest biała, w końcu Mapleview to dość jednorodne pod tym względem miejsce. Nie jest jednak tak spektakularnie biała, jeśli rozumiecie, o czym mówię. Nie nosi się tak elegancko jak Violet, jej rodzice nie grają w golfa w ekskluzywnym podmiejskim klubie i nie silą się na wzmiankę o Indiach albo jakimś przypadkowym Hindusie za każdym razem, gdy rozmawiają z moją mamą. Rodzice Annie są liberalnymi Żydami, którzy spotkali się podczas pracy dla Korpusu Pokoju w Katmandu. Rozumieją, że świat to zróżnicowane miejsce, a „inny” nie znaczy przerażający. Zaskakujące, ile osób uważa, że te pojęcia są tożsame.

Gdybym nie znała Violet od czwartej klasy szkoły podstawowej, kiedy jej rodzice przeprowadzili się tu z Connecticut, w życiu nie powiedziałabym, że zostaniemy przyjaciółkami. Ale mimo wykrochmalonych kołnierzyków, cukierkowych pasków i rodziców o subtelnie rasistowskich poglądach, którzy opanowali do perfekcji sztukę mikroagresji, Violet jest w głębi duszy bardzo wrażliwa i sentymentalna. To ona jako pierwsza mówi mi, że coś mam w zębach albo coś mi się przykleiło do buta. Zostawia długie wpisy w moim kalendarzu, pełne zrozumiałych tylko dla nas dowcipów, korzystając przy tym z różowego i fioletowego pisaka. Kiedy dowiedziała się o wypadku, natychmiast przyjechała do mnie do domu i czekała, dopóki nie wróciłam z mamą. Zanim zdążyłam wysiąść z samochodu, ona już mnie do siebie tuliła. Od samego początku postępuje właściwie, jakby

w najmniejszym szczególe stosowała instrukcję bycia najlepszą przyjaciółką. To nie jej wina, że ja przestałam umieć rozmawiać z innymi. Że od gadania z nimi właściwie wolę ich złość.

Nasza przyjaźń miała rację bytu dlatego, że doskonale się uzupełniamy. Gryzące się wzory na strojach Annie i jej szalone bluzy idealnie współgrają z jej osobowością. Jestem pewna, że bez niej spędzałybyśmy każdą sobotę w piwnicy Violet, jedząc oreo i ostro imprezując za pomocą Instagrama. Dzięki Annie nasze życie jest pełniejsze – oczywiście w granicach Mapleview, co oznacza, że nadal jest bardzo ograniczone. Ale i tak pełniejsze, niż byłoby bez niej.

– Słuchajcie, przecież ta cała historia ze stołówką nie jest aż tak poważna, żeby wymuszać konieczność „rozmowy”. Po prostu jestem trochę nieobecna duchem – mówię i wykorzystuję okazję, by przełożyć plecak na drugie ramię, a tym samym strącić rękę Violet w najbardziej niewinny sposób. – Mam swoje sprawy.

Od szkoły podstawowej to Annie jest motorem mojego życia towarzyskiego i powodem, dla którego większość popołudni spędzamy w Pizza Palace jako satelity planet nazywanych Justin i Gabriel. To dzięki niej mamy najlepsze miejsce w stołówce i jesteśmy zapraszane na imprezy. W moim świecie nie istnieją żadne „sprawy”, w których ona by nie uczestniczyła.

– WTF? – pyta teraz. Czasami porozumiewa się skrótami, to zwyczaj, który sama od niej przejęłam. W głowie odpowiadam: „OMG, potem, dobra?”

– Annie, weź wyluzuj – odzywa się Violet.

– Sorry, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. – Annie znów się krzywi, jakby coś sprawiało jej ból, na przykład jakby właśnie przechodziła regulację brwi woskiem. – Martwię się o ciebie, Kit. Powinnaś z nami porozmawiać, w końcu jesteśmy twoimi przyjaciółkami.

– Po prostu potrzebuję trochę przestrzeni – odpowiadam. – Nie chodzi o was, ale o mnie.

– Dlaczego mówisz tak, jakbyś z nami zrywała? „Nie chodzi o was, ale o mnie” „Potrzebuję przestrzeni” – Annie śmieje się, jakby chciała rozluźnić atmosferę. Jakby moje słowa można było obrócić w żart i rozwiązać wszystko śmiechem.

Prawie mówię: „Przeginasz”

Prawie mówię: „Teraz na śmiech trzeba sobie zasłużyć”

Prawie mówię: „Przestań, proszę”

Prawie mówię: „Przepraszam”

– To nic wielkiego, tylko obiad w stołówce – mówię.

– Kit ma na myśli to, że przechodzi teraz trudne chwile. Ze względu na wszystko – stwierdza Violet, a ja muszę walczyć z irracjonalnym rozdrażnieniem wywołanym tym eufemizmem.

„Wszystko” to śmierć mojego taty. Dlaczego nie może nazwać sprawy po imieniu?

Nawet lekarz, który wyszedł z sali operacyjnej, by przekazać mamie i mnie wieści, użył sformułowań określanych przez naszą nauczycielkę angielskiego „owijaniem w bawełnę”. „Straciliśmy go” – powiedział. „Odszedł”. Jakby tata był zgubioną w supermarkecie kartą kredytową albo szczeniakiem, który wyslizgnął się przez uchylone drzwi.

Tylko David wczoraj wypowiedział na głos te słowa. Nieubarwioną, straszną prawdę.

– Przecież po to masz przyjaciółki. Żebyśmy mogły ci pomóc – stwierdza Annie.

Spoglądam na nią, zastanawiam się, co rozumie przez słowo „pomoc”. Zapewne próbę wskrzeszenia dawnej Kit. Kit sprzed „wszystkiego”. Tylko że to niemożliwe, tamta Kit umarła razem ze swoim tatą. „Straciliśmy ją” – myślę. „Odeszła”

– To nie jest zdrowe – mówi Annie. – To, że nas od siebie odsuwasz.

– Zdrowe – powtarzam, bo nagle przestaję rozumieć, co oznacza to słowo.

Co „zdrowe” ma wspólnego z tym, jak się teraz czuję? Czy chodzi o niewyobrażalny ból, przez który z trudem funkcjonuję? Stoję tu zaledwie kilka minut, ale mam wrażenie, że to trwa wiele godzin albo nawet dni. Czas stał się nieskończonym i nieprzeniknionym tworem, czymś, co trzeba jakoś przetrwać i przeżyć. Zdrowie nie jest w tym istotne. Tego nie da się wyleczyć rozmową ani zielonym sokiem warzywnym. To „wszystko” nie zniknie po czterdziestośmiogodzinnym procesie oczyszczania.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego na głos, ale po prostu nie mogę. Nie wiem, jak to zrobić.

– Dziewczęta! – woła nas pan Galto, opiekun szkolnej gazety, i wydaje z siebie nieśmiertelne nauczycielskie westchnienie. Jakbyśmy były kłopotliwymi więźniarkami, a nie najlepszymi uczennicami w szkole. – Jeśli chcecie powalczyć o funkcję redaktora naczelnego, zapraszam do środka.

Ponieważ nie jestem wyjątkowo uzdolniona sportowo, muzycznie ani w żadnej innej dziedzinie, od zawsze chciałam pełnić funkcję redaktorki naczelnej. Violet i Annie też mają na to chrapkę. To właśnie w taki sposób dziewczyny naszego pokroju wypełniają puste miejsca w podaniach na studia – bez konieczności pocenia się na treningach czy wstępowania do zespołu cheerleaderek. Dzisiaj jest dzień, w którym trzeba oficjalnie zgłosić swoją kandydaturę. Co prawda ostatnio nie oddałam kilku artykułów w terminie, ale mam nadzieję, że moja karta przetargowa działa także na zajęciach pozalekcyjnych.

– Proszę! – mówię do Annie i Violet. To najgorsze słowo, jakiego mogłam użyć, ponieważ wraca to samo spojrzenie, tyle że teraz to autentyczna litość. Rozpoznaję ją mimo otumanienia żałobą.

– Ale o co prosisz? – pyta Annie tak delikatnym głosem, że prawie się



rozklejam.

Annie nie powinna być delikatna, ale agresywna, a momentami nawet trochę wredna, ponieważ tylko ona z naszej trójki podejmuje ryzyko i bierze się za bary z różnymi rzeczami. Teraz powinna mi powiedzieć, że mam się wziąć w garść i przestać się pogrążyć w rozpacz. Może nawet byśmy się pokłóciły o to, że nie rozumie, co się ze mną dzieje. Wszystko byłoby lepsze niż to.

Dolna warga zaczyna mi drżeć, uświadamiam sobie, że jeśli zostanę tu choćby sekundę dłużej, wybuchnę płaczem. Na korytarzu szkolnym, tuż po ostatnim dzwonku, kiedy wszyscy wyszli z klas.

O nie. Nie będę tu płakać. Nie ma mowy.

– Ostatnia szansa! – woła pan Galto.

Robię jedyną rzecz, jaką mogę zrobić w takiej sytuacji. Uciekam.

Marnuję niemal trzy pełne lata pracy nad gazetą i swoją jedyną szansę na zostanie redaktorką naczelną.

Pędzę przez korytarz.

Gdy w końcu docieram do samochodu – i od razu sobie uświadamiam, że to ostatnie miejsce na świecie, w którym mam ochotę się znaleźć – opuszczam szyby, włączam klimatyzację na pełny regulator. Uruchamiam radio. Łzy jednak się nie pojawiają.

Jestem zbyt zdruzgotana, żeby jechać, więc siedzę w środku i wpatruję się w zegar na tablicy rozdzielczej, zdumiona tym, że cyfry się nie poruszają.

– Proszę, proszę, proszę – szepczę raz za razem. To pusta mantra, ponieważ nadal nie wiem, co to za prośba.

Rozdzwania się telefon stacjonarny – z prawdziwym kablem, przymocowany do ściany, rodem chyba z osiemnastego wieku czy coś w tym rodzaju. Nasz telefon „na wszelki wypadek”, na którego zainstalowanie uparł się tata, chociaż każde z nas miało swoją komórkę. Taki właśnie był. Co roku na uczczenie własnych urodzin wymieniał

baterie w naszym alarmie pożarowym i w czujniku czadu. Na wypadek tornada, huraganu albo apokalipsy zombiaków mamy w piwnicy zapas suszonego mięsa, wody oraz jedzenia w puszkach. Z kolei na lodówce wisi zalaminowana kartka z numerem centrum leczenia zatruć, chociaż mam już szesnaście lat i raczej małe jest prawdopodobieństwo, że przypadkowo połknę tabletkę do zmywarki.

„Nigdy nie wiadomo” – zwykł był mawiać. „W życiu dzieją się niewyobrażalnie złe rzeczy”

Tata został sierotą w wieku dwudziestu paru lat. Jego rodzice zmarli na raka w odstępie roku – nowotwór prostaty w wypadku mojego dziadka i piersi u babci, która tak jak ja miała na imię Katherine.

– Aliteracyjne nowotwory – żartował tata. – Koszmar.

Nigdy wcześniej się nie zastanawiałam, jak to jest, kiedy się traci oboje rodziców. Ile musiało go kosztować rozmawianie o tym tak lekko ze mną – głupią nastolatką, która nie poznała jeszcze ciężaru „na zawsze” i śmiała się z zestawienia słów „aliteracyjny” i „nowotwór”, jakby to był nie wiadomo jaki dowcip.

Mama powiedziała, że po śmierci rodziców tata zmienił się nie do poznania. Przestał chodzić na piwo z kumplami, odstawił gitarę elektryczną i obciął grunge’owe włosy. Zaczął brać na poważnie ich związek, który wcześniej oboje traktowali jako przelotne zauroczenie. Poszedł na stomatologię, chociaż nie pasjonowały go zęby, dziąsła ani zapalenie przyzębia. Właściwie z dnia na dzień stał się dorosły, przedkładając praktyczność i stabilizację nad namiętności i pasję.

Myślę o bezpiecznym kłoszu, który tata tak starannie dla mnie konstruował – to bezpieczne miasteczko, dom z systemem alarmowym, nasza trzyosobowa rodzina – i o tym, że tak naprawdę w ogóle nie zdołał nas ochronić. Tata zrobił to wszystko, żeby poczuć się lepiej. Pewnie każdy z nas udaje, że ma jakąś kontrolę nad przeznaczeniem. Uświadomienie sobie prawdy – że cokolwiek robimy, cios spadnie

znieńcka, kiedy najmniej będziemy się go spodziewać – jest niemożliwe do zniesienia.

Telefon znów dzwoni, a ja podskakuję, jakbym oglądała horror. Tak samo się boję odebrać, jak i nie odebrać.

– Kitty? – To wujek Jack, przyjaciel taty, mój ojciec chrzestny. Na pierwszym roku studiów dzielili pokój w akademiku, był świadkiem na ślubie moich rodziców i częstym gościem w naszym domu w ostatnim roku – po tym jak zostawiła go żona. W ubiegłym miesiącu dodał do tego jeszcze funkcję naszego sekretarza.

– Co się stało? – pytam, ponieważ to jest telefon n a w s z e l k i w y p a d e k i służy do meldowania o w y p a d k a c h.

– Nic się nie stało, wszystko dobrze. To znaczy... wiadomo, nie jest dobrze... Mama jest może w domu? Dzwoniłem do niej do biura, ale powiedzieli, że jej nie ma.

Mama wyszła rano do pracy jak zwykle, wyglądała nawet lepiej niż wczoraj.

– Nie, nie ma jej.

Znam wujka Jacka od dziecka. „Wujek” to tytuł honorowy stosowany w hinduskich rodzinach jako wyraz szacunku, chociaż tak naprawdę wujek Jack nie należy do rodziny (gwoli ścisłości nie jest też Hindusem). Gdy byłam małą, wyciągał mi monety zza ucha i zginał kciuk tak, że wyglądało, jakby pękł mu na pół. Przyszedł na zakończenie gimnazjum, ponieważ chciał mnie zobaczyć na scenie. Przez ostatni miesiąc na okrągło powtarza to samo, choć na różne sposoby: „To był wypadek”. Nie chcę tego więcej słuchać.

Przypomina mi się, jak policja powiedziała nam o zepsutych światłach na skrzyżowaniu (mieli je naprawić pod koniec tygodnia) i o zbadaniu tego drugiego kierowcy około dwóch godzin po wypadku – poziom alkoholu w jego krwi nie przekraczał normy. Nie doszło do przestępstwa, nie było komu postawić zarzutów. Myślę o tym, jak

tamten samochód wjechał na skrzyżowaniu prosto w tatę. Dosłownie w niego. Zabiła go siła uderzenia.

Mama nie wie, że dzień po wypadku, kiedy spała po zażyciu kanaksu, wzięłam taksówkę i pojechałam na złomowisko, żeby się przekonać, co zostało z auta. Musiałam to zobaczyć na własne oczy. Dowód na to, że mój tata naprawdę nie żyje. Nie „odszedł”, jak powiedział lekarz, co sugerowałoby, że znajduje się w jakimś miejscu, w którym można go znaleźć.

Z naszego volva zostało origami. Zrobiłam zdjęcie, jednak wcale nie poczułam się realniej. Wypadek był jak pusta plama, opowiedziana przez kogoś historia o postaciach, których nie znałam, ludziach, którzy nas nie obchodzą. Ale na złomowisku znajdował się nasz samochód, mój tata zginął, a ja nie.

Ja przeżyłam.

Nigdy nie było mi dane poznać rodziców taty, moich drugich dziadków. Jeżeli kiedykolwiek będę miała dzieci, one nie poznają mojego ojca. Jeśli kiedyś pójdę do ołtarza, nie poprowadzi mnie tam. Gdy skończę studia, na widowni zasiądzie tylko mama. Od tej pory każda szczęśliwa chwila będzie miała gorzki, przeraźliwie smutny posmak żałoby.

– To był straszny wypadek – mówi Jack. – Koszmar.

Niedobrze, że powtarza słowa taty. Stosuje ten sam pusty refren. Po raz pierwszy słyszę w nim wyraźne kłamstwo. Świadomość koszmaru nie złagodzi rzeczywistości. To wprowadzanie w błąd, coś jak werbalna sztuczka.

A nie prawda. Nie ma w tym żdźbła prawdy.

Wieczorem mama przychodzi do mojego pokoju, żeby mnie przytulić na dobranoc, czego nie robiła od dawna, być może od wielu lat. Ostatnio zasypiamy w połowie tego, co właśnie robimy, zapychając się zbyt często jedzeniem na wynos. Po prostu funkcjonujemy tak długo,

aż nasze organizmy padną.

– Skarbie? – Mama siada obok mnie na łóżku, a wtedy kołdra zaciska mi się na szyi. Nie proszę jednak, żeby się przesunęła. Wzięłam cztery tabletki ibuprofenu, żeby pozbyć się tego trudnego do określenia uczucia, dziwnej drżącej pustki. Jednak ibuprofen wyraźnie na to nie działa. – Dzisiaj w pociągu spotkałam mamę Violet.

– Taaa? Wspomniała o curry? – pytam, jakbym się wcale nie spodziewała tego, co za chwilę nastąpi. Oczywiście było kwestią czasu, żeby któraś z moich przyjaciółek powiedziała coś swojej mamie, a ta przekazała to mojej. To jak zabawa w głuchy telefon, którą lubiliśmy jako dzieci.

Mama śmieje się z mojego niezartu.

– Tym razem nie. Ale podobno Violet powiedziała jej, że nie siedzisz z dziewczynami w stołówce. – Mama gładzi mnie po włosach o dwa odcienie jaśniejszych od swoich. Zawsze chciałam przefarbować się na ciemny brąz, żebyśmy wyglądały podobnie.

Gdy byłam mała, wierzyłam, że mama jest prawdziwą superbohaterką. Że Mandip Lowell to tylko przybrana tożsamość i że każdej nocy, kiedy ja już śpię, ona walczy z przestępcami i wymierza bandytom kopniaki z głośnym „hi-ja!”. Teraz uważam, że mogłaby grać jedną z tych zbyt ładnych policjantek w jakimś serialu telewizyjnym. Taką, która biegnie sprintem ślepa uliczką stworzoną na planie filmowym. Z uniesioną atrapą pistoletu wymierzona w bandziora. „Stój albo strzelam!”

Moja mama to twardzielka. I potrafi biegać na obcasach.

Ale powiedzmy sobie szczerze: prędzej zaangażowano by ją do roli terrorystki, kierowcy taksówki albo ekspedientki w spożywczaku. Nieczęsto spotyka się w telewizji osoby, które wyglądają oraz brzmią tak jak ona.

– To nic wielkiego, mamó. Po prostu potrzebuję trochę przestrzeni dla

siebie.

Kiwa głową, jakby rozumiała. Może faktycznie rozumie.

– Nie zniosę myśli, że siedzisz sama.

– Nie siedzę sama, tylko z takim chłopakiem, Davidem Druckerem.

Jest w porządku.

– David Drucker? Syn Amy? Oryginalny dzieciak.

Bawi się moimi włosami, puszcza kosmyk, a on sprężynuje i z powrotem układa się w falę. Przypuszczam, że mama jest zawiedziona, kiedy patrzy na mnie, swoje jedyne dziecko. Piękne kobiety powinny mieć piękne córki. A przynajmniej mogła oczekiwać, że będę miała „egzotyczną” urodę – to okropne słowo, które każda osoba o mieszanym pochodzeniu słyszy setki razy w życiu. Chociaż mnie to akurat nie dotyczy. Cechy wyglądu moich rodziców skrzyżowały się, tworząc osobę, na którą się patrzy i natychmiast zapomina. Mam skórę na tyle brązową, że w naszej typowo białej dzielnicy trafiają się ludzie dość nieuprzejmi, by zapytać mnie, skąd pochodzę. Wydają się rozczarowani, gdy nie odpowiadam, że z Ameryki Łacińskiej, bo takie jest zwykle ich podejrzenie. Jakby rozszyfrowywanie mojego pochodzenia było świetną zabawą.

– Kiedy byłaś mała, chodziłaś do Davida na urodziny – mówi mama.

– Jest dziwakiem, ale być może w pozytywnym tego słowa znaczeniu, wiesz? – Patrzę na mamę i myślę, że pewnie nie ma superbohaterek o tak ciemnej karnacji, a ja jestem zapewne zbyt pulchna, żeby wystąpić w telewizji. Może powinnam wyprostować włosy. I pofarbować na ciemniejszy odcień. Więcej czasu spędzać na słońcu. W ten sposób staniemy się z mamą podobne do siebie. Teraz, kiedy taty nie ma obok nas, wyglądamy idiotycznie.

Chciałabym powiedzieć mamie, że David był jego pacjentem, ale nie jestem w stanie wymówić na głos słowa „tata”

– Naprawdę? Czyli co, chcesz wrócić do zabawy z Davidem? – Mama

unoszą brwi.

– To nie tak.

– Nadal jest taki śliczny?

Łapię się na tym, że uśmiecham się do sufitu. I prawie się śmieję, ponieważ ze wszystkich facetów w całej szkole ja myślę właśnie o Davidzie Druckerze. Największym dziwaku.

Ale jest śliczny.

Na swój sposób.

Ponieważ to nadal David Drucker.

– Na bezrybiu i rak ryba, moja droga – mówi mama i wybucha śmiechem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

# DAVID

**K**rzyżuję palce. Wiem, że to dziecinada. Irracjonalne zachowanie, a ja przecież wcale nie jestem przesądny. Nie wierzę w takie wymysły jak przeznaczenie. Wierzę w naukę, w to, co widać i czuć, co można zmierzyć czułymi instrumentami. A jednak to, że przez trzy dni z rzędu Kit usiądzie przy moim stoliku, jest mniej więcej tak samo prawdopodobne jak stokrotne podrzucenie monety, by za każdym razem wypadła reszka. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają.

Na pewno wczoraj powiedziałem przypadkowo coś obraźliwego, jak to mam w zwyczaju, i już nie będziemy się przyjaźnić – o ile dwukrotne siedzenie razem przy jednym stoliku i rozmawianie ze sobą na trybunach boiska klasyfikuje się jako przyjaźń. Oczywiście dla mnie tak, ale przypuszczam, że Kit ma większe oczekiwania. Powtórzyłem Miney naszą rozmowę, słowo w słowo, a ona oznajmiła, że pod żadnym pozorem nie wolno mi już nigdy poruszać przy dziewczynie tematu jej wagi, nawet jeśli sama zacznie. Była bardzo nieugięta w tej kwestii i nawet kazała mi ją zapisać w notesie w dziale „Zasady”

Jak się okazuje, istnieje tylko jedna prawidłowa odpowiedź na zadane przez dziewczynę pytanie: „Czy jestem gruba?”



Brzmi ona: „Nie”

Dlatego właśnie trzymam kciuki, z przeczącą logice nadzieją, że nie zepsułem wszystkiego i że – choć nic na to nie wskazuje – wystarczy czegoś pragnąć, by się to spełniło. Mija pięć minut przerwy obiadowej i kiedy mój optymizm zaczyna się rozpląwać w powietrzu, w stołówce pojawia się Kit Lowell i zmierza prosto do mojego stolika. Być może wkrótce n a s z e g o, chociaż nie jestem pewien, ile razy powinniśmy ze sobą usiąść, żeby można było użyć zaimka dzierżawczego w pierwszej osobie liczby mnogiej.

– Wczoraj na fizyce sporządziłem dla ciebie notatki – mówię, gdy Kit wyjmuje drugie śniadanie, jakieś resztki hinduskiej potrawy na wynos. Mam nadzieję, że ze Star of Punjab, która według Yelp jest drugą pod względem jakości restauracją hinduską w Mapleview. Razem z tatą odmawiamy odwiedzania restauracji zajmującej pierwszą pozycję – Currylandia – chociaż statystycznie rzecz biorąc, na ich korzyść przemawia dodatkowe siedem pięciogwiazdkowych opinii. Jednak z zasady nie chodzimy do restauracji tematycznych, zwłaszcza gdy opierają się na tak idiotycznej zasadzie jak udawanie, że każdy klient jest turystą w mitycznej krainie zwanej Currylandią.

– Dzięki – odpowiada, nakładając sobie na talerz ryż i kawałek chlebka naan.

Podwójna porcja węglowodanów, co jest kiepskim pomysłem, jeśli Kit, tak jak sugerowała wczoraj, martwi się, że przytyje. Zachowuję jednak to spostrzeżenie dla siebie. „Dziękuję ci, Miney!”

– Zwykle nie robię notatek, a do tego przypuszczam, że twoje przyjaciółki je zrobiły, ale uznałem, że moje będą lepsze – mówię.

Kit się krzywi, co jest częstą oznaką niezadowolenia. Zastanawiam się, co zrobiłem nie tak. Przygotowałem dla niej także zarys materiału na rozszerzony angielski i rozszerzoną historię, ale Miney nie kazała mi ich proponować, dopóki Kit sama nie poprosi. Nie chcę się „wychylać”,

cokolwiek to oznacza.

– Cholera jasna, widzę, że podchodzisz do sprawy bardzo poważnie! – mówi Kit, zerkając na moje notatki, które zawierają złożone trójwymiarowe rysunki przedstawiające każdy krok przeprowadzonego w laboratorium fizycznym eksperymentu z użyciem nadmanganianu potasu. Jej twarz się nagle zmienia. Zakwita na niej uśmiech, co oznacza, że ją uszczęśliwiłem. – Robiłeś to chyba całe wieki. Cudowne, naprawdę.

– Nie wieki. Około siedemdziesięciu sześciu minut.

– To nie są notatki z fizyki, ale sztuka. Poważnie, nie musiałeś tego robić.

– Poważnie, chciałem to zrobić.

– W takim razie dziękuję. Poważnie.

Kolejne p r z e k o m a r z a n i e s i ę, być może wkrótce będzie to moje ulubione słowo.

– Star of Punjab? – pytam.

– Tak. Nie lubię Currylandii. To hinduskie jedzenie dla idiotów.

Uśmiecham się szeroko, nie mogę się powstrzymać.

– Chcesz się poczęstować? – pyta Kit.

Kiwam głową, chociaż nie lubię brać jedzenia od nikogo. Kit wygląda jednak na idealnie zdrową, wręcz krzepką, a poza tym byłaby warta zachorowania – oczywiście, o ile nie złapałbym czegoś uciążliwego, na przykład mononukleozy zakaźnej. U nas w domu gotuje głównie tata, wyjątek stanowi makaronowy wtorek, ponieważ moja mama jest Włoszką. Ciekawe, czy Dentysta lubił gotowanie – to by wyjaśniało, dlaczego rodzina Kit ostatnio gustuje w daniach zamawianych na wynos. Kiedyś Kit jadła wyłącznie kanapki, ale siedziałem zbyt daleko od jej stolika, by widzieć jakie.

– Zapewne zdziwi cię informacja, że jestem bardzo dobrym kucharzem. Potrafię przygotować coś takiego – oznajmiam, pokazując na kurczaka tikka masala.

– Naprawdę? Moja mama obiecuje ciągle, że mnie nauczy gotować, ale wiecznie nie ma na to czasu. Jak się nauczyłeś?

Kit pochyla się do przodu, opiera brodę na ręce. Jej łokcie znajdują się dwadzieścia centymetrów do siebie, a kolana jeszcze bliżej. Lepiej byłoby zmierzyć odległość w milimetrach. Żałuję, że nie wziąłem ze sobą miarki, dobrze byłoby przełożyć tę odległość na konkretną liczbę, zapisać na kartce, włożyć do kieszeni i wyjmować zawsze wtedy, kiedy będzie mi potrzebna kojąca moc cyfr.

– Lubię naukę, a gastronomia wydawała się jej naturalnym przedłużeniem. – Nie wspominał, że gotuję także w ramach pomocy w domu, zwłaszcza teraz, kiedy Miney wyjechała na studia. Filmy młodzieżowe wyraźnie dowodzą, że pomaganie rodzicom nie jest fajne. Co dla mnie brzmi głupio – zresztą jak samo słowo „fajne”

– Nie zrozum mnie źle, ale niezły z ciebie dziwak – mówi Kit. Patrzę na nią, a przynajmniej na jej podbródek, i dochodzę do wniosku, że jedną niedbałą uwagą Kit jest w stanie zaburzyć mój proces oddychania. – Ale taki pozytywny dziwak – dodaje.

„Pozytywny dziwak”

Wmawiam to sobie od lat, ponieważ bycie zwyczajnym dziwakiem to ciężar, którego nie potrafię unieść. Bycie pozytywnym dziwakiem to jedyne słuszne rozwiązanie w mojej sytuacji, kiedy normalność pozostaje poza moim zasięgiem. Być może to przeciwieństwo bycia fajnym, ale ja nigdy do tego nie aspirowałem – a przynajmniej nie przy takiej definicji „fajności”, jaką znam.

– Dziękuję.

– A skoro już mowa o dziwnych sprawach, mam pytanie. Co wiesz o mechanice kwantowej? – pyta Kit, a mnie dreszcz przechodzi po plecach, od samego dołu aż do góry.

Miney zasugerowała, żebym pomyślał o możliwych tematach pogaduszek, na wypadek gdyby Kit usiadła dzisiaj przy moim stoliku.

Co znalazło się na szczycie mojej listy?

Mechanika kwantowa.

Niemal zmieniam zdanie w kwestii przeznaczenia.

Może to dlatego, że mój umysł jest przesiąknięty Kit, w każdym razie zapominam iść ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę. Oczywiście mam założone słuchawki, ale dźwięk jest ściszony bardziej niż zwykle, ponieważ w przeciwieństwie do tego, co zwykle, dzisiaj nie chcę zagłuszać własnych myśli. Pragnę rozmyślać o przerwie obiadowej, odtwarzać na okrągło słowa Kit: „W takim razie dziękuję. Poważnie”. Myśleć o jej uśmiechu. O tym, jak przebiegała nasza rozmowa, dokładnie i precyzyjnie, nie zostawiając pola do nieporozumień.

– David! David! – woła José i macha mi rękoma przed twarzą.

Nie mam wyboru, muszę się zatrzymać i wyłączyć na chwilę muzykę w telefonie. To spotkanie zaburza mój plan, teraz już nie ma mowy, żeby *XXXVI Symfonia C-dur* zakończyła się w momencie, w którym usiądę na krześle w sali fizycznej. Cholera.

JOSÉ GUTIERREZ: Okulary. Brązowe włosy z przedziałkiem na środku. Monobrew. Drugi pod względem inteligencji uczeń w szkole, zaraz po mnie.

#### Istotne kontakty

Druga klasa gimnazjum: Chciał pożyczyć moje zeszyty po tym, jak zachorował na gripę i nie chodził do szkoły. Dałem mu, na co podziękował, a ja powiedziałem:

„Zakładam, że kiedy ja zachoruję, będę mógł pożyczyć od ciebie, chociaż ja nie choruję”, na co on odparł: „Wszyscy chorują. Taka jest nasza biologia”. „Miałem na myśli to, że nie choruję zbyt często” – poprawiłem się, a on powiedział: „Okej”

#### Przyjaciele

Aaron C., ponieważ razem prowadzą kółko fizyczne.

– David! – woła José po raz trzeci, chociaż przecież już zdołał zwrócić na siebie moją uwagę.

– Proszę, nie każ mi znowu wstępować do Ligi Akademickiej. Już

mnie o to prosiłeś dwadzieścia sześć razy, a ja ci dwadzieścia sześć razy odmówiłem.

– Dwadzieścia siedem, gwoli ścisłości. To będzie dwudziesty ósmy raz – oświadcza José i nadal stoi przede mną, blokując mi przejście. – Czy zechciałbyś dołączyć do Ligi Akademickiej?

– Nie – odpowiadam.

Naprawdę dwadzieścia siedem razy? Pomyłki w obliczeniach nie są do mnie podobne. Co prawda matematyka nie jest moją ulubioną dziedziną, bardziej interesują mnie fizyka i chemia, ale lubię precyzję.

– Jesteś nam potrzebny. Wkrótce czeka nas starcie ze szkołą Ridgefield Tech, a oni są naprawdę dobrzy. Podaj nazwisko matematyka, który udowodnił, że jest nieskończenie wiele liczb pierwszych.

– Phi. Euklides.

– No widzisz! Idealnie się nadajesz.

– Wiedziałeś o tym, że Einstein zdefiniował szaleństwo jako robienie wciąż tego samego i oczekiwanie różnych rezultatów? – pytam.

– Znam ten cytat, ale to nie są słowa Einsteina. Tak się składa, że większość cytatów przypisywanych mu w kontekstach nienaukowych to pomyłka.

– Naprawdę?

– Tak. Zastanawiałem się nad tym i uświadomiłem sobie, że za każdym razem, gdy cię o to pytam, jest to jedno pytanie więcej niż poprzednio, a więc nie do końca robię wciąż to samo, co oznacza, że istnieje cień szansy na inny rezultat. Jak z tego wynika, nie jestem szaleńcem. A przynajmniej nie z tego powodu. – José wygłasza swój monolog do mojego lewego ramienia. – Wierzysz w istnienie wieloświatów?

Przez chwilę wyobrażam sobie, że stoję na scenie, a Kit siedzi na widowni. Odpowiadam na pytanie za pytaniem, ratując Mapleview od porażki z Ridgefield Tech. Kit jest pod wrażeniem mojej przepastnej

wiedzy z dziedziny termodynamiki, a potem ekscytuje się wielkością pucharu, który wiozę do domu. Jeśli chodzi o puchary, rozmiar ma bowiem znaczenie.

Całą winę za te wizje zrzucam na Kit, jej pytanie o mechanikę kwantową i uświadomienie mi, że wszystko jest możliwe.

– Tak i tak – mówię.

– Tak, dołączysz do drużyny, i tak, wierzysz w wieloświaty?

– Tak – powtarzam, a wtedy José się uśmiecha.

Dopiero teraz zauważam coś, co powinienem dodać do jego opisu w notesie. Jak to możliwe, że wcześniej nie zwróciłem uwagi na jaskraworóżowy aparat na zębach Joségo? Mam nadzieję, że to roztargnienie nie wpłynie na moje wyniki.

Po lekcjach przyglądam się, jak Kit idzie przez parking do swojej czerwonej corolli. Ręka jej się trzęsie, gdy wyjmuje elektroniczny kluczyk. Nie jest przecież aż tak zimno, zakładam więc, że to drzenie jest wynikiem zdenerwowania. Jutro mamy dwa sprawdziany, z historii świata i z literatury angielskiej, a ona opuściła wczoraj lekcje. Dzisiaj na jej widok poczułem ulgę – wszystko wygląda lepiej, kiedy Kit jest w szkole, po drugiej stronie klasy, kilka metrów ode mnie. Lubiłem jej obecność, jeszcze zanim zaczęła ze mną rozmawiać.

Zastanawiam się, czy jej nie zawołać, nie złamać zasad przedstawionych mi przez Miney. Moje notatki na pewno okazałyby się pomocne i z pewnością znacznie lepsze niż te od jej koleżanek. Ale nie. Miney zna się na rzeczy. Lepiej oprzeć się na teorii przewagi komparatywnej i skorzystać z zewnętrznej pomocy w kwestii decyzji o charakterze społeczno-towarzyskim.

– Hej! – woła Kit, a ja się odwracam, by sprawdzić, do kogo to. Zapewne do Justina albo Gabriela. – Nie, głupolu! Ciebie wołam!

– Mnie? – pytam. Analizuję kontekst naszej interakcji. Kit nie mówi dosłownie. „Głupol” można nawet zakwalifikować jako czułe słowo.

– Tak. Potrzebujesz podwiezienia?

Mój samochód, honda civic z 2009 roku ze 151 044 kilometrami na liczniku, stoi – jak codziennie – dwa rzędy i sześć miejsc za jej autem. Miejsce parkingowe numer osiemdziesiąt dziewięć. Niepotrzebna mi Miney, żeby ocenić, jaka jest właściwa odpowiedź w takiej sytuacji.

I to nawet nie będzie prawdziwe kłamstwo. Ludzie stosują wymiennie słowa „potrzebuję” i „chcę”

– Poproszę – mówię. – Potrzebuję.

– Czy mógłbyś raz jeszcze wyjaśnić teorię o tym, że świadomość żyje po śmierci? Bo dla mnie to wcale nie brzmi naukowo, ale raczej religijnie – stwierdza Kit, sprawdzając, czy zapiąłem pas. Wyjeżdża z parkingu, ręce ma zaciśnięte na kierownicy. Co dwie sekundy zerka w lusterko wsteczne, zgodnie z zaleceniami Departamentu Pojazdów Mechanicznych. Moja mama – która nauczyła jeździć i mnie, i Miney – byłaby pod wrażeniem.

– Chodzi o to, że ludzki mózg jest skarbnicą naszych uczuć, myśli, pragnień – wyjaśniam i natychmiast się rumienię. Niepotrzebnie użyłem słowa „pragnienia” – To opakowanie dla naszej świadomości. Kiedy umieramy i nasza fizyczna powłoka ulega unicestwieniu, być może świadomość żyje nadal.

Kit ściąga brwi i pochyla się nad kierownicą. Zastanawiam się, jak długo mógłbym na nią patrzeć, zanimby mi się to znudziło. Przypuszczam, że co najmniej trzydzieści dziewięć minut.

– Dualizm ciała i umysłu odzwierciedla dualizm korpuskularno-falowy, dlatego współcześni fizycy kwantowi uważają, że umysł rządzi się takimi samymi prawami mechaniki kwantowej jak cząstki, czyli zachowuje się jak obiekt fizyczny – tłumaczę. Przez chwilę myślę o tym, czy na pewno mam rację. To niezwykle fascynująca dziedzina wiedzy, ale ciut grząska. W jednej chwili prezentuje się jasno i przejrzysto – widzę trójwymiarową teorię, jakby rozłożoną przede mną w obrazkach – po to

by za moment się rozplątać.

– Mój tata mówił, że rozmawiałeś z nim o różnych rzeczach, kiedy przychodziłeś na wizyty. Właśnie o tym dyskutowaliście? Czy świadomość istnieje po śmierci człowieka? – pyta Kit.

Gdybym wiedział, że to, co mówię na fotelu dentystycznym, dotrze do Kit, z pewnością uważniej dobierałbym słowa. Może nawet zastosowałbym jakąś strategię. Ale czy dentystów nie obowiązuje tajemnica lekarska? Wiem, że Kit uważa mnie za dziwaka. Może w pozytywnym tego słowa znaczeniu, ale jednak dziwaka. Lepiej, żeby nie sądziła, że do tego jestem kretynem.

– Niezupełnie. Rozmawialiśmy o nowej teorii kwantowej dotyczącej upływu czasu. Mogę ci o niej opowiedzieć, jeśli chcesz.

– Nie, nie musisz. Mój tata od zawsze interesował się różnymi rzeczami. Zbierał stare mikroskopy i szkła powiększające. Uwielbiał też książki o sztuce, mamy ich pełno w domu. I miał obsesję na punkcie meteorologii, kanału pogodowego oraz tych małych drzewek. Bonsai, tak się nazywają. Gadam od rzeczy. Chciałam powiedzieć, że wspomniał o tobie i stwierdził, że cię lubi.

Wpatruję się w szybę, gdy przejeżdżamy główną ulicą miasta. Chociaż nadal jest zimno, dzisiaj świeci słońce, ludzie wylegli na ulice z wózkami i psami, włożyli zimowe kurtki, ale rozpięte.

Tyle rzeczy widać za oknem, o wiele za dużo. Za dużo kolorów, ludzi, kształtów. Niemowląt w polarowych czapkach. Plakatów reklamujących jednodniową wyprzedaż. Neonów. Odwracam się do Kit, na niej skupiam uwagę.

– To było odwzajemnione uczucie – mówię. Wyobrażam sobie Dentystę z czołówką, którą zawsze miał na głowie, zapach jego gumowych rękawiczek. Z chęcią porozmawiałbym z nim o meteorologii, mam jedynie podstawową wiedzę w tym zakresie. – Kto wie? Może ci fizycy mają rację i twój tata nie odszedł tak całkowicie? Oczywiście, nie



żyje, ale chyba pewną pociechę albo chociaż minimalną nadzieję daje świadomość, że być może gdzieś tu jest jakaś jego część, niewielka, ale najważniejsza, jego świadomość.

– To prawda – odpowiada Kit.

– Ale paskudnie, że już nigdy go nie zobaczysz. Świadomość to nie to samo co jego obecność. To byłaby zdecydowanie lepsza opcja.

Kit prycha. Nie mam pojęcia, co to oznacza. Jakkolwiek by na to patrzeć, prychnięcie nigdy nie jest neutralne.

– Mówisz, jak jest – stwierdza. – Niewiele osób to robi.

– Taaa.

– Wszyscy ostatnio chodzą wokół mnie na palcach, nawet mama. Twoja brutalna szczerłość jest... zaskakująco ożywcza.

Mówię, żeby skręciła w prawo, mój dom stoi u zbiegu ulic. Zatrzymuje się przed budynkiem. Nie mam wyjścia, muszę wysiąść.

– Dziękuję za podwiezienie.

– Polecam się na przyszłość – odpowiada, a ja najchętniej zapytałbym ją, co ma na myśli. Czy to szczerza propozycja, czy tylko kurtuazyjny gest. Wszystkie języki są pełne frustrujących dwuznaczności – oczywiście, nie licząc języka Loglan, który powstał na podstawie matematycznych reguł logiki, by unikać podobnych nieścisłości. Uważam, że lepiej byłoby, gdybyśmy się nim wszyscy posługiwali.

Wchodzę do domu i przyglądam się przez okno, jak Kit zawraca. Dzieląca nas odległość się powiększa, a ja czekam z rękoma na szybie tak długo, aż w ogóle nie jestem w stanie określić tego dystansu.

Dziesięć minut później mama wiezie mnie osiem kilometrów do szkoły po mój samochód.

I przez całą drogę się uśmiecha.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

# KIT

**Do:** Kit

**Od:** Mama

**Temat:** Pięć etapów totalnej beznadziei

Jest środek nocy, a ja właśnie trafiłam na ten artykuł (załącznik) o pięciu fazach żałoby:

1. zaprzeczenie,
2. gniew,
3. negocjacje,
4. depresja,
5. akceptacja.

Oczywiście absolutnym numerem jeden na liście

powinien być BEKON. Poza tym postanowiłam przeskoczyć przez

pierwsze trzy fazy i przejść od razu do depresji. A ty?

**Do:** Mama

**Od:** Kit

**Temat:** Re: Pięć etapów totalnej beznadziei

Powinnaś pisać esemesy, jak normalny człowiek.

Kto dzisiaj wysyła e-maile? Oto czego brakuje na liście:  
czekolada, maraton na Netfliksie, piżama.  
A jeśli chodzi o depresję, już Cię wyprzedziłam.  
Absolutnie #żyjępełniąszczęścia.

– Hej! – mówi Gabriel, gdy wchodzę do Pizza Palace. Jest nadmiernie podekscytowany, jakbym wcale nie siedziała za nim na analizie matematycznej niecałe dwie godziny temu. Jakbyśmy znajdowali się w hali przylotów wielkiego międzynarodowego lotniska, a ja wracałabym z rocznej podróży dookoła świata. Puszczą Justina, któremu zacisnął ramię na szyi, i chwytą mnie w objęcia.

– Cześć wszystkim – odpowiadam i poruszam ustami, by utworzyć coś, co mniej więcej przypomina uśmiech. Wymaga to skomplikowanej koordynacji mięśniowej i jest bardziej wyczerpujące niż pilates, na który namówiła mnie kiedyś Violet.

Rozglądam się, a wtedy Violet zrywa się od stolika i podbiega do mnie. Annie saltuje mi jak skautka, to taki nasz prywatny żart – zapunktowałam u niej samym tym, że się zjawiłam. To skłania mnie do uśmiechu, prawdziwego, szczerego, który wywołuje szczypanie pod powiekami, więc natychmiast poważnieję.

– Przyszłaś! – mówi Violet.

– Ale na krótko – odpowiadam, zdając sobie sprawę, że tak właśnie jest. Po tym jak odwiozłam Davida, samotność w samochodzie stała się niemożliwa do zniesienia, a znajdowałam się bliżej Pizza Palace niż domu. Od czasu wypadku mama zmusza mnie do siadania za kółkiem przy każdej możliwej okazji. Twierdzi, że nie chce, by rozwinęła się u mnie fobia, a jej plan chyba działa. Tylko że za każdym razem, gdy jestem sama, wzdrygam się na widok przejeżdżającego SUV-a, widzę, jak szybko wszyscy jadą, jak niewielka dzieli nas odległość i jak łatwo o błąd, który może kogoś kosztować życie.

Samochody to straszne, potężne, niszczycielskie maszyny. Może

szesnastolatkiem nie powinni ich prowadzić. Może nikt nie powinien.

Jednak teraz, w obecności znajomych, wcale nie czuję się lepiej. Ostatnio oblewa mnie przy nich pot, jakby życie towarzyskie było formą ćwiczeń kardio, tyle że bez endorfin i zadowolenia na końcu. Zmuszam swój organizm, żeby to wytrzymał.

– Nie wierzę, że wczoraj zrezygnowałaś z gazety – mówi Annie. – Tyle pracy w to włożyłaś i teraz po prostu zamierzasz odrzucić szansę na zostanie redaktorką naczelną?

Wzruszam ramionami, Gabriel wykorzystuje okazję i zaczyna mi je rozmasowywać.

– Wyglądasz na spiętą – mówi.

W zeszłym roku chodziliśmy ze sobą przez jakieś pięć minut. To jedna z tych idiotycznych sytuacji, kiedy człowiek znajduje się w kącie pokoju na imprezie, na której wszyscy są pijani. Nagle mnie pocałował, co przypominało ptaka, który rzuca się na śmietnik, by coś z niego wyłowić, a kiedy oprzytomniałam po tym niespodziewanym ataku, też go pocałowałam. W następnym poniedziałek trzymał mnie na przerwach za rękę, a później znów się całowaliśmy na parkingu pod 7-Eleven, między kolejnymi łykami slurpee. Dwa tygodnie później ze mną zerwał, mówiąc coś o tym, że lepiej będzie, gdy zostaniemy przyjaciółmi. Mnie to pasowało, nie podobał mi się zbytnio, ale fajnie było móc się z kimś całować i trzymać za rękę. Taka przyjemna odmiana.

Teraz jednak wolałabym, żeby zostawił moje ramiona w spokoju. A najlepiej, żeby przeniósł ręce na Annie, która od paru miesięcy podkochuje się w nim w sekretny i zupełnie niezrozumiały dla mnie sposób. Nigdy nie powiedziała tego głośno, ale wiemy z Violet, że ma nadzieję, iż Gabriel zaprosi ją na szkolny bal. Teoretycznie Gabriel jest okej, tyle że to nie jakiś głęboki facet, a Annie to nie typ dziewczyny, która powinna celować w przyjemną prostotę. Jest na to za fajna.

Do restauracji wpadają Jessica, Willow i Abby, prawdziwa eksplozja

śmiechu. Zatrzymują się przy ladzie, kupują dietetyczną colę i podchodzą do nas. Niespecjalnie za nimi przepadam – nigdy ich nie lubiłam – a jednak jakimś cudem trzymają się na peryferiach naszej grupy. Czy raczej my na ich peryferiach, w końcu są najpopularniejszymi dziewczynami we wszystkich trzecich klasach. Nie wiem, jak udało im się to osiągnąć, ale popularność w Mapleview jest trudna do zdefiniowania, mogę jedynie powiedzieć, że kręci się wokół nieuzasadnionej, wrodzonej pewności siebie oraz umiejętności przyciągania ludzkich spojrzeń bez konkretnego powodu.

Jessica jest blondynką, Willow brunetką, a Abby ma rude włosy, co idealnie odpowiada każdej grupie przyjaciółek szkolnych w dowolnym filmie (tyle że im akurat brakuje pyskatej czarnoskórej przydupaski). Pyk i już, najlepsze koleżanki aż do śmierci. Zakładam jednak, że ich przyjaźń opiera się na czymś więcej niż kontrastujących kolorach włosów i uwielbieniu dla stringów. Że istnieje śladowe prawdopodobieństwo, iż w indywidualnym kontakcie okazałyby się całkiem interesujące. Przypuszczam jednak, że nigdy się tego nie dowiem, ponieważ poruszają się zawsze w stadzie.

Nie lubię ich nie dlatego, że są chodzącym banałem – a co się z tym wiąże, mają typowo wredne charaktery – ale ponieważ prowadzą szalenie nudne rozmowy. Mieszkamy w kameralnej dziurze, jaką jest Mapleview, a ja nigdy nie rozumiałam ich pragnienia, by zrobić wszystko, żeby ta dziura wydawała się jeszcze mniejsza.

– Chłopcy – mówi Abby w ramach powitania, a sposób, w jaki wypowiada to słowo, wskazuje jednocześnie na pogardę oraz flirt. W myślach ćwiczę jej intonację. „Chłopcy.” Zachowuję ją do użycia w bardzo dalekiej przyszłości, na przykład na studiach. Nie, od studiów dzieli mnie już tylko półtora roku, może po studiach. – Oraz panie.

Faceci zupełnie inaczej się zachowują w ich obecności, stają się bardziej nerwowi, głośniejsi. Na szczęście Gabriel przestaje

rozmasowywać mi ramiona, a Justin uśmiecha się idiotycznie. Kiedyś spotykał się z Jessicą, ale z tego, co słyszałam, zerwała z nim, ponieważ zaczęła się spotykać z facetem z pierwszego roku Uniwersytetu Nowojorskiego. Jeśli chodzi o pozycję społeczną, student zawsze bije na głowę ucznia szkoły średniej. Ponoć Justin jest nadal zrozpaczony.

– To co jest między tobą a Davidem Druckerem? – pyta Willow, a ja czuję, że moje dłonie bez wyraźnego powodu zwijają się w pięści.

Może jednak przechodzę przez te wszystkie pięć faz żałoby. Może właśnie zatrzymałam się na punkcie drugim, którym jest gniew.

– Nic nie jest. Przyjaźnimy się.

– No przestań, przecież tak n a p r a w d ę nie przyjaźnisz się z Davidem Druckerem. – Abby wzdycha teatralnie, jakby wszystko, co mówię, ją frustrowało. – Siedzenie z kimś przy stoliku w stołówce nie oznacza jeszcze przyjaźni.

– Od kiedy przejmujecie się takimi rzeczami? – pytam. Mam wielką ochotę je zgasić, co jest głupotą, w końcu to moje koleżanki – tak jakby. Zwykle nie robię takich rzeczy.

– Oczywiście, że się nie przejmujemy – odpowiada Jessica i wybucha śmiechem.

To prawda, jestem pewna, że akurat ona ma to w nosie.

– A jednak dzisiaj jechał z tobą samochodem – zauważa Willow. – Widziałam.

Uznaję, że z całej trójki najbardziej nie lubię właśnie jej. Przyszła na świat z podobną magiczną otoczką co Lauren Drucker, ale bez przyjaznego ciepła.

– Jak już mówiłam, przyjaźnimy się. Poza tym jest całkiem interesujący.

– Interesujący? – pyta Gabriel, chociaż to wcale nie jest pytanie.

Na niego zawsze można liczyć, w każdej sytuacji wybierze najłatwiejszą odpowiedź: odruchowy, pusty sarkazm.

Uchodzi ze mnie cała złość – zresztą i tak nie była prawdziwa, stanowiła jedynie odbicie głupiego etapu z idiotycznego artykułu. Takie właśnie jesteśmy z mamą zdesperowane: szukamy wsparcia na stronie Oprah.com. Jaka szkoda, że nie dodali do listy jeszcze jednego punktu: nagłe wystąpienie totalnego tumiwisizmu. Tego, co nazywam w myślach syndromem hełmu astronauty.

Rozglądam się i widzę, że w promieniu pół metra wszyscy rozmawiają i się śmieją. A jednak mam wrażenie, że znajdują się daleko. Jesteśmy dla siebie obcy.

Wychodzi na to, że żałoba zmienia nie tylko postrzeganie czasu, ale i przestrzeni. W jakiś sposób zwiększa dystans między tobą a innymi ludźmi. Powinnam zapytać Davida, czy można to jakoś wytłumaczyć naukowo.

– Nieważne, lepiej pogadajmy o ciekawszych sprawach – stwierdza Jessica.

– No właśnie – rzuca Willow. – Jedno słowo.

– Bal – kończy za nią Abby.

Annie zerka pospiesznie na Gabriela, ale nawet jeśli on to zauważył, niczego po sobie nie pokazuje.

\*

– Ohyda – mówi moja mama, napychając się dietetyczną wersją makaronu fettuccine alfredo.

Ostatnio podczas kolacji rozmawiamy wyłącznie pojedynczymi słowami, to taki skrót, który stosujemy, bo jesteśmy zbyt zmęczone na cokolwiek więcej. Gdy kładę się spać i zamykam oczy, włącza się projektor w moim mózgu i na suficie odtwarza na okrągło tę samą scenę wypadku. Jakbym czerpała przyjemność z oglądania tego koszmaru. Stoję z boku i przyglądam się, jak ten drugi samochód – granatowy ford explorer – wjeżdża w mojego tatę raz za razem. Czuję

zapach gumy i dymu. Metaliczną krew, tak ostrą i wyraźną, że z niczym jej nie można pomylić. Smak i zapach w jednym.

Życie i jego przeciwieństwo. Śmierć.

Próbuję dociec, w którym momencie trzeba było nacisnąć hamulec, żeby nie dopuścić do zderzenia. Jakby chociaż raz mogła mi się na coś przydać szkolna wiedza z matematyki.

Kiedy w końcu udaje mi się zasnąć, śni mi się trzecia zasada dynamiki Newtona: siły zawsze występują parami, na każdą akcję przypada reakcja. Zgniecione auto, porzucone jak pusta paczka po chipsach. Trzask, brzęk, stuk.

Ale teraz jest tylko mama i smutne odgłosy naszego przeżuwania. A potem niewytłumaczalny dźwięk klucza przekręcanego w zamku.

Czyżby lekarz miał jednak rację i tata po prostu odszedł? Zmienił chwilowo miejsce pobytu? A zaraz wparuje do środka, zmierzwi mi włosy i nazwie mnie Kitty Cat?

Oczywiście, nic takiego się nie dzieje. Tata nie powstał z martwych. Nawet dziwna teoria Davida o świadomości nie przewiduje takiej opcji.

To tylko wujek Jack, jedyna żywa osoba oprócz nas, która ma klucz do naszego domu. Właśnie. O wiele logiczniejsze rozwiązanie.

– Co ty tu robisz? – pyta mama ostro. Jej ton zdradza rozczarowanie.

„To nic” – mam ochotę jej powiedzieć. „Ja też sądziłam przez chwilę, że to tata”

W normalnych okolicznościach mamę ucieszyłby widok Jacka. To ona wpadła na pomysł, żeby zaraz po tym, jak się rozwiódł, spędzał u nas weekendy, podczas których jego dzieci przebywały u swojej mamy, ciotki Katie. Był wtedy smutny, mama przyrządzała mu solidne, poprawiające humor śniadania: naleśniki, jajka, bekon i dobrą kawę.

„Lek na złamane serca” – mawiała. Serwowała posiłek na naszej najlepszej zastawie, a potem wraz z wujkiem i tatą siadali przy stole



w jadalni i wymieniali się stronami „New York Timesa”, podczas gdy ja bawiłam się komórką.

„To moja definicja nieba” – zapewniał tata. „Mój najlepszy przyjaciel, moje obie dziewczyny i dobra gazeta”

– Nie odbierałaś telefonu... Niepokoiłem się – mówi wujek i patrzy na moją mamę.

Ona jednak wbiła wzrok w swój galaretowaty makaron.

Jack jest wysoki, chudy i łysy. Nosi okulary w dużych plastikowych oprawkach, wyglądających jednocześnie idiotycznie i bosko, oraz eleganckie garnitury, które sprawiają wrażenie, jakby sprowadzał je z Anglii. Nie nazwałabym go przystojnym – ma za duży nos, lekko skośne oczy i ziemistą cerę – ale jest w nim coś znajomego, kojącego.

– Chcesz coś do jedzenia? – pytam, zaglądając do zamrażarki. – Mamy dietetyczne mrożonki.

– Zdajesz sobie sprawę, że tego nie można nazwać jedzeniem? – pyta lekkim tonem, znacznie lżejszym niż atmosfera panująca w pokoju.

– Może lampkę wina? – pyta mama, jakby nagle się obudziła, jakby ktoś włączył przycisk, który ją uruchamia.

Wyjmuje butelkę, otwiera, nalewa sobie duży kieliszek. Pochłania jego zawartość i dopiero wtedy rozlewa wino: dla siebie i dla Jacka.

– I jeszcze lody – mówię, rzucając mu pudełko z miętowo-czekoladowym przysmakiem, który wygrzebuję z zamrażarki.

Wujek Jack wyjmuje łyżkę z szuflady i zaczyna jeść bezpośrednio z pudełka. Nie ogolił się, a jego prawie broda jest upstrzona siwizną. Wygląda na niemal tak załamane, jak my z mamą się czujemy.

– Jak Evan? – pytam, żeby cokolwiek powiedzieć.

Evan jest jednym z jego synów, ma czternaście lat i też chodzi do szkoły w Mapleview. Kiedy byliśmy młodszy, przyjaźniliśmy się, jeździliśmy na wspólne wakacje, jeszcze zanim jego rodzice się rozwiedli. Evan, jego młodszy brat Alex i ja budowaliśmy zamki z piasku,

wygłupialiśmy się w morzu, a ja marudziłam cioci, że powinna była urodzić przynajmniej jedną dziewczynkę, żebym miała się z kim bawić. Te nasze wyjazdy wydają się teraz takie nierealne – jak wspomnienie czegoś, co widziałam dawno temu w telewizji.

– Podobno idzie na bal trzecioklasistów – odpowiada Jack z uśmiechem.

– Dla pierwszoroczniaka to nie byle co – stwierdzam.

– A ty?

– Nie idę – mówię, unikając wzroku mamy.

Obawiam się, że rezygnacja z balu podchodzi pod tę samą kategorię co siedzenie samotnie w stołówce. A już na pewno stanie się przyczynkiem do poważnej rozmowy.

– Twój tata chciałby, żebyś poszła. Żebyś się dobrze bawiła – odpowiada wujek. – A nie spędzała czas na snuciu się z kąta w kąt przy nas, staruchach.

– Może nie rozmawiajmy o tym, czego chciałby Robert – przerywa mu mama. Jej głos brzmi ostro, lodowato.

– Nie zamierzałem nadeptywać nikomu na odcisk – mówi wujek cicho.

– W takim razie nie rób tego.

– Mandi, nie możesz mnie wiecznie unikać.

– Zawsze mogę próbować.

– Ja tylko wykonuję obowiązki sekretarza, są sprawy, którymi trzeba się zająć. Nie jestem władny...

– Robi się późno, a ja mam jeszcze mnóstwo spraw. – Mama zrywa się z miejsca i po prostu wychodzi z pokoju, zabierając ze sobą kieliszek.

– Pomogę ci – mówię po dłuższej chwili, podczas której oboje z Jackiem wpatrywaliśmy się w puste krzesło mamy. – Powiedz mi tylko, co mam zrobić.

Mój głos brzmi beznamiętnie. Jestem tak bezużyteczna, jak się czuję.

Wujek podaje mi lody, przekazujemy je sobie z rąk do rąk, aż w końcu nic nie zostaje.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

# DAVID

**M**ały D.! – mówi Miney. Siedzi przy stole na krześle, które podczas jej obecności pozostaje puste, dla zasady. Ma nieco dłuższe włosy, ale poza tym na pierwszy rzut oka wydaje się niezmienną. Wygląda jak moja siostra. – Przyjechałam do domu!

Tak, to oczywiste, ale powstrzymuję się i jej tego nie mówię. Nauczyłem się już, że to niegrzeczne. Nie jest natomiast oczywiste, dlaczego przyjechała. Nie miało jej być jeszcze przez czterdzieści dziewięć dni, do przerwy wiosennej, która niestety zupełnie nie pokrywa się z moją. Już wcześniej poczyniliśmy plany mające na celu obejście tej niedogodności. Ustaliliśmy, że nie pójdę we wtorek do szkoły – rodzice zgodzili się napisać usprawiedliwienie, w którym będą tłumaczyć, że mam w tym dniu ważną wizytę lekarską – a ja i Miney odtworzymy coś, co wspólnie nazwaliśmy Idealnym Dniem Wszech Czasów. Będą się na niego składały obiad w Sayonara Sushi, lody od Straw, czterdzieści siedem minut w naszej ulubionej księgarni oraz wyprawa nad morze do akwarium.

– Dlaczego przyjechałaś? – pytam.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Jak zwykle jesteś do bólu

bezpośredni – mówi Miney i wydaje z siebie dźwięk podobny do prychnięcia Kit. To śmiech, który nie jest do końca śmiechem, ale czymś dla mnie zupełnie niezrozumiałym. Uważam, że ktoś powinien zamieścić nagranie na YouTube z wyjaśnieniem wszystkich możliwych dźwięków wydawanych przez istoty płci żeńskiej. Coś jak głosy ptaków.

– Potrzebowałam przerwy od nauki. A poza tym się za wami stęskniłam.

Chociaż to wysoce nieprawdopodobne, że Miney stęskniła się za mną – szacuję, że drażnię ją przez osiemdziesiąt procent czasu, który wspólnie spędzamy – jestem podekscytowany jej obecnością. Kit przy moim stoliku w stołówce i Miney wracająca do domu w ten sam dzień to chyba coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności. Kosmiczne zrządzenie losu.

– Kiedy wyjeżdżasz? – pytam.

Rozstania są dla mnie łatwiejsze, jeśli mam czas na przygotowanie się do nich i poczynienie stosownych planów – wyobrażenie sobie tego, co może nastąpić przed rozstaniem i po nim.

– Możesz być pewien, że pierwszy się o tym dowiesz, kiedy już sama będę wiedziała. A teraz chodź tu do mnie – mówi, po czym wstaje i rozpościera ramiona.

Zasadniczo nie jestem fanem okazywania sobie uczuć, ale robię wyjątek dla rodziców i Miney. A konkretnie dla mamy i dla Miney, bo tata też woli z daleka.

Obejmuje mnie, a ja natychmiast zaczynam szukać drobnych, ukrytych zmian. Nie używa już cytrusowych perfum, ale czegoś na bazie drewna sandałowego, lekko stęchłego. Jej ubranie nie pachnie świeżością ani proszkiem do prania. Część włosów pofarbowała na fioletowo i dodała kolczyk u góry ucha. Ma przekrwione oczy.

Oby tylko się nie okazało, że zrobiła sobie tatuaż, bo tego bym nie zniósł. Kiedy wyjeżdżała we wrześniu, wyglądała idealnie, nie podoba mi się, że za każdym razem, gdy wraca do domu, muszę się

przyzwyczajając do kolejnych zmian. Nie podoba mi się to fioletowe pasmo we włosach, wygląda jak hałas.

– Mama mówi, że Kit odwiozła cię dzisiaj do domu – stwierdza. To nie jest pytanie, ale w jej ustach tak właśnie brzmi.

– Zgadza się. Rozmawialiśmy o mechanice kwantowej.

– O Boże. Czy ja cię niczego nie nauczyłam?

– Nauczyłaś mnie wielu rzeczy. Nie wspomniałem o jej wadze, jeśli właśnie tego się obawiasz.

– Co my z tobą zrobimy? – pyta, a ja czuję ucisk w żołądku.

W pierwszej klasie liceum, kiedy przynajmniej dwa razy w tygodniu wpadałem w tarapaty w szkole, nasza dyrektorka, pani Hoch, zadawała to pytanie – idiomatyczne i jednocześnie retoryczne. „Co my z tobą zrobimy?” Jakbym był projektem grupowym.

Chciałbym, żeby chociaż raz odpowiedź brzmiała: „Nic”

Chciałbym, żeby chociaż raz odpowiedź brzmiała: „Jesteś w porządku, niczego w sobie nie zmieniał”

Chciałbym, żeby chociaż raz to pytanie nie padało.

– Dawaj notes – mówi Miney, a ja wyjmuję go z plecaka. Wygładzam znajomą niebieską okładkę – to taki stary zwyczaj, pozostałość po czasach, kiedy mniej więcej co godzina musiałem do niego zaglądać. Ostatnio jednak zostaje w plecaku na dłużej, ba, niemal sobie wyobrażam chwilę, w której w ogóle nie będzie mi potrzebny. – Taka okazja jak Kit zdarza się raz w życiu, jeśli w ogóle.

– Kit jest dziewczyną. Chociaż, statystycznie rzecz biorąc, to mało prawdopodobne, żeby była najlepszą dziewczyną na świecie, takie właśnie odnoszę wrażenie. Bez wątplenia jest najlepsza w Mapleview. Natomiast z całą pewnością nie jest żadną okazją.

– Ja tylko chciałam powiedzieć, że mamy poważne zadanie do wykonania. Nie ma opcji, że nic z tego nie będzie.

– Każda mi to mówi – żartuję. Od kilku tygodni czekałem

na sposobność, by użyć tego wyrażenia, odkąd dowiedziałem się, co ono tak właściwie oznacza.

Uśmiecham się, bo Miney wybuchła śmiechem, a jej twarz wydaje się wtedy jaśniejsza i delikatniejsza. Nawet fioletowe włosy tracą swój hałas. Suma elementów składowych bardziej przypomina dawną Miney.

Jaka szkoda, że ma takie przekrwione oczy.

– Myliłam się. Być może jednak pewne rzeczy się zmieniają – mówi i mierzwi mi włosy, jakbym był małym chłopcem.

I chociaż nie do końca rozumiem, co się za tym kryje, z radością poddaję się temu gestowi.

Dzisiaj – to już czwarty raz, kiedy siada przy moim stoliku w stołówce – Kit je kanapkę i jabłko. Przy bliższych oględzinach stwierdzam, że to humus i indyk na pieczywie pełnoziarnistym. Czarny lakier poodpadał jej z paznokci w niektórych miejscach, koszula zwisa z prawego ramienia. Miney podobnie się nosi, co oznacza, że to zapewne celowy zabieg krawiecki, a nie błędny dobór rozmiaru. Na obojczyku ma piegi tworzące nieduże kółko. To subtelny szczegół, podobnie jak jej dolna warga wysuwająca się milimetr spod górnej i przecinki włosów pochylające się jakby w ukłonie przy przeczesywaniu.

Większość ludzi to zbyt jaskrawe, zbyt głośne i dominujące osoby. Jasne włosy Jessiki rażą moje oczy. Łokcie i kolana Willow wydają się bardzo ostre; kiedy mnie mija na korytarzu, wyobrażam sobie, że potną mnie jak małe noże. Z kolei Abby, trzecia dziewczyna w ich triumwiracie, ta sama, która ostatnio nazwała mnie dziwolągiem, perfumuje się zbyt obficie mdląco słodkim zapachem i wyczuwam ją, zanim jeszcze wejdzie do klasy. Ale Kit jest cicha i nigdy nie razi moich zmysłów.

– Twój tata rozdawał pacjentom lizaki. Zawsze uważałem to za dziwne – stwierdzam i od razu sobie uświadamiam, że wolałbym nie musieć mówić o Dentyście w czasie przeszłym. A jednak tak właśnie jest, gdy

człowiek umrze. Przystaje odgrywać jakąkolwiek rolę w teraźniejszości i przyszłości.

– Dawał je tylko dzieciom – odpowiada.

– Nigdy nie wyszedłem z gabinetu bez lizaka – mówię i uważam, że fajnie to zabrzmiało. Nie dodaję jednak, że higienistka, pani Barbara, zawsze dawała mi dodatkowe słodycze, bo to już byłyby przechwałanki. Lubiła mnie, dorośli zwykle mnie lubią. To z rówieśnikami mam problem.

– Były bez cukru.

O c z y w i ś c i e. Wstyd mi, że kwestia Dentysty rozdającego lizaki tak mnie zajmowała przez długie lata. Co za głupota, żeby się tak zafiksować. A jednak taki właśnie jestem, znajduję jakiś drobiazg – nieprecyzyjność albo sprzeczność – a on nie daje mi spokoju. Nie lubię niejasności.

– Jeździsz codziennie do szkoły samochodem? Widziałam cię rano na parkingu.

Nie mówię jej, że od początku roku szkolnego niemal codziennie rano spotykamy się na szkolnym parkingu. Ja zawsze przyjeżdżam o 7:57, bo to daje mi czas na dojście do szafki, wyjęcie podręczników i dotarcie w porę do sali lekcyjnej w prawym skrzydle budynku. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby powiedziała, że nigdy wcześniej nie zwróciła na mnie uwagi. Najwyraźniej w zależności od osoby podlegam jednej z dwóch skrajnych teorii. W oczach wszystkich Justinów Cho tego świata wyróżniam się z tłumu, jestem ludzkim odpowiednikiem łokcia Willow. Nieprzyjemnym, zaburzającym percepcję rzeczywistości – nawet wtedy, gdy milczę. Dla całej reszty pozostaję niewidzialny. Za pierwszym razem kiedy Kit usiadła przy moim stoliku, uznałem, że mnie zwyczajnie nie zauważyła. Z przerażeniem wypatruję dnia, kiedy ktoś przypadkiem usiądzie mi na kolanach.

– Taaa. Dlaczego pytasz?



– Wczoraj odwiozłam cię do domu.

Policzki mi płoną, dłonie się pocą. Kurczę. Nie przypuszczałem, że się dowie, iż wcale nie było mi potrzebne podwiezienie.

– Prawda. – Szukam właściwego wytłumaczenia. Innymi słowy – nemezis: jakiegoś dobrego kłamstwa.

Niestety, nic mi nie przychodzi do głowy, wobec czego wybieram kłopotliwą ciszę. Patrzę na zbiór piegów na jej dekolcie, bo to odwraca moją uwagę. Myślę o stosunku obwodu do średnicy, co – rzecz jasna – prowadzi mnie do liczby pi. Kto nie uwielbia nieskończonego, rytmicznego piękna liczby pi?

– Czyli zostawiłeś tu wczoraj swój samochód? Wiesz, że odholowują zostawione auta? – pyta Kit.

Kiwam głową. Wiem o tym.

– Mama mnie tu z powrotem przywiozła. – Wysłuchuję wypowiedzianych przez siebie słów i zdaję sobie sprawę, że jestem śmiesznym człowiekiem. Już zawsze taki będę. Jak mogłem wczoraj się martwić, że Kit uzna mnie za kretyna? Przecież to oczywiste, że już tak o mnie myśli. Kogo ja próbuję oszukiwać?

„Co my z tobą zrobimy?”

Postanawiam trzymać się tego, co wychodzi mi najlepiej. Prawdy.

– Po prostu lubię z tobą rozmawiać, więc choć technicznie rzecz biorąc, nie p o t r z e b o w a ł e m podwiezienia, to jednak tego chciałem.

– Okej – mówi Kit i podnosi głowę. Przez ułamek sekundy nasz wzrok się spotyka, ale to ja odwracam się jako pierwszy. – Ja też w sumie lubię z tobą rozmawiać.

\*

Po szkole widzę, jak Kit idzie do swojego samochodu. I chociaż mamy razem pięć lekcji, najwyraźniej oboje zgodziliśmy się bez słowa,

że w szkole nie będziemy ze sobą rozmawiać (nie licząc cudownego wyjątku, jakim jest przerwa obiadowa). Mnie taka sytuacja odpowiada, lubię swoje zwyczaje. Mam własną playlistę i słuchawki na uszach przez wszystkie przerwy. Ale teraz, kiedy wyszliśmy na zewnątrz, macham jej kluczykami. Uważam, że to rodzaj śmiechu z samego siebie, rodzina powtarza mi, że powinienem to robić częściej. Kit się uśmiecha.

– Dzisiaj już nie zaproponuję ci podwiezienia – mówi. – To byłoby nie fair wobec twojej mamy.

– Wielka szkoda. Jesteś bardzo dobrym kierowcą – stwierdzam, na co jej twarz się zamyka.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób, przecież nie drgnął nawet jeden mięsień, a jednak jest jak komputer, któremu rozładowała się bateria. Wolę jej twarz, gdy jest otwarta.

– Na razie – mówi i wsiada do swojej czerwonej toyoty, auta, które pasuje do niej bardziej niż jej imię.

Jeszcze raz macham, ale to idiotyczny gest – natychmiast go żałuję, bo zauważam to, co prawdopodobnie zamknęło jej twarz. Gabriel i Justin się nam przyglądają.

– Moment, naprawdę powiedziała: „Ja też w sumie lubię z tobą rozmawiać”? Poważnie? – pyta Miney, gdy wracam ze szkoły do domu.

Moja siostra leży na sofie i sprawia wrażenie, jakby nie ruszała się z miejsca przez cały dzień. Ma potargane włosy, a na sobie ulubioną piżamę: tę, którą dostała ode mnie na Gwiazdkę dwa lata temu, z wizerunkiem kaczki w diademie i podpisem „dziwaczka”. Zapomniała o niej, wyjeżdżając na studia, i chociaż zaproponowałem, że prześlę jej kurierem, oznajmiła, iż to za dużo zachodu. Zapewniłem, że skądże, a wtedy powiedziała, że lepiej będzie, jeśli piżama zaczeka na nią w domu, gdzie nikt jej nie ukradnie ani nie zgubi. Dzięki temu wiem, że to jej ulubiona.

– Tak. Właśnie tak powiedziała. A potem rozmawialiśmy o tym,

że oboje lubimy filmy z lat osiemdziesiątych. Ona też jest fanką Johna Hughesa. Wyjaśniłem, że zmarł w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, po prostu padł na zawał. Był, i już go nie ma, zupełnie jak jej tata. To znaczy... Wiem, że jej tata zginął w wypadku, ale chodzi o ideę: jest człowiek i go nie ma.

– Mały D. – Miney siada i kręci głową. – Nie możesz tak. Musisz uważać, co mówisz o jej zmarłym tacie.

– Kit twierdzi, że podoba jej się moje mówienie prawdy. Nazwała ją brutalną szczerością, ale myślę, że to jedno i to samo.

Miney milczy przez chwilę i przybiera zamyśloną minę.

– Uważam, że powinieneś ją gdzieś zaprosić – mówi w końcu.

– Co?

– Nie na randkę, jeszcze nie. Coś zupełnie zwyczajnego. Może wspólna nauka? Albo jakiś projekt do szkoły? Musisz wydłużyć czas, który z nią spędzasz, tak żeby się to wydawało naturalnym przedłużeniem przerwy obiadowej. – Miney związuje włosy w kitkę, a wtedy chowa się większość fioletu z jej włosów. Od razu czuję, jak moja klatka piersiowa się rozluźnia. Nadal ma przekrwione oczy i trójkątne sińce pod nimi. Może skoczę później do apteki i kupię jej tabletki z cynkiem, na wypadek gdyby łąpało ją przeziębienie. – Szkoda, że nie pamiętam Kit z czasów, gdy chodziłam do Mapleview. Zajrzałam na jej konto na Twitterze i Instagramie, ale niewiele mi to pomogło. Ona wydaje się zaskakująco normalna.

– Co w tym zaskakującego? Powiedziałem ci, że jest idealna. A do tego najładniejsza w całej szkole.

– Eeee, no, wystarczająco ładna.

Nie mam pojęcia, na co ma to wystarczyć, ale nie pytam. Tak czy inaczej, Kit mi się podoba.

– Po co mielibyśmy razem się uczyć? Znacznie wyprzedzam materiał ze wszystkich przedmiotów, to byłoby bezproduktywne. – Wpatruję się

w prawą stronę twarzy Miney, dzięki czemu nie widzę jej nowego kolczyka. On krzyczy na mnie tak samo jak to fioletowe pasmo włosów. Wyczuwam podniesiony o oktawę głos, jakby czegoś się domagał, ale nie mam pojęcia czego.

– Nie rozumiesz. Ale zanim ci to wytłumaczę, zanim podejmiesz próbę, najpierw musimy doprowadzić cię do porządku. Nadeszła pora, Mały D.

Miney uśmiecha się w sposób, który oznacza, że za chwilę zmusi mnie do czegoś strasznego. Pod tym względem przypomina Treya. Zawsze wypycha mnie z tego, co nazywa moją strefą bezpieczeństwa, czego nigdy nie zrozumie. Po co miałbym się pozbawiać poczucia bezpieczeństwa? Jednak ponieważ Miney znajduje się na pierwszym miejscu listy osób godnych zaufania, zawsze staram się ze wszystkich sił zrobić to, o co prosi. Chociaż czasami to niewykonalne.

– Na co nadeszła pora? – Myślę o dekolcie Kit, o idealnym okręgu piegów. O liczbie pi. To mnie uspokaja, jak liczenie wspan.

– Na zakupy, Mały D. Czas rozprawić się z twoim strachem przed wielkimi paskudnymi centrami handlowymi.

Miałem rację. Przeróżające.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

# KIT

**D**avid Drucker jest po prostu wszędzie. Na parkingu przed lekcjami i po. Niemal na wszystkich moich lekcjach. No i oczywiście w stołówce, ponieważ nadal zajmuję jego stolik. Przypuszczam, że zawsze był w tych miejscach, tylko wcześniej go nie zauważałam. Można by pomyśleć, że ktoś tak dziwny jak on nie zdoła się wtopić w tłum, a jednak jest niczym wyspa z dziwacznymi słuchawkami na głowie, poruszająca się w milczeniu po szkole. Nie wzbudza nawet zmarszczki na szkolnej powierzchni.

Czuję się dość nienaturalnie, kiedy w tygodniu należącym ewidentnie do Davida wpadam na niego w aptecę. I to dosłownie, oboje patrzymy bowiem w dół i zderzamy się ramionami, co jest bolesne.

– Śledzisz mnie? – pytam żartobliwie. Właściwie z nim flirtuję przy półce z podpaskami w rozmiarze maxi. Upuszczam paczkę superchłonnych tampaksów i kopię ją lekko, żeby jej nie widział.

– Oczywiście, że nie. – David jest nieco urażony, jakbym go o coś oskarżyła.

– Nie chciałam... Nieważne. Zabawne, że też tu przyszedłeś.

– Muszę kupić parę rzeczy dla Miney – odpowiada, a ja sobie

uświadamiam, że to ja za nim chodzę, a nie on za mną, nie licząc jednego godnego uwagi przypadku z boiskiem.

To ja siadam przy jego stoliku w stołówce, ja zaoferowałam wczoraj, że go podwiozę. Może go to irytuje?

– Miney?

– To moja siostra.

– Masz dwie siostry?

Zastanawiam się, czy ta Miney też jest tak naturalnie swobodna i popularna jak Lauren, i dochodzę do wniosku, że nie. Po pierwsze, ma idiotyczne imię – kto nazywa swoje dziecko Miney? – a po drugie, nikt nie jest tak naturalnie swobodny i popularny jak Lauren Drucker. Zerkam do koszyka Davida: kilka różnych leków na przeziębienie.

– Tylko jedną. „Miney” to przezwisko. Lauren w zeszłym roku skończyła nasze liceum.

– Wiem.

– Znasz ją?

– Wiem, kim jest, wszyscy w szkole wiedzą.

Marzę o tym, żeby nas jakoś przesunąć spod regału z produktami do higieny intymnej, ale dalej stoją prezerwatywy i lubrykanty.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Przewodnicząca klasy. Królowa balu. Niczym rodzina królewska z Mapleview. – Gdybym rozmawiała z Justinem, zapewne nie przyznałabym się, że wiem tyle na temat jego rodziny, jednak z Davidem nie ma potrzeby rozgrywania czegokolwiek. Przypuszczam, że nawet by tego nie zauważył.

– Ty nie masz rodzeństwa, prawda? – pyta, a ja po raz pierwszy uświadamiam sobie, że jest podobny do siostry. Inny sposób bycia, maniera i głos, ale ta sama twarz. Ciemne oczy, długie rzęsy i pełne wargi. Gdyby nie kwadratowa, mocna szczęka i delikatny meszek zarostu, można by go nazwać ładnym.

– Nie. Jestem sama, samiutka.

David kiwa głową, jakbym tylko potwierdziła coś, co już wiedział.

– Wyglądasz na jedynaczkę.

– Nie mogę się zdecydować, czy to zniewaga, czy komplement.

– Ani jedno, ani drugie, tylko stwierdzenie faktu. Zawsze sądziłem, że czułbym się jeszcze bardziej samotny, gdybym nie miał siostry.

– Wydaję ci się samotna? – pytam.

Tak właśnie wygląda rozmowa z Davidem Druckerem, od razu przechodzi do sedna. I nieważne, że stoimy w aptece, otoczeni tamponami i maściami na grzybicę pochwy. Chyba dobrze by nam się ze sobą konwersowało: ja zapomniałam, jak się prowadzi nieistotne rozmowy o niczym, a on nigdy nie opanował tej sztuki.

– Niezupełnie, ale jest w tobie pewien bezruch. Gdybyś była falą radiową, miałabyś swoją własną częstotliwość. Myślę, że nie każdy cię słyszy. – David wygłasza tę mowę do moich stóp, ale nagle podnosi głowę i wbija we mnie wzrok. Ten kontakt wydaje się taki szczery, wręcz intymny, że aż mi dreszcz przechodzi po plecach. Mrugam pierwsza. – Oczywiście są w tobie także inne fale, dzielone z ludźmi – takie, których mi brakuje – ale te najważniejsze, te stanowiące o tym, kim jesteś... Myślę, że z ich rozszyfrowaniem inni mogą mieć pewien problem. Taką mam teorię.

David Drucker ma teorię na temat moich metaforycznych fal radiowych. Nie wiem, co na to powiedzieć.

\*

Kiedy wychodzimy na przeszywająco zimne powietrze i stajemy z rękoma wsuniętymi w kieszenie zimowych kurtek, proponuję, żebyśmy wybrali się coś zjeść. Nie mam ochoty wracać do samochodu, nie chcę jechać do domu, bo i jedno, i drugie oznacza emocje, których wolałabym uniknąć. Potrzebna mi zmiana otoczenia. Coś, co sprawi,

że czas nie będzie płynął w zwolnionym tempie.

– Pizza Palace? – pyta David.

Restauracja znajduje się dwa kroki stąd. Wyobrażam sobie koleżanki ściśnięte przy stoliku na tyłach. Nie ma potrzeby łączenia Davida z moim prawdziwym życiem.

– Nieee.

– Domyśliłem się, że nie będziesz chciała tam iść. Pizza Pizza Pizza jest o wiele lepsza i ma atrakcyjne menu w korzystnej cenie. Po prostu nie chciałem tego sugerować.

– Dlaczego?

– Ze względu na nazwę. W końcu nie mają trzy razy więcej pizzy niż inne restauracje, to idiotyczne.

– A może w ogóle zrezygnujemy z pizzy?

– Też brałem pod uwagę taką możliwość, w końcu zjadłaś solidny, zbilansowany posiłek w szkole – odpowiada, po czym milknie. Chrząka. Wpatruje się w jeden jedyny samochód, który jedzie główną ulicą. – To zapewne jedna z tych rzeczy, które powiedziałem na głos, a potem będę tego żałował, prawda?

Wybucham śmiechem i dobrze mi z tym. David wygląda słodko, kiedy sobie uświadamia, że palnął głupstwo. Otwiera wtedy szeroko oczy. Żeby go wyratować z opresji, wsuwam mu rękę pod ramię i ruszam.

– Wiesz, gdybyś zapytał, nie miałabym pojęcia, jak opisać twoją częstotliwość – stwierdzam.

– Prawdę powiedziawszy, czasami myślę, że tylko psy mnie słyszą – mówi.

– Nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy, ale ja cię słyszę bez problemu.

– To bardzo wiele dla mnie znaczy – odpowiada.

Rumienię się i jestem pewna, że on też.



Ostatecznie lądujemy w Straw, zamawiamy rożki lodów waniliowych i czekoladowo-ciasteczkowych, ignorując fakt, że na dworze jest bardzo zimno. Siadamy przy ladzie, tak jest łatwiej, ponieważ rozmawiając, nie musimy patrzeć sobie w oczy. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale w towarzystwie Davida nie czuję się tak zakłopotana jak przy innych. A jednak wpatrywanie się w staroświecką szafę grającą zamiast w jego twarz mi pomaga. Pomaga zapomnieć o sobie.

– Wierzysz w efekt motyla? – pyta David ni stąd, ni zowąd.

– A po ludzku?

– W teorii chaosu istnieje koncepcja, zgodnie z którą jedna drobna zmiana może przynieść dalekosiężne skutki. Czyli gdy motyl zatrzepocze skrzydłami tutaj, w New Jersey, wpłynie to na atmosferę i wywoła na przykład huragan na wyspach Galapagos.

Kiwam głową, myśląc o tym, że dokładnie trzydzieści cztery dni temu niejaki George Wilson, człowiek o nazwisku pasującym raczej do przysadzistego sąsiada w serialu telewizyjnym, a nie do mężczyzny z krwi i kości, postanowił spotkać się z kolegą na piwie. I o tym, że dokładnie trzydzieści pięć dni temu złożono wniosek o naprawę pewnych świateł na skrzyżowaniu, ale niestety utknął gdzieś w biurokratycznym bałaganie. I o stopie, która zbyt wolno nacisnęła pedał hamulca.

Wydawałoby się, że to nieistotne detale.

Myślę o motyłu rozkładającym skrzydła i o tym, że mój tata nie żyje.

– Wierzę – odpowiadam. – Ale wolałabym nie, bo to mi tylko uświadamia, że nie mamy większej kontroli nad naszym życiem.

– Na przykład nad śmiercią twojego taty – stwierdza David.

Mówi tak, jakby to były zwyczajne słowa, a ja się czuję tak, jakby mnie uderzył prosto w splot słoneczny. Ale i trochę jak na haju, bo mam wrażenie, że czytał mi w myślach i wypowiedział wszystko na głos. Bezpośrednio, bez owijania w bawełnę.

Nie licząc wczorajszego wieczoru, który był wyjątkiem potwierdzającym regułę, moja mama nawet nie wymawia imienia taty, a co tu mówić o wspomnianiu jego śmierci.

Tyle możliwych słów, tyle opcji do wyboru: zabity, zginął, umarł, nie żyje, nie ma go.

Wszystkie są zakazane w moim domu.

– Coś w tym rodzaju. Chociaż to był wypadek samochodowy. Wynik szeregu czynników, dotyczący jednak d w ó j k i kierowców. Ludzkich błędów. A to chyba coś innego niż zaburzenia atmosferyczne, prawda?

– Być może. Jednak gdybyś wzięła każdy z tych ludzkich błędów z osobna, uzyskałabyś zupełnie inny rezultat. Być może twój tata wyszedłby z tego cało.

Lizę swojego różka, który nagle wydaje mi się mdląco słodki. Powinnam była zrobić tak jak David: poprosić o ciasteczka czekoladowe na dole. Powoli zmierzać ku gorszemu smakowi.

– Rozmyślałem o efekcie motyla, o tym, jak seria zdarzeń przywiodła cię do mojego stolika w stołówce, a stolik do tej chwili, teraz. Jeszcze tydzień temu nie jedlibyśmy razem lodów.

– Zapewne nie.

– A potem być może powiem coś niewłaściwego i skończy się tym, że już nigdy nie będziemy ich razem jeść.

Zerkam na profil Davida. Jednak nie jest tak odporny na otaczający go świat, jak się wydaje.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo – mówię. – Jestem jak paskudna wysypka.

– Słucham?

– A nic – odpowiadam zakłopotana. Czyżbym porównała się do choroby skóry? Owszem, właśnie to zrobiłam. – Nic takiego.

Chwilę później nadal siedzimy w pustej lodziarni, nogi nam zwisają z wysokich stołków barowych. David ma na policzku kawałek

czekolady, ale nie mówię mu o tym. Wygląda uroczo.

– Gdybyś mógł być kimś innym, kim chciałbyś być? – pytam. Uznałam, że podoba mi się brak cenzury w pytaniach Davida i sama też powinnam spróbować.

Ciągle o tym myślę. Że budzę się rano, spoglądam w lustro i widzę, iż patrzy na mnie zupełnie inna osoba. Oddałabym wszystko, żeby być dawną sobą, sprzed wypadku, dziewczyną, która potrafi siedzieć przy starym stoliku w stołówce i plotkować o niczym. Z czasów, kiedy inspirowały mnie osoby takie jak Lauren Drucker, dobroduszna królowa Mapleview. Wolałabym być nikim, zwyczajną idiotką, bylebym nie była tego świadoma.

– Jest taki facet, Trey, który uczy mnie gry na gitarze – odpowiada David. – W sumie mnie wkurza, ale jest typem człowieka, którego wszyscy lubią. Zawsze wie, co powiedzieć. Jakby miał denerwująco idealne fale radiowe. Chyba nim?

– Kiedyś chciałam, żeby moje metaforyczne fale radiowe odtwarzały muzykę, która jest oryginalna, a jednocześnie harmonijna. Coś fajnego. A teraz mam wrażenie, że przypominam odgłosy ruchu ulicznego w godzinach szczytu.

– Absolutnie nie jesteś ruchem ulicznym w godzinach szczytu – odpowiada David i delikatnie wyciera brodę serwetką. Szkoda. – Chociaż ja nie miałbym nic przeciwko, żeby nim być. Pouczający, choć powtarzalny. Ale przynajmniej ludzie się w niego wsłuchują.

– Myślę, że jesteś bardziej alfabetem Morse’a – mówię z uśmiechem.

– Nauczyłem się tego alfabetu, kiedy miałem osiem lat. To klikanie jest irytujące.

Pochylam się i nie wiedzieć czemu – może nie mam nic mądrego do powiedzenia, a może w obecności Davida czuję się jak nie ja, a jak nie być sobą – wystawiam język i liżę jego deser. Waniliowy smak. David wpatruje się w moje usta, tak samo zszokowany jak ja.

- Przepraszam – mówię. – Twój wybór wydaje mi się lepszy.
- Te leki na przeziębienie nie są dla mnie. Tak gwoli wyjaśnienia.
- Nie martwiłam się tym.

Zastanawiam się, co by się stało, gdybym teraz spojrzała w lustro. Kogo bym tam zobaczyła. Czy czas właśnie skoczył do przodu dzięki temu liźnięciu?

Później, kiedy siedzę w swoim pokoju i odrabiam lekcje, chociaż dawno już powinnam spać, przychodzi pierwszy esemes od Davida.

*David:* Zwykle jestem przeciwny tej formie komunikacji, ale pomyślałem, że zrobię wyjątek.

*Ja:* Czuję się zaszczycona. Skąd taka postawa antyesemesowa?

*David:* Mam problem ze zwizualizowaniem sobie podróżujących w ten sposób słów. I boję się, że dla Ciebie zabrzmiały one inaczej niż dla mnie. Nie jestem dobry w tonach i niuansach.

*Ja:* Powinna była się spodziewać, że odpowiesz mi szczerze. Ale i tak jestem zaskoczona.

*David:* Kiedy zadajesz pytanie, otrzymujesz odpowiedź.

Robię sobie szybkie selfie komórką. Jestem w piżamie, włosy mam związane w kok na czubku głowy, unoszę kciuk. To nie jest ładne zdjęcie, ale David zapewne poczułby się urażony, gdybym zastosowała jakiś filtr. Wysyłam.

*Ja:* Czy łatwiej Ci będzie komunikować się obrazami?

Następuje dłuższa cisza, zastanawiam się, co się dzieje po drugiej stronie. Może jego mama weszła do pokoju z pytaniem, dlaczego jeszcze nie śpi. A może patrzy na moje zdjęcie, zde gustowany widokiem zaniedbanej pyzatej dziewczyny, która ciągle narusza jego przestrzeń. Przypominam sobie, jak się pochylałam nad blatem i polizałam jego lody. Nienawidzę tamtej osoby, siebie sprzed paru godzin. Bezczelna i flirtująca, a przecież nie zamierzałam być taka w obecności Davida. Sądziłam, że rano osiągnęłam apogeum nie lubienia siebie, ale jak widać

się myliłam.

Czekam kolejną niekończącą się minutę.

*David:* :)

*David:* To był mój pierwszy emotikon. Albo emoji. Muszę to wyguglować, żeby sprawdzić, na czym polega różnica.

*Ja:* Wreszcie coś, co ja wiem, a Ty nie!

*David:* Istnieje mnóstwo rzeczy, które Ty wiesz, a ja nie. Na przykład masz bardzo wysoki iloraz inteligencji społecznej.

*Ja:* Dzięki. A Ty masz bardzo wysoki iloraz normalnej inteligencji.

*David:* Kiedy ostatni raz sprawdzałem, było 168.

*Ja:* Czasami nie wiem, czy żartujesz, czy nie. Dlaczego nie śpisz? Późno już.

*David:* To kolejna rzecz, w której nie jestem zbyt dobry.

*Ja:* Ja też. Zwłaszcza ostatnio.

*David:* Co robisz, kiedy nie możesz zasnąć?

Zastanawiam się. Uświadamiam sobie, że gdybym pisała, powiedzmy, z Gabrielem w czasie tych dwóch tygodni w zeszłym roku, gdy ze sobą chodziliśmy, zareagowałabym czymś banalnym. Wymijającą odpowiedzią. Może wysłałabym mu obrazek owcy, by pokazać, że liczę barany. Albo jakąś śmieszoną grafikę. Nie miałabym powodu, żeby rozmyślać nad prawdziwą odpowiedzią.

*Ja:* W tej chwili odrabiam lekcje. Zwykle jednak rozmyślam o wypadku i o tym, co się stało tacie.

*David:* Po co to robisz?

Nie odpisuję. Oglądam sobie paznokcie. Jestem ciekawa, co moje palce miałyby do powiedzenia na ten temat. W obecności Davida działam pod wpływem impulsu, nic nie robię z premedytacją. Kto przy zdrowych zmysłach liże czyjeś lody? Szczerść nie zawsze popłaca.

*Ja:* Przyciskałeś kiedykolwiek siniaka?

*David:* Oczywiście.

*Ja:* Po części to dlatego.

Odkładałam telefon, ale za moment znów biorę go do ręki.

*Ja:* A po części ponieważ to jak zagadka. Chciałabym wiedzieć, kiedy można było temu zapobiec... Czy w ogóle można było zapobiec. Kiedy był ten ostatni moment, w którym można było jeszcze nacisnąć stopą hamulec? Choć tak naprawdę to nie ma znaczenia.

*David:* Oczywiście, że ma znaczenie. To otwarta pętla. Nie cierpię otwartych pętli.

*Ja:* Ja też.

*David:* Mógłbym Ci pomóc to ustalić. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć.

*Ja:* Potrafiłbyś?

*David:* Oczywiście. To nic nadzwyczajnego, zwykła fizyka.

Znajduję w komórce zdjęcie zmiażdżonego volva. Zmuszam się, by na nie spojrzeć, a moje ciało przeszywa potężny dreszcz. Zamykam oczy i wysyłam.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

# DAVID

**P**rzy śniadaniu Miney znów ma na sobie swoją piżamę z kaczką dziwaczką. Jest zła, ponieważ mama ją rano obudziła, chociaż moja siostra jest już pełnoletnia i nigdzie nie musi iść. Lekarstwo, które jej kupiłem, leży nieotwarte na blacie w kuchni. Coś jest nie tak z Miney, zaczynam dochodzić do wniosku, że to jednak nie jest przeziębienie.

– Uważaj z tymi esemesami – mówi. – Żeby się nie okazało, że przestaje ci wystarczać przyjaźń.

– Nie rozumiem.

– Polizała twoje lody, to flirt.

Miney spanikowała, kiedy jej o tym powiedziałem wczoraj wieczorem. Powtarzała tylko: „Nie ma mowy, nie ma mowy” i uderzała dłoń w dłoń. W odpowiedzi mówiłem: „Jest mowa, jest mowa” – tak długo, aż mi wreszcie uwierzyła. To ona wpadła na pomysł, żebym wysłał Kit esemesa, i muszę przyznać, że kiedy już zacząłem, dziwię się, że wcześniej byłem takim ich przeciwnikiem. Już nie muszę znosić tej wymownej ciszy, podczas której tłumaczę sobie to, co ludzie do mnie powiedzieli, a potem zastanawiam się nad tym, co im odpowiedzieć. Współczesna technologia znalazła wspaniałe obejście moich problemów

komunikacyjnych. Nie licząc rodziców, Miney i Kit, którym przydają się wolne ręce podczas kierowania samochodem, gdybym tylko mógł, od tej chwili porozumiewałbym się wyłącznie za pomocą esemesów. Już nigdy nie otworzyłbym ust.

– Chciałbyś ją pocałować, prawda?

– Słucham? – Zgubiłem się w naszej rozmowie, rozmyślałem bowiem o tym, że gdyby Kit uznała mnie za swojego przyjaciela, liczba moich przyjaciół tym samym by się podwoiła. A potem zacząłem analizować słowo „flirtowanie”, które swoim brzmieniem przypomina trochę „fruwanie”, co oczywiście skojarzyło mi się z motylami i przywiodło na myśl teorię chaosu oraz uświadomiło, że chciałbym zgłębić temat, by móc dokładniej opowiedzieć o tym Kit.

– Czy. Chciałbyś. Ją. Pocałować – powtarza Miney.

– Oczywiście, że tak. Kto nie chciałby pocałować Kit?

– Na przykład ja bym nie chciała – mówi moja siostra, naśladowując sposób, w jaki ja odpowiadam na pytania retoryczne. Chociaż jej intencją jest raczej wyszydzenie mnie niż nauczenie czegokolwiek, jej technika okazała się całkiem skuteczna w przekonaniu mnie, że mam tendencję do zbyt dosłownego rozumienia innych. – Mama nie chciałaby pocałować Kit. Nie wiem, jak tata, ale przypuszczam, że też nie.

Tata nawet nie podnosi głowy. Zatopił się w książce o wzorach zachowań rozrodczych wśród migrujących ptaków. Jaka szkoda, że nasze zainteresowania naukowe się nie pokrywają. Śniadanie byłoby znacznie ciekawsze, gdybyśmy mogli rozmawiać o swoich lekturach.

– Jeśli więc chciałbyś pocałować Kit, znaczy, że chcesz, by widziała w tobie p r a w d z i w e g o f a c e t a – stwierdza Miney, celując we mnie swoją kawą. Pije czarną. Może jednak nic jej nie jest, może po prostu czuje się przemęczona.

– Jestem prawdziwym facetem. – Jak to możliwe, że nawet moja



własna siostra nie widzi we mnie istoty ludzkiej? – Mam penisa.

– Już myślę, że zrobiłeś postępy, a wtedy ty wszystko psujesz, wspominając o swoim penisie.

– Co? Ale taka jest prawda: mam penisa. To sprawia, że jestem facetem. Chociaż technicznie rzecz biorąc, istnieją osoby transseksualne, które posiadają penisa, a jednak identyfikują się z płcią piękną.

– Przestań powtarzać to słowo.

– Jakie słowo? Penis?

– Tak.

– Wolisz członek? Prącie? Wacka? – pytam. – A może siusiaka? Przyrodzenie?

– Wolę w ogóle nie rozmawiać o twoich męskich narządach.

– Moment! Czy to oznacza, że powinienem natychmiast napisać do Kit i wyjaśnić jej, że posiadam męskie narządy? – Łapię za telefon i zaczynam klikać, mówiąc: – Droga Kit. Gwoli wyjaśnienia. Mam penisa.

– O Jezu! Nie pisz. Przestań! – Miney odstawia z łoskotem filiżankę.

Wiem, że będzie gotowa się na mnie rzucić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Ha! Mam cię! – Uśmiecham się tak samo dumny jak wtedy, gdy zażartowałem, że wszystkie mi to mówią.

– Kim ty jesteś i co zrobiłeś z moim bratem? – pyta Miney, ale i ona się uśmiecha.

Przyznaję, że przez ułamek sekundy – być może ze względu na kontrast między jej zdezorientowanym tonem głosu i szczęśliwą miną – prawie, p r a w i e, mówię głośno: „Jestem Małym D.”

Zamiast tego pozwalam jednak, by to retoryczne pytanie zawisło w powietrzu, tak jak powinno.

To piąty dzień, w którym Kit siada przy moim stole. Co oznacza, że siedzi ze mną przez cały tydzień. Pięć dni z rzędu. Czuję się podekscytowany, to bardzo miłe uczucie, chociaż zupełnie mi obce,

zwłaszcza na terenie szkoły.

– Chciałabym ci coś powiedzieć, to w sumie zawstydzające, ale muszę to rzucić z serca – mówi Kit, a ja nie jestem w stanie się powstrzymać i patrzę na jej serce.

Wyobrażam sobie, jak wyglądałaby bez koszulki, myślę o tym, co kryje się pod jej stanikiem, który, jak zakładam, ma rozmiar 34B. Zmuszam się, by nie myśleć o tym wszystkim w szkole.

Oczywiście to brak szacunku myśleć o jej piersiach, gdy ona siedzi naprzeciwko i próbuje mi coś powiedzieć. Zajmę się nimi później, kiedy prawdopodobieństwo, że się o tym dowie, będzie wynosiło zero.

– Przepraszam za to, że polizałam wczoraj twój deser. To było... nie wiem. Niewłaściwe.

– Nie masz za co przepraszać – odpowiadam, zastanawiając się, czy mam rozumieć, że w ten sposób wycofuje się z flirtu. Jakaś niedojrzała część mnie pragnie krzyknąć: „Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera!” – Zawsze chętnie podzielę się z tobą swoim deserem.

Patrzę na leżące przede mną drugie śniadanie – kanapkę z kurczakiem, paczkę chipsów i banana – i zastanawiam się, czy powinienem ją poczęstować. Lubię to dzielenie się z nią jedzeniem. To tak, jakbyśmy tworzyli sojusz – pomyśleć, że do niedawna było to dla mnie puste, niezrozumiałe sformułowanie.

– W takim razie okej – odpowiada, a ja nie mam pojęcia, na co właściwie przystaliśmy.

– Byłbyś dzisiaj dumny z mojego drugiego śniadania, jest wyjątkowo zbilansowane – mówi Kit, wyjmując z plecaka papierową torebkę i pokazuje mi małe opakowanie greckiego jogurtu.

– To wszystko? – Nagle zaczynam się martwić, że ona o siebie nie dba. Już wolałem, gdy jadła za dużo. – Żadnych resztek z wczorajszego obiadu?

– Nie. Wczoraj jadłyśmy płatki z mlekiem. Moja mama chyba

zapomniała, jak się gotuje. Nie żeby wcześniej często gotowała, no wiesz, w c z e ś n i e j. Ale teraz u mnie w domu albo wielka uczta, albo głód. Nadmierne ilości jedzenia na wynos lub kompletnie nic.

– Wiesz, jak się robi grecki jogurt?

– Nie i wolę nie wiedzieć.

Uśmiecham się jeszcze szerzej. Podoba mi się, że Kit mówi mi, o czym chce, a o czym nie chce rozmawiać. Dzięki temu nie będę nawijał o rzeczach, które jej nie interesują – a to, według mojej mamy i Miney, jest jednym z moich największych problemów. Nie zawsze zauważam, że inni nie dzielają moich fascynacji.

– W takim razie okej – mówię, nawiązując do sformułowania, którego użyła wcześniej. Nie umknęło mojej uwadze, że tego typu konwersacje są często prowadzone w filmach. – Zamiast tego możemy porozmawiać o teorii strun.

– Nie. O tym też nie.

– Może więc zabierzemy się do projektu „Wypadek”? – proponuję, ponieważ bardzo chciałbym pomóc Kit zrozumieć, co się przytrafiło jej tacie. Czytałem o pięciu etapach żałoby i zakładam, że to, iż zgodziła się na takie przedsięwzięcie, oznacza, że skończyła się faza zaprzeczenia.

– Nie tutaj. Nie w szkole.

– Dobrze.

– A sprawdzian z historii? Jeśli powiesz, że był łatwy, uderzę cię.

Myślę o Kit, która wymierza mi policzek, i nie jest to wcale przykra myśl, ponieważ znaczyłoby to, że jej ręka dotknie mojej twarzy. Do tej pory dotykaliśmy się tylko dwukrotnie: w poniedziałek, kiedy pomagałem jej wstać w budce przy boisku, oraz wczoraj, gdy ujęła mnie pod rękę na głównej ulicy.

– Nie był trudny – stwierdzam, a ona to robi.

Naprawdę to robi. Pochyliła się nad stołem i dla żartu mnie policzkuje.

W pewien wczesny letni poranek, kiedy miałem cztery lata, mama

zabrała mnie na basen. Wcześniej odmawiałem wejścia do wody, zbyt dużo było tam dzieci, krzyczących, chlapiących, rzucających jaskrawymi cylindrycznymi przedmiotami z pianki poliuretanowej – Miney nazywała je makaronikami, ale dla mnie nie były ani jadalne, ani niewinne. Jednak tego dnia basen był zupełnie pusty, a ja miałem założone „cudowne skrzydełka”, które niestety, ku mojemu rozczarowaniu, nie dawały mi ani cudownej mocy, ani umiejętności latania, za to cisnęły mnie i przeszkadzały. Marudziłem, wyobrażając sobie czerwone ślady, jakie zostawią na rękach, ale mama chwyciła moją dłoń i weszliśmy do wody. Jakimś cudem znalazłem w sobie odwagę, żeby zanurzyć twarz głęboko, razem z uszami. Świat nagle stał się niebieski, przytłumiony i wreszcie cichy.

Pamiętam, co wtedy sobie pomyślałem. „To mój dom. Miejsce, w którym można oddychać, choć nie ma powietrza. To mój dom.”

Czuję dokładnie to samo, gdy dłoń Kit dotyka mojej twarzy. Jakbym pływał po raz pierwszy. Jakbym odkrył magię wody. Jakbym wrócił do domu.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

# KIT

Jak się okazuje, utarte frazesy są utarte nie bez powodu – są po prostu prawdziwe. A już na pewno ten mówiący, że człowiek nigdy nie docenia tego, co ma, dopóki tego nie straci.

Jestem z wujkiem Jackiem w pokoju taty, będącym krzyżówką gabinetu z męską jaskinią. Pachnie tu tak samo jak p r z e d t e m. Szukamy dokumentów: polisy ubezpieczeniowej, informacji na temat hipoteki (choć nawet nie wiem, co to takiego), haseł do konta bankowego. Wszystkich ważnych rzeczy, które zdaniem Jacka powinny się znajdować w jednej teczce. Moja mama, która najwyraźniej cofnęła się do fazy pierwszej, zaprzeczenia, albo może nawet do fazy zerowej, b e k o n u, zaszyła się w łóżku z zestawem wieprzowych produktów. Oddajemy się temu masochistycznemu zajęciu sami.

Zbyt wiele tu wspomnień. Na biurku taty stoi zdjęcie przedstawiające mnie w wieku ośmiu lat. Jesteśmy w Disney World, a ja z dumną miną trzymam w ręku tęczowego lizaka wielkości swojej głowy. Jest też fotka przedstawiająca jego i mnie, elegancko ubranych, na balu dla rodziców i dzieci w szkole podstawowej. Od razu ją odwracam, żeby nie musieć na nią patrzeć. Kolejna fotografia to pamiątka z miesiąca miodowego

i podróży poślubnej. Moi rodzice są na niej zaskakująco młodzi i zakochani. Mama trzyma na ramionach taty swoje ręce, nadal pokryte wyszukаныmi ślubnymi rysunkami z henny. Oboje stoją na szczycie góry. I wreszcie odwrócone zdjęcie, moje ulubione, z czterdziestych urodzin mamy. Tata trzyma mnie na biodrze, chociaż mam dziesięć lat i jestem zbyt duża, żeby mnie w ten sposób nosić. Wszyscy się śmiejemy z żartu, który opowiedział – o tym, że mama robi się dla niego za stara. Wyglądamy na bardziej szczęśliwych, niż to możliwe.

Nie powinno nas tu być, nie powinniśmy z wujkiem Jackiem naruszać tej świętej przestrzeni, ale mama potrzebuje naszej pomocy. Gdy byłam mała, często błagałam tatę, żeby pozwolił mi się bawić w swoim gabinecie, na tym beżowym dywanie. Obiecowałam – „przysięgam, tatusiu!” – że nie będę hałasowała i pozwolę mu robić te wszystkie tajemnicze rzeczy, które miał zaplanowane. Jak się można spodziewać, wcale nie milczałam. Zadawałam mu jedno niedorzeczne pytanie za drugim: „Czy wiesz, że ośmiornice mają niebieską krew?”, „Słyszałeś, że samce koników morskich zachodzą w ciążę?” Pewnie chciałam po prostu słyszeć jego głos.

Zawsze uwielbiałam głos mojego taty: głęboki, ochrypły. Dźwięk domu.

„Koniki morskie noszą nawet dwa tysiące młodych na jeden raz, chociaż najczęściej ich liczba oscyluje w okolicach tysiąca pięciuset. Krew ośmiornicy jest niebieska, ponieważ zawiera specyficzne białko pozwalające tym stworzeniom żyć w ekstremalnych temperaturach. A teraz musisz stąd wyjść, Kitty Cat. To nie jest strefa dla dzieci” – mówił tata i wyprowadzał mnie z pokoju.

Tłumaczę sobie, że teraz przecież już mogę tu przebywać. Nie jestem dzieckiem. Już nie.

Jak się okazało, krew mojego taty nie była ani czerwona, ani niebieska, miała barwę miedzianobrazową. Kolor brudnych monet.

Oboje z Jackiem pracujemy w milczeniu. Wszystko dzielimy między trzy worki: do zatrzymania, do wydania, do śmieci. Od czasu do czasu któreś z nas podnosi jakiś przedmiot, na przykład srebrnego królika, którego tata używał jako przycisku do papieru, i pyta tę drugą osobę milczącym wzruszeniem ramion, co należy z tym zrobić. „Do zatrzymania” – pokazuję znacznie częściej, niż powinnam. Nie umknęło mojej uwadze, że tym razem nie mam problemu z zachowaniem milczenia. Odnoszę wrażenie, że ten gabinet wymusza na mnie ciszę.

Wzruszam się, gdy znajduję teczkę podpisaną „Kit”, w środku tkwią ułożone chronologicznie moje świadectwa z ostatnich dziesięciu lat, zdjęcia z mamą, certyfikat potwierdzający, że doszłam do półfinałów Merit, projekt, który zrobiłam w przedszkolu na Dzień Kultur: narysowałam wtedy moją rodzinę, wszyscy trzymamy się za ręce, tatę pokolorowałam brzoskwiniową kredką, mamę brązową, a siebie w połowie jedną, a w połowie drugą: pionowa granica przebiega przez środek mojego ciała. Na czole narysowałam sobie *bindi* w kształcie choinki. Ten rysunek stał się legendą w naszej rodzinie, wszyscy żartowali, że moja lewa połowa jest hinduska i wyznaje sikhizm, a prawa należy do amerykańskich anglikanów.

„Przygotuj swoją lewą stronę” – zwykł żartować tata. „Jutro rano jedziesz z mamą do świątyni”

Tateczka jest dowodem na to, co od dawna wiedziałam: wiedliśmy dobre życie. Może nawet idealne.

A potem trafiam na pięciostronicowy dokument. Czytam. To chyba jakaś pomyłka. Na pewno. Przecież to nie może być to, co myślę. Jack widzi moją minę, podchodzi i czyta mi przez ramię.

– Cholera. Nie powinnaś. To znaczy... nawet nie wiedziałem, że on... Kitty Cat, nie czytaj tego...

– Nie mam na imię Kitty Cat! – wrzeszczę, chociaż to przecież nie jest

wina Jacka. Tylko taty.

Na górze strony widnieje napis: „Pozew o rozwód z orzeczeniem winy”. Może nie jestem pełnoletnia, może nie potrafię zdefiniować terminu „hipoteka”, ale nie jestem głupia. Wiem, co to oznacza. I wiem także, co oznaczają słowa znajdujące się pod nagłówkiem „Uzasadnienie”: okoliczność zdrady małżeńskiej.

Biegnę na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, i łomoczę do drzwi pokoju mamy.

– Mamo! – krzyczę.

Wpadam do środka, zanim jeszcze powie: „Proszę”. Łzy spływają mi ciurkiem po twarzy, nienawidzę siebie za to. Trzymałam się przez pięć tygodni, nikt nie widział, żebym płakała, ale to mnie kompletnie załamuje.

Połowa moich znajomych przez to przeszła. Rodzice Annie się rozstali. Wujek Jack się rozwiódł z żoną. Małżeństwa się sypią, ja jednak nigdy nie przypuszczałam, że moich rodziców też to będzie dotyczyło. Wydawali się ponad czymś takim.

Nagle do mnie dociera, że – o ironio! – nie będzie żadnych konsekwencji tej decyzji. Tata nie żyje. Nie będę musiała przemieszczać się między dwoma domami ani znosić skomplikowanych ustaleń weekendowych i negocjacji przedświątecznych. Moja przyszłość pozostanie niezmienną.

Tyle że zmienia się wszystko, w co do tej pory wierzyłam. Zmienia się moje postrzeganie osoby, którą straciłam.

– Co to ma znaczyć?! Tata cię zdradził i wystąpiłaś o rozwód? Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałam? Jak mogliście to przede mną ukrywać?

Wycieram nos w rękaw. Muszę przestać płakać, ale nie potrafię zatrzymać potoku łez ani dreszczy, które mną wstrząsają. Ciskam w mamę dokumentem, jednak ona nie bierze go do ręki.

– Kit, to nie tak, jak myślisz. Nie chcieliśmy się rozwodzić.



Dyskutowaliśmy o tym wszystkim. Chodziliśmy na spotkania. Na terapię małżeńską – odpowiada i klepie łożko obok siebie, jakby sądziła, że w takiej chwili mam zamiar usiąść. Nie jest zaskoczona i nie płacze. Ba, wydaje się spokojna.

– Kiedy? Kiedy chodziliście na terapię?

– We wtorki wieczorem. Tak naprawdę nie zaczęliśmy grać w brydża.

Pomyśleć, że nabijałam się z rodziców i ich cotygodniowej gry w karty. Mówiłam, że powinni wybrać coś bardziej luzackiego, na przykład pokera. A oni poddawali się moim żartom, uśmiechali się, całowali mnie w czoło, powtarzali: „Tylko nie siedź za długo”. W rzeczywistości szli rozmawiać ze specjalistą o tym, że tata przespał się z inną kobietą. Potrzebna była opinia eksperta, czy uda im się ocalić małżeństwo.

Tyle kłamstw.

W zeszłym tygodniu zasugerowałam mamie, że powinna wrócić do brydża, że wyjdzie jej na dobre, gdy się znów będzie spotykać ze znajomymi. Ale ona pokręciła głową ze smutkiem i odparła: „Nie byłabym w stanie bez taty”

Gównu. Jedno wielkie gównu.

– Nie wiedziałam, że trzyma te dokumenty – mówi mama. – Nie wiem, co by się stało, gdyby on nie... – Zawiesza głos, a ja mam ochotę to wykrzyknąć: „Gdyby nie zginął, mamu! Gdyby nie zginął”. Nie robię tego jednak.

– Zdradził cię. Jak on mógł... – Głos mi się łamie, próbuję od nowa: – Jak on mógł zrobić nam coś takiego?

– Moment, Kit. Nie zrobił tego. Tata mnie nie zdradził.

– Nie jestem idiotką. Przecież tu stoi czarno na białym. – Pokazuję na dokument, który teraz leży na podłodze.

Powinnam była przestrzegać zasad i nie wchodzić do jego jaskini. Strefy, do której dzieci nie mają wstępu. Widać wyraźnie, że to nie

miejsce dla takich zasmarkanych, zaryczanych dzieciuchów jak ja, nawet po tym wszystkim, co się stało.

– Tata mnie nie zdradził – powtarza mama.

– Proszę cię!

Wzdycha.

– Ja go zdradziłam. – Ton jej głosu przypomina mi Davida. Jest podobnie beznamiętny. Neutralny. Rzeczowy. Jak Siri i prognoza pogody na jutro.

Nie płacze, a ja wracam myślami do ostatniego miesiąca, do jej szlochu i skomlenia, i milionów zużytych chusteczek porzrzucanych po całym dołu. Czy to było jedynie przedstawienie na mój użytek?

– Wydaje mi się, że kiedyś bym ci powiedziała. Może za jakiś czas, później. – Mama kręci głową. – A może nie. Niektórych tajemnic lepiej nie zdradzać.

– Co takiego? T y zdradziłaś? Kiedy? Z kim? – pytam, chociaż wcale nie tego chciałam się dowiedzieć. Wolałabym zadać inne pytania: „Dlaczego?” oraz „Jak mogłaś?” i „Co ja mam teraz zrobić?”. Zwłaszcza to ostatnie.

Mama milczy. Wujek Jack wbiega na górę i staje w drzwiach, tuż za mną.

– Kit – mówi, używając tego samego tonu poskramiacza lwów, którego użył wobec mamy kilka dni temu.

Teraz już wiem, czemu wtedy wymaszerowała z salonu. To wkurzające.

– To nie twoja sprawa, wujku – mówię i odwracam się znów do mamy.

Zastanawiam się, jak długo będę musiała tu stać, zanim powie mi prawdę. Być może bez końca. Jak się jednak okazuje, mama nawet na mnie nie patrzy. Spogląda poza moim prawym ramieniem na wujka Jacka, który niemal niezauważalnie kręci głową.

„O nie” – myślę. „Nie, nie, nie”

Ponieważ teraz już wszystko rozumiem. Moja mama nie musi mówić ani słowa.

Kiedy człowiek zakłada, że już gorzej być nie może, robi się gorzej. Zawsze tak jest.

To Jack.

Mama miała romans z wujkiem Jackiem.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

# DAVID

**P**rzestałem być niewidzialny. Siedemdziesiąt trzy procent osób, które dzisiaj minąłem, zatrzymało się, wbiło we mnie wzrok, a potem zaczęło coś szeptać do kolegów/koleżanek. Pozostałe dwadzieścia siedem procent przeszło, po czym spojrzało ponownie, co do tej pory widywałem jedynie w kreskówkach u bohaterów obracających szyją o trzysta sześćdziesiąt stopni. Wyglądam inaczej. Mam krótkie falowane włosy zamiast długich kosmyków zwisających wokół twarzy. Moje ubrania przypominają to, co noszą najbardziej lubiani uczniowie szkoły.

Staram się nie myśleć o niesymetrycznej fałdzie na lewej łydce ani o tym, że džins jest taki sztywny i zgina się w nieodpowiednich miejscach. Z każdym krokiem coraz bardziej tęsknię za wojskowymi spodniami khaki, które mam w trzech identycznych egzemplarzach i noszę na zmianę od dwóch lat. Wyczuwam zapach nowego żelu do włosów, jest kokosowy i nie do końca nieprzyjemny, pod warunkiem że nie przypomnę sobie jego konsystencji. Miney nałożyła mi go dzisiaj rano w połowie zalecanej dawki, a ja nagrałem cały ten proces, żeby móc go dokładnie odtworzyć, kiedy moja siostra wróci na uczelnię.

„Jasna cholera, Mały D. Nie mogę uwierzyć, że wcześniej mi na to nie pozwoliłeś” – powiedziała Miney przy śniadaniu, po tym jak zszedłem na dół i na prośbę mamy stanąłem nieruchomo, żeby mogły się przyjrzeć mojej nowej wersji.

„Dziewczyny będą ci jadły z ręki” – stwierdziła mama.

Idę teraz korytarzem szkolnym i myślę o wszystkich tych scenach z filmów młodzieżowych, w których główna bohaterka – bo koniecznie musi nią być dziewczyna – przymierza całą gamę okropnych sukienek i kapeluszy, zamykając i otwierając drzwi sklepowych przymierzalni w rytm muzyki, po to by ostatecznie wyłonić się rzekomo w nowym wcieleniu, przeobrażona za sprawą czegoś tak przyziemnego jak nowe uczesanie czy skąpa spódniczka. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego chłopcy są zawsze zszokowani widokiem umalowanej dziewczyny na randce. Przecież dziewczęta są piękne same w sobie, mimo zamiłowania do noszenia męskiej odzieży. Czy autorzy scenariuszy uważają, że nastoletnim chłopcom brakuje wyobraźni? W moim wypadku jest wręcz przeciwnie: mam niemal pewność, że wiem, jak Kit wygląda nago.

Mimo wysiłków, jakie włożyła we mnie Miney, nie czuję się przeobrażony i nie wyobrażam sobie, by Kit miała stać na dole schodów i patrzeć na mnie z otwartymi ustami. Napawa mnie obrzydzeniem myśl o tym, że ktokolwiek mógłby jeść mi z ręki jak koza w zoo. Czy to w ogóle możliwe?

– Jak seksownie, Señor Drucker – mówi Abby, gdy wchodzę na rozszerzony hiszpański.

Mam założone słuchawki, ale wyłączyłem dźwięk, na wypadek gdybym zobaczył Kit, której jednak nie było na parkingu o 7:57, na co miałem nadzieję, i która opuściła poranne zajęcia.

To drugi raz w historii całej mojej edukacji w Mapleview, gdy Abby się do mnie odezwała. Pierwszy był cztery dni temu, kiedy zderzyłem

się z Jessicą, a ona nazwała mnie dziwolągiem. Nie wiem, czy kpi, czy nie, więc ją ignoruje. Zresztą nie jestem w stanie komunikować się z kimś, kto tak intensywnie się perfumuje.

– Wygląda jak zupełnie inny chłopak – stwierdza Willow. Czyżby sądziła, że jej nie słyszę ze względu na słuchawki, czy to dla niej nie ma znaczenia? – *C i a c h o*, no nie?

Ćwiczę w myślach sposób, w jaki to wypowiedziała, w jaki podkreśliła słowo „ciacho”. Przekażę to później Miney, żeby mi przetłumaczyła.

– *Lo siento* – mówi Kit do nauczycielki, Señory Rubenstein, wchodząc do klasy trzynastie minut po dzwonku. – *Car problemos*.

Kit ma na sobie tę samą wielką białą koszulę, włosy upięta w poniedziałkowym bezładzie, chociaż dzisiaj nie ma zwyczajowej kitki, ale kok w kształcie bajgla. Jej twarz wydaje się nabrzmiała, jakby dopiero przed chwilą się obudziła. Siedzę cztery rzędy za nią, przyglądam się jej karkowi. Ma tam mały okrągły pieprzyk, który wygląda jak idealne zakończenie wyszukanego zdania. Nie ufam, że zapamiętam dokładne wymiary, sięgam więc po notes i zaczynam rysować.

– Widzę, że masz nową fryzurę, Señor Drucker – mówi po hiszpańsku nasza nauczycielka, tak à *propos* niczego. Nie unoszę głowy. Właśnie naszkicowałem wstępnie kołnierzyk koszuli Kit, nie chcę się pomylić. – Señor Drucker. *Presta atención*, Señor Drucker.

– *Śi* – odpowiadam, podnoszę wzrok i widzę, że cała klasa się na mnie gapi.

Ignoruję Señorę Rubenstein, jej stukanie stopą oraz wszystkie zaintrygowane spojrzenia, i patrzę na Kit, podejmując się niemożliwego zadania rozszyfrowania jej miny. Unosi prawą brew mniej więcej o milimetr, usta ma zaciśnięte w prostą, ponurą kreskę, po czym odwraca się i patrzy przed siebie. Jej oczy są tak samo przekrwione jak

oczy Miney. Może to jakaś epidemia zapalenia spojówek?

– *Śi, tengo un corte de cabello.*

Señora Rubenstein postanawia wykorzystać moją nową fryzurę, by przejść do rozdziału o hiszpańskiej kulturze i zwyczajach – to naciągane i nielogiczne nawiązanie, ale oprócz mnie nikogo nie razi. Kit patrzy przed siebie, ma wyprostowaną szyję i do końca lekcji już się nie odwraca.

Najwidoczniej bardzo jej się nie podoba moja fryzura.

Może ja jej się bardzo nie podobam.

Rysuję. W ten sposób zachowam sobie na później jakąś część Kit.

Po lekcjach zrównuje się ze mną José i zanim zdołam założyć słuchawki, on bombarduje mnie pytaniami.

– Co masz na sobie? – pyta.

Domyślam się, że skoro jesteśmy teraz w tej samej drużynie, José zakłada, iż musimy stosować się do zasad towarzyskich, na przykład prowadzić pogawędki o niczym. Wolałbym pozbawić go tych idiotycznych złudzeń.

– Ubrania.

– Gdzie je kupiłeś?

– W centrum handlowym.

– A konkretnie?

– Dlaczego pytasz?

– Ponieważ też powinienem sobie kupić. Dziewczyny o tobie gadają.

– Siostra dla mnie wybrała.

– Twoja siostra to niezła laska.

– Nie sądzę, żeby to było kluczowe.

– Dla mnie też mogłaby coś wybrać?

– Mogłaby, ale nie sądzę, żeby to zrobiła.

– Nie zapomnij, że jutro po lekcjach mamy spotkanie w sprawie dziesięcioboju.

– Nigdy o niczym nie zapominam.

– Ja też nie. Oczywiście, nie pamiętam wszystkiego, ale większość tak. Moje najwcześniejsze wspomnienie dotyczy czasów, kiedy miałem dwa lata i pięć miesięcy. A twoje?

– Musiałbym się zastanowić.

– Drogie były?

– Co?

– Ubrania.

– Co masz na myśli, mówiąc „drogie”?

José mnie zaskakuje, ponieważ definiuje słowo „drogie” z imponującą dokładnością.

Powiedziałem sobie, że jeśli w drugim tygodniu Kit nadal będzie ze mną siedziała, zacznę skrycie nazywać mój stolik *n a s z y m*. No i proszę: drugi tydzień, dzień pierwszy.

– *Muy guapo* – mówi Kit, pokazując na własną głowę.

Zmuszam się do kontaktu wzrokowego, ale w jej oczach zbyt wiele się dzieje – gdy próbuję to rozpracować i jednocześnie siedzieć nieruchomo, zwalnia mój proces przetwarzania informacji.

– Hę?

– Twoja fryzura. *Muy guapo*.

Tym razem niepotrzebna mi pomoc Miney w tłumaczeniu. „*Muy guapo*” to po hiszpańsku „bardzo przystojny”. Dobrze, że jednak zapisałem się na hiszpański, a nie na łacinę, jak początkowo zamierzałem, co miałoby mi pomóc w dostaniu się na medycynę, gdybym tak kiedyś postanowił.

– Dziękuję. To znaczy *gracias*.

Mam wrażenie, że jej źrenice kurczą się i rozkurczają, jakby właśnie ćwiczyły na siłowni. Daję za wygraną, skupiam się na jej obojczyku. Na okrągłej konstelacji piegów.

– Jak się czujesz w związku z tym?



– W związku z czym?

Nie odpowiada, ale pokazuje ręką z góry na dół, od czubka głowy po stopy.

– Dziwnie jest z taką małą ilością włosów i brakuje mi moich ubrań. Te są trochę sztywne. Miney twierdzi jednak, że był najwyższy czas coś zmienić i że zmiany są dobre. Nie jestem pewien, czy się z nią zgadzam w tej kwestii.

– Wyglądasz... inaczej.

– Naprawdę? – pytam, co jest idiotyczne, przecież wiem, że wyglądam inaczej. Tak naprawdę chciałbym zapytać: „Podoba ci się?”

– Ledwo cię poznałam. Wyglądasz jak zupełnie inna osoba. Nie że wcześniej wyglądałaś źle, nie to chciałam powiedzieć.

– Wcale tego tak nie odebrałem.

– Wyglądasz... dobrze. Naprawdę dobrze. Zupełnie inaczej. Nieważne. Już przestaję gadać.

Patrzę na nią, nasze spojrzenia się spotykają, tym razem postanawiam wytrzymać i nie odwracać wzroku. Kit się uśmiecha, ale jestem pewien, że to smutny uśmiech, chcę, żeby przestała. Jej twarz znów jest zamknięta.

– Wszystko dobrze? – pytam.

– Prawdę powiedziawszy, nie wiem. Poza tym zapomniałam drugiego śniadania.

Przesuwam w jej stronę moje dwa talerzyki – z ciastkiem i z jabłkiem – i nagle doznaję olśnienia. To właśnie ta sposobność, o której wspominała Miney. Powinienem zaprosić Kit, żebyśmy po lekcjach poszli coś zjeść. To by „zachowało moment pędu”, co – jak twierdzi moja siostra – jest konieczne, jeśli chcę kiedykolwiek całować się z Kit. A chcę. Bardzo.

– Czy miałabyś ochotę...

Niestety, nie jest mi dane dokończyć pytania, zwyczajnie powiedzieć:

„...pójść ze mną po szkole na obiad?”, ponieważ Justin rzuca się przez środek stołówki i opada na krzesło obok Kit. Jego nadejście jest jak inwazja obcych. Nie, jeszcze gorzej. Jak wybuch bomby jądrowej.

– Cholera, wystraszyłeś mnie! – mówi Kit.

Ja milczę, ponieważ nie lubię się odzywać w obecności Justina. Wcześniejsze doświadczenia pokazały, że nic dobrego z tego nie wynika. Nie mija chwila i zjawia się także Gabriel. Tych dwóch łączy dziwnie symbiotyczny związek. Jak ukwiał z krabem pustelnikiem. Jeden nie jest w stanie funkcjonować bez drugiego.

– Ładna fryzurka – mówi Gabriel i wyciąga ręce w kierunku mojej głowy. Odsuwam się natychmiast. – Przez sekundę myślałem, że jesteś swoją siostrą.

Już mam mu podziękować, ponieważ powszechnie wiadomo, że moja siostra jest atrakcyjną osobą, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję. Przecież to oczywiste, że on nie prawi mi komplementów. Słyszę w głowie głos Miney: „Zawsze pamiętaj, z kim rozmawiasz. Zawsze przyjrzyj się kontekstowi”

– Daj mu spokój – mówi Kit, po czym pochyla się nad stołem i bierze moje jabłko. Nadgryza je, jakby chciała coś udowodnić. Może to, że czasami dzielimy się jedzeniem.

– Co to ma być? Program *Metamorfozy. Edycja dla umysłowo chorych?* – pyta Justin, a Gabriel bardzo ochoczo przybija mu piątkę.

– Jesteście idiotami – stwierdza Kit.

Nie podoba mi się kierunek, jaki to wszystko obiera. Nie chcę, żeby Kit uważała mnie za osobę, która wymaga obrony, bo nie jestem kimś takim.

Po incydencie w szatni, który nadal pozostaje nieistotny z punktu widzenia bieżących wydarzeń, mój tata powiesił w piwnicy wielki worek treningowy i nauczył mnie boksować. Powiedział, że przypominam mu jego samego, w związku z czym szkoła będzie dla

mnie trudnym doświadczeniem i w którymś momencie zostanę zmuszony do obrony własnej. Od tamtego czasu poświęcam czternaście godzin tygodniowo na ćwiczenia fizyczne oraz treningi. Imałem się już różnych sztuk walki. Wiem, że gdybym musiał, im obu skopałbym tyłki. Dosłownie i w przenośni. Gdy trenowałem kung-fu, nauczyłem się wymierzać kopniaki z półobrotu i przyciskać przeciwnika do ziemi, twarzą w dół.

– Bardzo przepraszam, ale prowadzimy rozmowę – mówię i odwracam się do Kit. Mam nadzieję, że wreszcie zadziała zasada, którą mama mi powtarzała, gdy byłem mały: „Gdy ich zignorujesz, pójdą sobie”

Nie, jednak nic się nie zmieniło. Wtedy nie działała, teraz też nie.

– Bardzo przepraszam – mówi Justin, próbując mnie naśladować, ale nie wiedzieć czemu przybiera brytyjski akcent. Przecież od dziecka chodzimy razem do szkoły. W N e w J e r s e y.

– Spadajcie – mówi Kit. – Nie mam dzisiaj siły na wasze gówna.

– Wyluzuj. Chcieliśmy tylko powiedzieć „cześć”. Stęskniliśmy się za tobą, dziewczyno. – Gabriel jest cały w uśmiechach. Jakby był najlepszym przyjacielem Kit, w co nie wierzę, chociaż w ubiegłym roku co najmniej ośmiokrotnie przyłapałem ich na tym, że szli, trzymając się za ręce.

Rozmyślam o tym, jak dłoń Kit pasowałaby do mojej. Uznaję, że efekt byłby odwrotnie proporcjonalny do uczucia, jakie wywołują zagięcia moich nowych dżinsów.

Padają kolejne słowa – Justin mówi coś do Kit, a ona mu odpowiada – jednak ja nie słucham. Przyglądam się butelce z wodą, odsuwam ich rozmowę, by złała się z tłem. Wracam myślami do czasów gimnazjum, kiedy robiłem to, czego wymagał ode mnie Justin. Strzeliłem zapięciem stanika nauczycielki. Ściągnąłem spodnie. Jeszcze inne rzeczy, których nie chcę wspominać. W którymś momencie byłem wniebowzięty tym, że poświęca mi uwagę, że razem rozśmieszamy innych. Sądziłem,

że jesteśmy przyjaciółmi.

Wtedy wiele rzeczy mi się wydawało, potem wszystkie okazały się nieprawdą.

Wyjmuję notes i kładę go obok talerza. Pocieram dłonią okładkę. Nie otworzę go w stołówce, ale pomaga mi świadomość, że obok leży zbiór zasad Miney. Justin i Gabriel zajmują główne miejsce na liście osób, którym nie należy ufać. Wystarczy, że będę o tym pamiętał.

Zasada nr 1: Nie wdawaj się w interakcje z nikim z listy OKNNU.

Zasada nr 2: Nie wdawaj się w interakcje z nikim z listy OKNNU.

Zasada nr 3: Nie wdawaj się w interakcje z nikim z listy OKNNU.

Miney powtórzyła zapis trzykrotnie, by podkreślić, że jest ważniejszy niż ostatnie rozporządzenie odnośnie do niewspominania w rozmowie z dziewczynami o ich wadze.

W końcu Justin się podrywa, jakby miał zamiar odejść od naszego stolika. Od razu robi mi się lżej na sercu. A jednak powinienem był wiedzieć, że to się tak nie skończy. Wykaz „Istotnych kontaktów” to dowód na to, że jeszcze z żadnego starcia z Justinem nie wyszedłem cało. Teraz pochyla się nad moich uchem i mocno kładzie mi rękę na głowie.

– Może i obciąłeś włosy, ale nadal jesteś dziwolągiem i debilem – mówi. Język przytyka tak blisko mojego ucha, że czuję jego wilgotny, odrażający oddech.

Zaciskam dłonie w pięści. Mam ochotę się odwrócić i uderzyć go prosto w twarz.

Nie ma prawa mnie dotykać.

Zdaję sobie sprawę, że gdybym go uderzył, musiałbym ponieść konsekwencje, jak to zawsze bywa, gdy w grę wchodzi Justin. Zawieszenie w prawach ucznia, uwaga. Kary, które mogłyby zmniejszyć

moje szanse dostania się na dobrą uczelnię. Zanim Kit dołączyła do mnie w stołówce, tylko o tym myślałem. Że któregoś dnia skończę liceum w Mapleview, pójdę na studia i zacznę wszystko od początku. W miejscu, w którym nikt nie będzie wiedział o popełnionych przeze mnie błędach.

I jeszcze jedno: gdybym uderzył Justina, zaistniałoby spore prawdopodobieństwo, że złamię mu nos, a gdyby do tego doszło, miałbym na dłoniach jego krew, komórki skóry i DNA. Nie mam ochoty zmywać z siebie Justina. To obrzydliwe.

Zamiast tego koncentruję się na Kit. Ignoruję intuicję i wpatruję się jej prosto w oczy.

Mówię do niej, nie odzywając się: „Proszę, powiedz, że jestem lepszy od nich. Wybierz mnie. Wybierz mnie”

Kit też na mnie patrzy, chociaż nie mam pojęcia, co mówi. Nigdy nie wiem, co kto mówi.

Dopiero później, na rozszerzonej fizyce, uświadamiam sobie, co straciłem przez ten kontakt wzrokowy. Kiedy byłem zajęty wpatrywaniem się w Kit, Justin zwinął mi notes.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

# KIT

**T**eraz już wszyscy poznali prawdę: David Drucker jest seksowny. Kiedy się mu przypatrzeć – co po raz pierwszy zrobiłam na trybunach – to takie oczywiste... Człowiek zastanawia się, jak mógł tego wcześniej nie zauważyć. To jak jedna z tych dziwnych iluzji optycznych, które moja mama ciągle mi pokazuje na fejsie.

– To dlatego z nim siedzisz? Wiedziałaś, że pod tą grzywą kryje się cholerny przystojniak? – pyta Annie. Jest przerwa, a ona i Violet stoją podekscytowane w „naszym” miejscu przy mojej szafce. Praktycznie aż się trzęsą z ekscytacji. Na korytarzu roi się od uczniów. Kręcę głową w odpowiedzi. – W sumie nie powinnyśmy się tak dziwić, w końcu Lauren Drucker jest tak śliczna, że to aż niesprawiedliwie. Ale David?

Prawdę powiedziawszy, sama nie wiem, co myśleć o jego metamorfozie. Mam wrażenie, że teraz jakby mniej do mnie należy. Jakby pokazał całej szkole coś, co wcześniej było prywatną sprawą, naszą małą tajemnicą. Wystarczyła wizyta u fryzjera, a teraz Gabriel i Justin nas zaczepiają.

A ja tylko chcę, żeby wszyscy dali mi święty spokój.

– Uważam, że jest interesujący – mówię.

Wybrałam jego stolik ze względu na to, że jest milczkiem i odludkiem. Wracam do niego, bo – jak się okazało – lubię przebywać w jego towarzystwie, chociaż sama nie wiem dlaczego.

Chyba nie jestem sprawiedliwa, jeśli chodzi o Davida i jego nowy image. To dobrze, że teraz zauważą go inne dziewczyny. Świat mu się powiększy. To przecież nie jego wina, że wolałabym, by mój własny świat był jak najmniejszy.

– Interesujący jak bracia Hemsworth – mówi Violet.

– No i co z tego, nadal jest dziwakiem – stwierdza Annie.

– Pozytywnym dziwakiem – dopowiadam, a one patrzą na mnie, jakbym postradała zmysły.

Może i tak się stało, chociaż na pewno nie w związku z Davidem Druckerem. Zastanawiam się, czy nie opowiedzieć im wszystkiego. Wreszcie rzucić to z siebie. Całą historię tego koszmaru, od początku do końca. Ale nie mogę. Są słowa, których nie wolno wypowiedzieć na głos. Nie wiem, jak wyjaśnić, że spędziłam weekend zamknięta w swoim pokoju, ponieważ nie rozmawiam z mamą. Że moja mama zdradziła tatę, miała r o m a n s – nienawidzę tego słowa, brzmi tak niewinnie, niemal sympatycznie, jakby wcale nie oznaczało pieprzenia się z najlepszym przyjacielem taty. Nie mam pojęcia, jak minęło te ostatnie pięć tygodni.

To takie nierealne, powtarzam to sobie w myślach, jakby dzięki temu miało nabrać sensu. Moja mama uprawiała z Jackiem seks, zapewne wielokrotnie. Gdy mój ojciec się o tym dowiedział, był zdruzgotany. Zamierzał odejść od niej, a może od nas, nie wiem. A teraz nie żyje. Te dwa pierwsze fakty nie są w żaden sposób związane z trzecim, ale w moim umyśle już zawsze będą się ze sobą łączyć.

Potrójna tragedia.

Może powinnam to powiedzieć wreszcie na głos: nie mam już r o d z i c ó w.

To wersja skrócona.

Jeszcze do niedawna sądziłam, że stanowią wyjątek: miałam szczęśliwą rodzinę. Nie wiem, jak nazwać to, co mi teraz zostało.

Tak, jasne, dramatyzuję. Jestem pewna, że tata Annie zdradził jej mamę, a jednak moja koleżanka nie rozsypała się psychicznie. Jej ojciec zamieszkał ze swoją asystentką w tym samym tygodniu, w którym odszedł z domu, i chociaż Annie jest nadal wkurzona całą sytuacją, pozwala mu kupować sobie prezenty na zagłuszenie wyrzutów sumienia i co drugi weekend spędza u niego. Jak twierdzi, nie jest wcale tak źle.

Czy kiedy zdradza mama, jest inaczej? Nie powinno. Ale sama nie wiem. Jestem tak wściekła na mamę, że wczoraj waliłam pięścią w ścianę, mam teraz sine i spuchnięte kostki. Nie bolą jednak tak bardzo, jak bym chciała. Na tym właśnie polega paradoks żałoby: przynosi tyle bólu, a jednak kiedy człowiek chce go poczuć z całych sił, okazuje się, że jest niewystarczający.

– Zaprosił cię już na szkolny bal? – pyta Annie.

Jestem zatopiona w myślach, więc nie odpowiadam. Wyobrażam sobie, jak tata dowiedział się o romansie mamy i Jacka. Jak rozegrała się ta straszna scena? Czy ich łzy na pogrzebie były prawdziwe? Czy to były łzy rozpacz, czy poczucia winy?

Mama pukała do mnie kilkakrotnie w ciągu weekendu, a także dzisiaj rano, kiedy nie wstałam do szkoły. Ignorowałam ją. Pisała też do mnie esemesy. Rozmaite wariacje. „Pozwól mi wszystko wyjaśnić” „Czy możemy porozmawiać?” „Przepraszam”. Ciekawe, czy takie same esemesy wysyłała tacie przed śmiercią.

„Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam”

Sprawdziłabym telefon taty, ale jego też już nie ma. Została z niego miazga.

A może źle to interpretuję. Może mama zamierzała się rozwieść z tatą



i zacząć życie od nowa. W ciągu ostatnich pięciu tygodni przekonałam się, że ma niekonwencjonalne podejście do prawdy. Każde kłamstwo jest dobre. Jest gotowa kłamać na k a ż d y temat.

– Co? Kto?

– Halo? David Drucker? Bal? – powtarza Annie.

– Nie, skąd. Oczywiście, że nie. Nie idę.

Violet rzuca w moją stronę spojrzenie pełne zatroskania, ale ją ignoruję. Ona tylko czeka, aż wrócę do naszych dawnych rytuałów. Do Świata Normalności. Nie mam pojęcia, jak jej powiedzieć, że dla mnie już nie ma powrotu.

– Najpierw porzucasz szansę objęcia stanowiska redaktorki naczelnej, a teraz nie zamierzasz iść na bal? – pyta Violet.

Nie odpowiadam, bo to nawet nie brzmiało jak pytanie.

– Wiem, że jest ci ciężko i w ogóle, ale powinnaś przynajmniej spróbować się dobrze bawić – stwierdza Violet.

Wzruszam ramionami. „Bal” brzmi raczej jak zapowiedź tortur, a nie dobrej zabawy.

– Chciałabym, żeby Gabe mnie zaprosił – oznajmia Annie konfidencjonalnie, a my z Violet udajemy, że nie miałyśmy o tym pojęcia. Jakby to nie było oczywiste od wielu miesięcy. Tak jednak robią dobre przyjaciółki.

A może nie. Może powinnam zrobić tak, jak to robi David, i powiedzieć prawdę: „Gabriel to idiota. Stać cię na więcej, Annie! Na wiele więcej. Gabriel to uosobienie banału, typowy, prawie, ale nie do końca popularny uczeń szkoły średniej. Nie ma w nim nic nadzwyczaj ciekawego czy atrakcyjnego. Nawet gdy zachowuje się grubiańsko, jak dzisiaj wobec Davida, jest nudny i mało oryginalny. Zyskuje nowy wymiar tylko wtedy, gdy staje obok Justina, bo jemu, chociaż także jest kretynem, przynajmniej nie można odmówić inteligencji.

– To dlaczego ty go nie zaprosisz? – Uznaję, że to dobre rozwiązanie. Sposób na przejęcie kontroli.

Jeśli odmówi, pieprzyć go. Życie jest krótkie i okrutne, nie powinno się marnować ani sekundy na przejmowanie się głupotami, takimi jak na przykład szkolny bal. Oczywiście, że tak. Annie powinna zaprosić Gabriela. A ja? Co ja powinnam zrobić? Wyprowadzić się z domu? Już nigdy w życiu nie odezwać się do mamy? Pocałować Davida? Zabić się?

Nie jestem na tyle odważna, by zrobić którąkolwiek z tych rzeczy. Wystarczy mi odwagi jedynie na siedzenie przy cichym stoliku w stołówce, ukrywanie się we własnym pokoju, udawanie przez dziesięć minut przed moimi koleżankami, że wszystko – w tym i ja – jest okej.

– Ale ja nie chcę tylko z nim iść, chciałabym, żeby to on mnie zaprosił – mówi Annie i zerka do mojej szafki. Jakby jej ciemne, nieozdobione niczym wnętrze mogło jej cokolwiek powiedzieć. – Ale to nie ma znaczenia. On i tak na pewno zaprosi Willow.

– Mam już dosyć tych dziewczyn – stwierdza Violet.

– Ja też – dodaje Annie. – Codziennie przyłazą do Pizza Palace i zachowują się, jakby nas tam nie było. Rozumiesz, Kit? Jakby znały tylko Justina i Gabriela. – Mówiąc to, wywołała wilka z lasu, bo właśnie pojawiają się wszystkie trzy: Willow, Jessica i Abby.

Nie witają się, tylko jednocześnie unoszą dłonie w milczeniu. Jakby stworzyły specjalną choreografię. Kiedyś my też chyba tak się zachowywałyśmy. Teraz już nie – kolejna rzecz, która jest moją winą.

– Słyszałam, jak rozmawiały o Davidzie Druckerze. – Violet wyrывa mnie z zamyślenia.

– Wszyscy gadają o D.D. Tak go teraz nazywają – wyjaśnia Annie.

Nie pytam, kim są ci „wszyscy”. I znów działa magia: moim oczom ukazuje się David. Idzie ze słuchawkami na uszach i wzrokiem wbitym przed siebie. Nie zauważa nas, znajduje się we własnym świecie, a ja

mogę się mu przyjrzeć bez obawy, że mnie na tym nakryje. Bluza napina się na jego barczystych ramionach, widać zarys mięśni. I ładnie pachnie. David jest cytrynowy. Świeży. Słodki.

– Czy to zarys kaloryfera na brzuchu? – pytam.

– Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam – mówi Violet.

– Mniemam – rzuca Annie, gdy David nas mija. Zatrzymuje wzrok na jego pośladkach, podkreślonych idealnie dopasowanymi dżinsami. – Po prostu mniemam.

Na fizyce słyszę wibrowanie komórki, wydaję ją ukradkiem z plecaka i zerkam pod ławką na wyświetlacz.

*David:* Jesteś zajęta po szkole?

Zerkam do tyłu. Przez moment zapomniałam, że on inaczej wygląda, i jestem na nowo zaskoczona. Czuję ucisk w żołądku. Annie się nie myliła, on rzeczywiście wygląda apetycznie.

*Ja:* Nie. Co masz na myśli?

*David:* Najpierw musimy Cię nakarmić.

*Ja:* OK.

*David:* A potem ruszymy z projektem „Wypadek”, o którym rozmawialiśmy.

A tak. Projekt „Wypadek”. Pomysł Davida na to, by pomóc mi zrozumieć, co się stało. Czy istnieje coś takiego jak Wspólnota Anonimowych Masochistów? Bo powinnam się do niej natychmiast zapisać.

Patrzę na pana Schmidta. Nie mam ochoty słuchać, jak nawija o trzeciej zasadzie dynamiki Newtona, i czekać w napięciu, aż spadnie mu z wąsa kawałek tuńczyka, który się tam zapodział. Wolałabym znaleźć się gdzieś poza szkołą, zjeść coś z Davidem, a nawet – owszem, nawet – podjąć się projektu, chociaż przyprawia mnie o mdłości.

*Ja:* Chodźmy teraz.

*David:* Teraz? Ale przecież fizyka...

Unoszę rękę pod wpływem impulsu i nie czekam, aż nauczyciel zwróci na mnie uwagę.

– Idę do pielęgniarki – mówię asertywnie, jakbym wcale nie prosiła o pozwolenie. Pakuję książki i komputer, po czym wychodzę z klasy. Mój umysł zostaje parę kroków za nogami. Postanawiam jednak wykorzystać to moje krótkie życie najlepiej jak się da.

David musi sam podjąć decyzję, czy chce iść ze mną.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

# DAVID

**G**dyby nie zmiana wizerunku wprowadzona przez Miney, mógłbym wymknąć się z klasy niezauważony. Ale ze względu na nowe ubrania i dziesięć centymetrów włosów mniej muszę wymyślić jakąś wymówkę – jakieś k ł a m s t w o – ponieważ zrzuciłem czapkę niewidkę. Oczywiście, że pójde za Kit, nie ma o czym dyskutować. Nie byłbym w stanie wysiedzieć czterdziestu dwóch minut, gapiąc się żałośnie na jej puste krzesło. Poza tym Gabriel zajmuje miejsce obok, atakując mój zmysł powonienia, a ja nie zdobędę się na to, żeby zapytać o notes. Zniknął. Ukradziony. Ale czuję jego obecność, to niczym ból fantomowy. Postanowiłem, że nie będę się tym przejmował. Przeczytają pierwszą stronę, zorientują się, że tonie jest zeszyt do fizyki, i go zwrócą. Nic się nie stanie.

– Panie profesorze? Muszę... – Uznaję, że następnym razem powinienem przemyśleć wymówkę, zanim podniosę rękę. Pan Schmidt na mnie patrzy – nie tylko on, patrzy już cała klasa. Znowu. – ...opróżnić jelita.

Wypowiadam te słowa głośno, pewnie. Miney twierdzi, że to klucz do dobrego kłamstwa. Że trzeba brzmieć tak, jakby samemu się w to

wierzyło. Rozlega się śmiech, ale brzmi inaczej niż zwykle. Nie jak dźwięk tłuczonego szkła, ale jak oznaka wspólnoty. Czy to możliwe, żeby zmiana wynikała z mojej nowej fryzury i stroju? Nie, skądże. Co prawda nie lubię ludzi z klasy, ale nie są aż tak głupi, żeby ich opinia na mój temat zależała od takich nieistotnych elementów.

– Oszczędź mi szczegółów – odpowiada nauczyciel. Dziwi mnie to, bo zgodnie z moimi przekonaniem, nie istnieje nic takiego jak nadmiar informacji. Dzięki niemu człowiek staje się inteligentniejszy. – Idź, chłopcze.

Pokazuje na drzwi, a ja, chociaż w żaden sposób nie współgra to z moją wymówką – kiepski ze mnie kłamca – zarzucam plecak na ramię, a potem wybiegam z sali.

Kit stoi przy parkingu, na środku wyjazdowej ulicy. Głowę odrzuciła do tyłu, ręce ma rozpostarte.

– Pada śnieg – mówi. – Wierzysz w to?

Kiwam głową, ponieważ wierzę. Wczoraj wieczorem sprawdziłem w aplikacji pogodowej NOAA Radar Pro i wiem, że prawdopodobieństwo wystąpienia opadów śniegu dzisiaj w godzinach między trzynastą a siedemnastą wynosi siedemdziesiąt dwa procent. I są trzy stopnie poniżej zera.

– Przepraszam, że zmusiłam cię do ucieczki z lekcji. Pomyślałam... – Nie kończy zdania, pozwala, by słowa zawisły w powietrzu. Przeszły w inną postać, jak woda w śnieg.

Wyciągam rękę i łapię płatek, zanim wyląduje na jej policzku.

– Wiedziałaś, że z matematycznego punktu widzenia nie jest możliwe istnienie dwóch identycznych płatków śniegu? Płatki składają się z kwintyliona cząsteczek tworzących przeróżne wzory geometryczne, więc identyczność jest wysoce nieprawdopodobna.

– Kwintyliona?

– Wyobraź sobie jedynekę i trzydzieści zer. – Kit wzrusza ramionami,

chyba nie potrafi sobie tego wyobrazić. Fatalnie, ponieważ wizja kwintyliona jest jak poezja. – Chodzi o to, że jednak istnieje prawdopodobieństwo. Niewielkie, jedna szansa na gazylion, który rzecz jasna nie jest nazwą liczby, tylko pewnym jej zastępnikiem, ale wiesz, o co chodzi. To jest m o ż l i w e.

Spoglądam na spadający śnieg i się zastanawiam, czy którykolwiek z tych płatków ma gdzieś swojego brata bliźniaka – na przekór wszystkiemu. To zasada obowiązująca podczas nawiązywania przyjaźni, z której istnienia nie zdawałem sobie sprawy, dopóki nie zacząłem rozmawiać z Kit: należy uwzględnić wcześniej niewyobrażalne możliwości.

Przed rozmowami z Kit nigdy nie stosowałem słowa „samotny”, chociaż właśnie taki byłem. Miałem wrażenie, że mój umysł jest zbyt ciasny, przepełniony jednym głosem. Nie lubię nadmiernego hałasu, światła ani zapachów, a więc produktów ubocznych interakcji międzyludzkich, a jednak moja świadomość – która, mam nadzieję, przetrwa po mojej nieuchronnej śmierci – nadal tęskni za więziami. Pod tym względem nie różnię się od innych.

W sumie to czysta fizyka. Potrzebne są równoważące się siły.

Kit patrzy na mnie, a ja na nią. Kontakt wzrokowy jest dla mnie zwykle jak ból głowy po zjedzeniu czegoś zimnego. Zbyt przejmujący, zbyt nagły. Ostry i nieprzyjemny. Jednak patrzenie w oczy Kit przypomina mi pierwsze kilka sekund na rollercoasterze – wyłącznie siła grawitacji, niemożność ucieczki, czysta ekscytacja.

Jestem nerwowy, dużo mówię.

– Jest w tym coś kojącego, prawda? Świadomość, że może się zdarzyć coś tak szalonego jak dwa identyczne płatki śniegu. Czasami o tym myślę, gdy jestem przygnębiony.

Kit obdarza mnie perfekcyjnym uśmiechem, któremu tak naprawdę daleko do perfekcji, ponieważ zauważam wyszczerbioną lewą trójkę. Ale

to uśmiech, od którego zapiera mi dech w piersiach, przestaję mówić, ponieważ nie chcę dostać ataku astmy.

– Wszystko jest teraz tak niewiarygodnie do dupy – mówi Kit, chociaż nadal się uśmiecha. – Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo.

Kiwam głową, bo nie wiem, co odpowiedzieć. Chciałbym, żeby słowa, które wypowiada, pasowały do jej miny albo przynajmniej – w mniejszym stopniu – odwrotnie. Z kącika jej oka spływa łza, ociera ją szybko ręką.

– Wezmę to jednak za dobrą monetę. To o płatkach śniegu – mówi. – Dlatego dziękuję za tę historię.

– Przejdziemy się? – pytam, bo nagle czuję, że nie mam ochoty wsiadać do samochodu. Chcę zostać na zewnątrz, wśród tego jasnego, cichego śniegu. Chcę stać obok Kit, patrzeć, jak się mocije z wiatrem, słyszeć, jak drobinka śniegu spada jej na kurtkę.

– Dobrze – mówi i jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, jakbyśmy zawsze to robili, splata swoje palce z moimi.

Trzymamy się za ręce przez dwie minuty i dwadzieścia dziewięć sekund, puszcamy, skręcając w Clancy Boulevard. Chciałbym wiedzieć, kto o tym zdecydował. Czy przez roztargnienie wynikające z liczenia przypadkowo osłabiłem nacisk mojej ręki, sygnalizując chęć jej zabrania? Nie wiem, jednak prawdopodobieństwo, że to była Kit, wynosi dziewięćdziesiąt dwa procent. Podobało mi się trzymanie jej dłoni. Ma dłuższe palce, niż sądziłem, ważą razem tyle co psia łapa. Myślę, jak by to było ją pocałować, dotknąć koniuszkami palców konstelacji piegów na obojczyku, nie przejmować się granicami fizycznymi. Wyobrażam sobie, że przypominałoby to rozszczepienie atomu, rozbitcie na poszczególne części. Mikroskopijne, ale dające się policzyć. Idealne i wieczne jak liczba pi.

– Coś jesteś dzisiaj cichy – mówi Kit.

Od dwóch minut i dwudziestu dziewięciu sekund milczymy.



Trzymanie się za ręce i jednoczesne prowadzenie rozmowy jest zbyt trudne. To byłoby przeciążenie systemu.

- Rozmyślałem – odpowiadam.
- Ja też. Wolałabym robić to rzadziej.
- Co?
- Myśleć.

Spoglądam na nią, widzę, że ma mokrą twarz. Od śniegu? Od łez? Czy płacze, odkąd wyszliśmy ze szkoły?

– Jesteś smutna – stwierdzam. Przychodzi mi do głowy, że to niewykluźone, a może nawet całkiem prawdopodobne, iż podczas gdy dla mnie były to najlepsze dwie minuty i dwadzieścia dziewięć sekund w całym moim życiu, Kit płakała.

Myliłem się. Nie istnieją dwa takie same płatki śniegu, a ja już zawsze będę odstawał od reszty świata.

Patrzę na sklepy po drugiej stronie ulicy, ponieważ wolę nie widzieć twarzy Kit.

To minicentrum handlowe jest strefą pozbawioną emocji. Piekarnia, pralnia chemiczna, monopolowy oraz sklep z całym asortymentem bezużytecznych przedmiotów, jak miniaturowe figurki oraz serwetniki. Dlaczego pakują wszystko w przezroczystą folię i obwiązują wstążeczkami? *Little Moments*, tak się nazywa ten sklep. Małe chwile. Nienawidzę tego miejsca niemal tak samo jak Justina.

– Moja mama zdradziła mojego tatę. Właśnie się dowiedziałam – mówi Kit, ocierając twarz obiema rękoma. – Jak bardzo to popieprzone?

Nie odpowiadam, jestem w zasadzie pewien, że to retoryczne pytanie. A jeśli nawet nie, nie mam pojęcia, jak zmierzyć precyzyjnie stopień popieprzenia jakiejś sprawy. Postanawiam więc milczeć i czekać, aż powie coś jeszcze. To całkiem skuteczna strategia, jeśli chodzi o Kit.

– Nie wiem nawet, co teraz. Co ja, do diabła, powinnam z tym zrobić? – pyta i tym razem sędzę, że naprawdę oczekuje ode mnie odpowiedzi,

ale zanim zdążę się odezwać, ciągnie: – Zresztą to bez znaczenia. W końcu tata nie żyje. NIE ŻYJE. *Adios, amigo. Hasta la vista, baby.* Koniec. Po co miałabym więc zaprzętać sobie tym głowę?

– Przykro mi. – Wyobrażam sobie diagram Venna, trzy zazębiające się zbiory odpowiadające najpowszechniejszemu użyciu tego banalnego sformułowania „Przykro mi”: 1) gdy ktoś jest smutny, 2) gdy ktoś umrze, 3) gdy nie wiesz, co powiedzieć. W tym wypadku w grę wchodzi wszystkie trzy powody. W myślach wpisuję słowo „Kit” w części wspólnej zbiorów. – To zapewne nieważne dla ciebie, ale ja bardzo często denerwuję się tym, co bez znaczenia. Na przykład otwartymi pętlami.

Przechodzimy na światłach, pozwalam jej prowadzić. Mam przy sobie trzydzieści trzy dolary i piętnaście centów, to więcej niż potrzebuję na dwa obiady w większości lokalnych restauracji oznaczonych w rankingu Yelp znacznikiem dwóch dolarów. Nie sądzę, żeby Kit wybrała lokal z trzema dolarami.

– Nie wiem nawet, po co ci to wszystko mówię – stwierdza. – Nie powiedziałam ani Vi, ani Annie.

– Przyjaźnimy się – rzucam, jakby to nie było nic wielkiego. Jakby to od zawsze była prawda, a ja, wypowiadając te słowa na głos, wcale bym nie ryzykował, że Kit nigdy mnie nie pocałuje. – Ale chciałbym, żeby istniał sposób na naprawę tego wszystkiego. Gdybym tylko mógł, cofnąłbym dla ciebie czas.

– Jesteś słodki – mówi. Uśmiech wraca na jej twarz, ale zaczynam rozumieć, że nie ma w nim nic z uśmiechu. Jedynie przypomina go swoją formą.

Śnieg pada coraz mocniej, geometryczne kształty są większe niż poprzednio. Prawdopodobieństwo istnienia dwóch takich samych śnieżynek jest coraz bardziej odległe.

– Wiesz, co jest nam potrzebne? Wydarcie wielkiej dziury

w czasoprzestrzeni. Wtedy moglibyśmy cofnąć się w czasie i wszystko naprawić. – Z ukłuciem bólu zdaję sobie nagle sprawę, że mnie żadna podróż w czasie by nie naprawiła. Jestem inny na poziomie molekularnym. Trzeba by zmodyfikować spermę mojego ojca albo jajeczko mamy, co w rezultacie wykasowałoby moje istnienie, a tego nie chcę. – Pytałaś mamę, dlaczego?

– Dlaczego zdradziła tatę?

– Tak.

– Nie.

– Może powinnaś. To by ci pomogło zamknąć pętlę.

– Masz obsesję na punkcie pętli.

– Pomyśl o znaku nieskończoności – mówię i czekam, aż go sobie wyobrazi. Zatrzymuje się na chodniku, więc zakładam, że to właśnie robi. Pozwala mi namalować obraz w swoim umyśle. „Wyobraź sobie, że mnie całujesz” – mam ochotę powiedzieć. „Ujrzyj to oczami wyobraźni” – Widzisz, jak wpada sam w siebie? Albo pomyśl o liczbie pi. Ma w sobie nieskończony porządek i rytm. Ciągły i nieustający. Tak właśnie wszystko powinno wyglądać. Zamknięte pętle. Zapytaj mamę o powód.

– Podoba mi się twoja nowa fryzura – odpowiada Kit *à propos* niczego i wyciąga rękę – chyba chciała dotknąć mojej głowy – jednak reflektuje się i wsuwa palce w kieszeń kurtki. – Teraz twoje zewnątrz lepiej pasuje do wnętrza.

– Nie wiem, co to oznacza.

Nie odpowiada. Wpatruje się w niebo, a śnieg pokrywa jej twarz nieskończonymi wariacjami samego siebie.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

# KIT

**W**yjmuję telefon. Piszę do mamy. Tylko jedno słowo i znak zapytania:

Dlaczego?

Odpisuje natychmiast.

*Mama:* Porozmawiajmy normalnie.

*Ja:* Nie. Odpowiedz mi. To proste pytanie.

*Mama:* To skomplikowane.

*Ja:* Spróbuj.

*Mama:* Nie zrozumiesz.

*Ja:* OK, nieważne.

*Mama:* Byłam samotna. I głupia. Ale głównie samotna.

– Napisałam do mamy, odpisała mi, że była samotna – oznajmiam Davidowi, ignorując absurdalność całej tej sytuacji. Zdradzam intymne szczegóły dotyczące mojej rodziny, i to jemu!

Siedzimy w McCormick's, jedząc hamburgery na plastikowych fioletowych siedzeniach, co jest prawie jak randka. David wygląda, jak gdyby zszedł z plakatu reklamowego, a ja mam na sobie koszulę mojego taty – już drugi raz popełniam ten sam błąd. Posłuchałam Davida,

przerwałam milczenie i wysłałam mamie esemesa z pozornie niewinnym pytaniem. Rozmawiamy o otwartych pętlach, jakby wszystko dało się naprawić, wystarczy tylko nad tym popracować.

David się uśmiecha. Można by pomyśleć, że to doskonała wiadomość.

– To nawet sensowne – mówi.

– Nieprawda. Nic nie ma sensu.

– Chociaż smutne, gdy się nad tym zastanowić – ciągnie, jakby mnie nie słyszał. – Samotność mimo małżeństwa.

– Ona po prostu szuka wymówek.

– Słyszałaś o liczbach bliźniaczych? – pyta.

Widzę, że się nakręca na nowy temat, nie wiem, czy chcę w tym uczestniczyć. Mój umysł wydaje się gąbczasty i zużyty. Może to nie był dobry pomysł, żeby uciekać z lekcji i urządzić długi spacer po śniegu? Chociaż muszę przyznać, że podobało mi się trzymanie Davida za rękę. To była przyjemna część dnia – śnieg moczący mi twarz, ukrywający przed światem moje łyzy, palce Davida splecione z moimi. Jego dłoń okazała się cięższa, niż mogłabym przypuszczać. Solidniejsza. Jakby mógł mnie powstrzymać przed odlotem.

– Nie – odpowiadam.

Nadgryzam hamburgera i myślę o obsesji Annie na punkcie „ważnej obecności” – *mindfulness*. Ciągłe mi powtarza, jak istotne jest bycie tu i teraz. Smakowanie jedzenia, czucie własnego oddechu. Zauważanie, kiedy człowiek zmienia pozycję ciała z siedzącej na stojącą. Po rozwodzie jej mama poszła w stronę ruchu hippisowskiego. Zabiera Annie na medytacje i zajęcia z jogi, w domu pali kadzidełka, żeby się pozbyć złej energii. Za każdym razem, gdy u nich jestem, opowiada mi o „zmęczeniu nadnerczy”, jakbym rozumiała, co to oznacza.

Oczywiście część z tego przeszła na Annie, a od niej na mnie i na Violet. Dlatego postanawiam, że skupię się na tym, co tu i teraz.

Smakuję swojego burgera. Za dużo keczupu i kiszonych ogórków. Tu i teraz jest przereklamowane.

Pozwalam Davidowi na wypełnienie naszego stolika głosem, jego słowa niczym dymki w komiksie zajmują przestrzeń, której ja nie potrafię zająć. Chcę przez to powiedzieć, że jeśli David ma ochotę na konwersowanie o liczbach pierwszych, niech i tak będzie.

– Liczby bliźniacze to liczby pierwsze, których różnica wynosi dwa. Na przykład trzy i pięć. Albo czterdzieści jeden i czterdzieści trzy. Co najciekawsze, pojawiają się do nieskończoności, chociaż – jak wszyscy wiedzą – im wyższe liczby, tym większe różnice między nimi.

– Oczywiście, w s z y s c y to wiedzą – mówię sarkastycznie.

– Właśnie. To dziwne, ale cudowne zjawisko.

Co oznacza „Byłam samotna i głupia”? Moja mama jest najinteligentniejszą osobą, jaką znam, a dochodzę do tego wniosku, siedząc naprzeciwko Davida Druckera, który w testach PSAT zdobył najlepszy wynik w trzech okolicznych stanach. Mama rzadko pokazuje swoją intelektualną naturę, ale kiedy to robi, widać, że ma fenomenalny umysł. Zastanawiam się, czy to dlatego Jack ją polubił. Chwilę, a może to była miłość? Czy Jack ją pokochał? Czy Jack ją kocha? Wezmą ślub, Evan i Alex zostaną moim przyrodnim rodzeństwem, znów będziemy razem jeździli na wakacje, udając, że nie ma nic dziwnego w tej nowej, wcześniej nieprawdopodobnej sytuacji? Czy będziemy udawać, że mój tata nigdy nie istniał?

– Nie jestem pewna, co liczby pierwsze mają z tym wspólnego – odpowiadam łagodnie.

– Liczby pierwsze wiążą się ze w s z y s t k i m. A jeśli chodzi o tę konkretną sytuację, właśnie w ten sposób wyobrażam sobie miłość i małżeństwo. Zaczyna się jak niższe liczby bliźniacze, a z czasem, jeśli dana para wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa zostanie ze sobą i się nie rozwiedzie, przekształca się w wyższe, rzadkie liczby, jednak

nadal różniące się tylko dwiema cyframi. To niesamowite.

– I jakie romantyczne – rzucam ironicznie, ponieważ dla mnie idea miłości – chociaż nie miałam jak dotąd okazji dostąpienia tej przyjemności – w żaden sposób nie wiąże się z liczbami pierwszymi, matematyką ani nawet mechaniką kwantową. Przypomina raczej muzykę albo sztukę czy poezję. Coś pięknego i budzącego podziw. Może nawet zaskakującego, bo tak postrzegałam związek moich rodziców.

– Tak, to jest bardzo romantyczne. – David opuszcza wzrok i zaczyna bawić się słomką. Chyba się zarumienił, więc i ja się czerwienię, chociaż nie mam pojęcia, o czym on mówi. To oczywiste, że kiedy przystojny facet wypowie poważnym tonem słowo „romantyczny”, po czym obleje się rumieńcem, bez względu na okoliczności – nawet gdy rozmowa dotyczy liczb pierwszych – dziewczyna też się zaczerwieni. To odruch bezwarunkowy, który nic tak naprawdę nie znaczy. – Pomyślałem, że może twoi rodzice byli... eee... jak liczby pierwsze, które się od siebie odsuwają, i dlatego twoja mama czuła się samotna. Ponieważ jej bliźniacza liczba znajdowała się zbyt daleko.

– Może – odpowiadam, jednak nie podzielam jego współczucia. Nie sądzę, żeby mama była samotna. Raczej egoistyczna albo jeszcze gorzej: napalona. Blee, aż mi się robi niedobrze na samą myśl.

– Dlatego właśnie płakałaś? Z powodu rodziców? – pyta David.

Jeszcze się do końca nie przyzwyczaiłam do tego, że on zawsze jest taki bezpośredni. Oczywiście to jego podejście ma dobre i złe strony, ale ja nie chcę teraz rozmawiać o powodzie moich łez.

– Z powodu... z wielu powodów.

– Wyglądasz ślicznie, gdy płaczesz. To znaczy... nie chcę powiedzieć, że nie wyglądasz ślicznie, gdy się cieszysz, bo jesteś śliczna przez cały czas. Ale wtedy, na tle tego śniegu, wyglądałaś oszałamiająco.

Żołądek mi się kurczy, wydaję z siebie zduszony śmiech. A może to bardziej przypomina jęk? Co powinno się powiedzieć, kiedy chłopak ci

mówi, że jesteś śliczna? Nigdy wcześniej mnie to nie spotkało. Całe ciało mi wibruje i ogrzewa się od jego słów.

Myśli kotłują mi się w głowie. McCormick's to miłe miejsce. Sprzedają tu milk shaki, mają tabliczkę zniechęcającą do korzystania z telefonów. Podoba mi się siedzenie tu z Davidem i pławienie się w niezasłużonych komplementach.

– Dzięki – odpowiadam po długim czasie, w którym próbowałam znaleźć właściwe słowa. – Dzięki za to wszystko.

– Nie ma za co. – David zrywa się z miejsca i chwyta mnie za rękę, na co mu pozwalam. – A teraz chodź, obejrzymy miejsce, w którym zginął twój tata, i zamknijemy wreszcie tę pętlę.

W czasie krótkiego spaceru wymyślam co najmniej pięć różnych powodów do zawrócenia, ale ze wszystkich rezygnuję. Wmawiam sobie, że ani przez chwilę nie brałam tego poważnie. Od początku nie miałam zamiaru zabierać się do tego, co David nazwał projektem „Wypadek”. Dla niego to jedynie równanie matematyczne, zagadka, którą trzeba rozwiązać. Kolejna otwarta pętla do zamknięcia. Nie wie, że jestem złana potem, chociaż na dworze jest mróz, i że ze strachu kręci mi się w głowie.

A potem moim oczom ukazuje się skrzyżowanie ulic Plum i First. Stąd można dojechać do supermarketu, do szkoły baletowej, do której kiedyś chodziłam, do domu Violet, do Star of Punjab oraz do tysiąca innych miejsc mojego dzieciństwa. Do placu zabaw, na którym Kenny Kibelwitz pocałował dziesięcioletnią mnie w usta, bo się z kimś założył, że to zrobi. Do parku, gdzie w wiele niedzielnych poranków tata rozkładał ze mną koc i urządzał przyjęcie dla pluszaków, podczas gdy mama jeszcze drzemała. To samo skrzyżowanie, niewinne jak zawsze. Żadnego potłuczonego szkła. Żadnych kwiatów na pamiątkę.

Słyszę piknięcie komórki, zakładam, że to esemes od mamy. Nie chcę o niej myśleć, bo to prowadzi do nieuchronnego: uświadomienia sobie,



że tata nie umarł spokojny i zadowolony z życia. Zginął zdradzony. O włos od cholernego rozwodu.

Właśnie tutaj, tutaj, tutaj.

Dokładne miejsce oznaczone jest krzyżykiem w kółku z kropką.

Wyjmuję telefon z kieszeni, nie puszczając ręki Davida. Dzięki esemesowi zyskam czas. Myślenie o mamie uprawiającej seks z Jackiem jest lepsze niż rozpamiętywanie wypadku i wizja taty zmiażdżonego granatowym fordem explorerem. Jak się okazuje, istnieje hierarchia bólu.

To jednak nie mama, ale Violet. Wielkie litery i trzy wykrzykniki, co dziwne, bo to raczej Annie ma tendencje do krzyczenia w esemesach. To Annie bez wyraźnego powodu stosuje przesadną interpunkcję. JESTEM GŁODNA!!!!!!! albo ALE MNIE OBCIERAJĄ BUTY!!!!!!!!!! AAAAAAA! Violet jest subtelniejsza, esemesy od niej są tak samo eleganckie jak jej stroje.

*Violet:* OMG, KIT!!! Widziałaś?!?!

A pod tym link do czyjegoś wpisu na Tumblr. *Jak przeżyć w Mapleview: poradnik downa*. Nieważne, nie zamierzam czytać jakiegoś durnego bloga kogoś z naszej szkoły. W zeszłym roku jeden z uczniów zamieścił anonimowo poradnik *Jak skłonić panie do uprawiania seksu*, co było dokładnie tak obrzydliwe, jak się wydaje. Postanawiam nie klikać.

– Śnieg trochę wszystko komplikuje – stwierdza David, puszcza moją dłoń i otwiera plecak. Wyjmuje z niego miarkę. Coś w tym jego geście – i fakcie, że zabrał do szkoły m i a r k ę – doprowadza mnie znowu do łez. Zastanawiam się, co jeszcze trzyma w plecaku. Wyobrażam sobie kompas i może specjalistyczny kalkulator. Przypuszczam, że David jest w pełni przygotowany na apokalipsę zombiaków, zupełnie jak mój tata. – Ale chyba nie pada aż tak szybko, wystarczy raz zmierzyć jego gęstość i wziąć ją pod uwagę w obliczeniach.

Nie mam pojęcia, co my tak naprawdę robimy. Co mierzymy? Zamyślam się nad słowem „gęstość”, nagle zapominam, co ono znaczy.

– Według raportu policyjnego twój tata zmarł o osiemnastej pięćdziesiąt dwie. Wiesz, czy zginął na miejscu? Bo jeśli tak, powinniśmy zacząć od tej właśnie godziny. – Głos Davida brzmi beznamiętnie, bezwymiarowo.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – mówię głośno to, co od pewnego czasu powtarzam w myślach. „To nie jest dobry pomysł. To nie jest dobry pomysł”. A także: „Uciekaj. Uciekaj. Uciekaj”. – Wolałabym tego nie robić.

David się odwraca i mierzy mnie wzrokiem. Cała się trzęsę.

– To dla ciebie trudne – stwierdza rzeczowo. Jakby właśnie to sobie uświadomił.

– Tak.

– To tylko miejsce. Jeśli chcesz, sprawdzę współrzędne, a wtedy nie będzie przypominało nawet miejsca – stwierdza David, po czym tak właśnie robi. Podaje mi lokalizację w postaci szerokości i długości geograficznej. Gdyby nie to, że w uszach mi dzwoni, a żołądek podszedł do gardła, z pewnością wybuchnęłabym śmiechem. – Jeśli nie chcesz, nie musimy się tym zajmować. Ale nie podoba mi się, że źle sypiasz. Nasz organizm potrzebuje snu do prawidłowego funkcjonowania.

– Umarł później, nie tutaj. W szpitalu – odpowiadam podobnym tonem. Lekarska obojętność.

Może dam radę i nie rozsypię się w drobny mak jak przednia szyba w volvie. A jeśli przeżyję, mam nadzieję, że kiedyś będzie lepiej. A przynajmniej uda mi się zamykać oczy w nocy i nie otwierać ich aż do rana. Może to, co robimy, ma jednak sens. Odpowiedzi. Tego mi trzeba.

– W takim razie zostawmy czas. Możemy rozpracować miejsce, w którym należało zatrzymać samochód, żeby nie doszło do wypadku.

Czy to będzie dla ciebie okej?

Nie odpowiadam. Doszliśmy do rogu, wpatrujemy się w skrzyżowanie. Nie ma żadnych samochodów, gdybym chciała, mogłabym wejść na środek jezdni.

Nic tam nie ma. Tylko tańczące na wietrze śmieci.

– Brakuje nam wielu danych, ale wydaje mi się, że jesteśmy w stanie poczynić całkiem prawdopodobne szacunkowe obliczenia.

Robi mi się niedobrze. Tamta scena rozgrywa się przed moimi oczami, jakbym obserwowała ją na żywo. Pisk opon. Wybuch niebieskości. Wszystko spowite czernią. Zapach. Boże, ten zapach.

– Sorry. Nie mogę – mówię.

Odwracam się, zakrywając usta dłonią. Przełykam z powrotem żółć, nie będę wymiotować przy Davidzie. Nie zaprezentuję przetrawionego hamburgera na dziewiczym śniegu. Ale coraz bardziej się trzęsę, a mdłości przeradzają się w zawroty głowy. Świat zaczyna wirować, ziemia faluje mi pod stopami, jakbym weszła w trójwymiarowy dom z luster. Muszę się stąd wydostać. Natychmiast.

– Jeśli chcesz, mogę to obliczyć bez ciebie – odpowiada David, ale mówi to do moich pleców, bo ja już biegnę, ślizgam się na mokrym chodniku, pędzę jak najszybciej, byle dalej od tego miejsca.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

# DAVID

**P**o tym jak Kit ode mnie uciekła, przez kolejne pięćdziesiąt pięć minut stałem na śniegu, mierząc prędkość i przyspieszenie, dokonując obliczeń w głowie oraz w telefonie – nie mam już notesu, w którym mógłbym sobie wszystko zapisywać.

Teraz, kiedy wróciłem do domu, muszę się od nowa przystosować do rzeczywistości – po całym czasie spędzonym w pojedynkę, po tych wszystkich słowach i liczbach, które kotłowały się i mieszały w moim umyśle. Po przyglądaniu się, jak Kit odchodzi, zastanawianiu się, dlaczego zostawiła mnie bez pożegnania. Wiem, że gdybym był kimś innym, dotarłby do mnie ten nieuchwytny kontekst, dzięki zaprogramowanym umiejętnościom rozpoznałbym, dlaczego Kit nagle, bez ostrzeżenia, uznała, że jestem o b r z y d l i w y. To jedyne słowo opisujące wyraz jej twarzy: obrzydzenie. Czyżby się domyśliła, że marzę o tym, by ją pocałować?

Nie jestem gotów na spotkanie z Miney, która czeka w progu i wygląda, jakby chciała mnie przytulić. Fioletowe pasmo w jej włosach krzyczy w moją stronę, głośne jak trąba. Nie, jak pisk gwałtownie przyciskanych hamulców w samochodzie.

– Jest wszędzie – mówi.

Zauważam, że się nie przebrała, nadal ma na sobie piżamę z kaczką dziwaczką. To kolejny dzień, w którym nie ruszyła się z domu. Oczy ma zaczerwienione, ale nie zaropiałe, a więc to nie zapalenie spojówek. Gdyby doszło do infekcji, pojawiłaby się wydzielina.

– Co jest wszędzie? – pytam, chociaż w gruncie rzeczy w ogóle mnie to nie obchodzi.

Myślę jedynie o palcach Kit w mojej dłoni, o tym, jak przy niej wypełnia mnie odwaga. Skąd wiedziała, że chcę ją pocałować? Zdaję sobie sprawę, że kompletnie nie potrafię kłamać, ale przecież nie zapytała mnie bezpośrednio: „Czy chcesz mnie pocałować?”

– Twój notes.

Nie mam pojęcia, o czym mówi moja siostra. Co to znaczy, że mój notes jest w s z ę d z i e? Notes to obiekt, prawa fizyki nie pozwalają, żeby jednocześnie znajdował się w kilku miejscach – no chyba że rozmawiamy o wieloświatach, ale Miney nie rozumie tej idei. Wielokrotnie próbowałem jej to wyjaśnić.

– Ktoś go wrzucił do Internetu – odpowiada i podaje mi swoją komórkę.

Tumblr. *Jak przeżyć w Mapleview: poradnik downa*. Trzęsę się cały, jakbym przyjął pojedynczy cios.

– Och – mówię.

– Och? Tylko tyle?

– Sądziłem, że ukradli go ze względu na notatki z fizyki i oddadzą, gdy się przekonają, że jest nieprzydatny. Dlaczego zrobili coś takiego? – Nie wiem, po co pytam, powinienem się domyślić, że i tak nie zrozumie odpowiedzi. Nigdy nie rozumiem motywów kierujących ludźmi. – To prywatny notes.

– Kto to zrobił?

Nie odpowiadam, bo to nie ma znaczenia. Mój notes przestał być

namacalnym przedmiotem, przypomina teraz raczej świadomość zmarłego. Jest, ale go tu nie ma. Jednocześnie znajduje się wszędzie.

– Kto? Powiedz! – Miney chwytła mnie za ramiona i zmusza, bym spojrzał jej w oczy.

– Justin Cho i Gabriel Forsyth.

– Zabiję ich – mówi.

To miłe z jej strony, ale nie chcę, żeby trafiła do więzienia. Nie mógłbym wtedy rozmawiać z nią, kiedy chcę. Siedzielibyśmy naprzeciwko siebie w brudnym pomieszczeniu i kontaktowali się przez szybę kuloodporną. Miney jest wybredna, jeśli chodzi o jedzenie, z pewnością nienawidziłaby więziennych posiłków.

– Może ludzie przestaną czytać, gdy się zorientują, że to prywatne zapiski – mówię z nadzieją. Zawsze mam głupią nadzieję, nigdy się niczego nie nauczę.

– Mało prawdopodobne. W ciągu ostatnich minut aż sześć koleżanek przysłało mi link.

Wyobrażam sobie wyrażenie „rozprzestrzeniać się jak wirus”, a mój notes widzę w roli patogenu. Jak się szaleńczo mnoży. Replikuje się niczym komórki nowotworowe.

Kiwam głową. Teraz rozumiem – jak zwykle dopiero po chwili. Najpierw reaguje moje ciało: dłonie trzepoczą, nogi zaczynają się trząść. Wyglądam jak szykujący się do lotu ptak. Nie robiłem tak od dwunastego roku życia, kiedy Miney nagrała mnie na komórkę i wyjaśniła, że jeśli chcę mieć jakichkolwiek przyjaciół, muszę przestać. Ku mojemu zaskoczeniu następnym razem, kiedy mi się to przytrafiło, dałem radę i się powstrzymałem. Poruszanie kończynami zastąpiłem liczeniem po cichu, ale już i tak było za późno. Jak się okazało, nikt nie chce się przyjaźnić z chłopcem, który kiedyś trzepotał rękami.

– Jak bardzo jest źle? Powiedz, Miney. Jak bardzo?

Mam nadzieję, że może coś mi umknęło. Może to wcale nie jest

aż tak dziwne, a inni uczniowie też to robią. Też prowadzą notatki na temat kolegów i koleżanek ze szkoły. A może komuś to się jednak przyda, jak zeszyt z fizyki?

Nie. Justin i Gabriel zatytułowali wpis *Jak przeżyć w Mapleview: poradnik downa*. Czy nie zdają sobie sprawy, że nie powinno się używać tego słowa? Jest obraźliwe nawet dla tych, którzy r z e c z y w i ś c i e cierpią na zespół Downa. Jestem pewien, że taka sytuacja – kompletne poniżenie – nie przytrafia się neurotypowym osobom.

Przypominam sobie, jak Kit ode mnie uciekała. Nawet nie zwolniła, gdy się poślizgnęła na śniegu. Wyobrażam sobie, jak czyta moje zapiski i czuje ulgę, że zwiła ode mnie w samą porę.

– Jest bardzo źle. Bardzo bardzo – mówi Miney. – Przykro mi.

– Idę do dyrekcji. Te bydlęta muszą natychmiast zdjąć to z sieci – mówi moja mama, wbiegając z kuchni do salonu z kluczykami w rękę. Zmierza ku drzwiom wyjściowym. – Możemy podać ich do sądu, bo to złamanie gwarantowanego konstytucją prawa do prywatności!

– Ty też to widziałaś? – Zamykam oczy, ciemność mi pomaga. Zbyt wiele dźwięków. Zbyt wiele myśli. Zbyt wiele wszystkiego. Potrzebna mi cisza i mrok.

– Zajmiemy się tym – mówi mama, ale głos jej się łamie jak trzynastolatkowi podczas mutacji. Dobrze, że nie widzę jej twarzy, wolę nie wiedzieć, co bym na niej ujrzał. Zastanawiam się, czy nie włożyć palców w uszy, ale wtedy posunąłbym się za daleko – nawet jak na mnie. – Przysięgam.

– Mamo, nie możesz jechać do szkoły – stwierdza Miney. – Tylko pogorszysz sytuację.

– To im nie może ująć płazem. Po prostu nie może...

Miney i mama ciągną sprzeczkę przez kilka minut, zastanawiając się, co robić. Po ich tonie poznaję, że sprawa jest znacznie poważniejsza niż

gimnazjalny incydent w szatni, kiedy Justin zamknął mnie w szafce tuż po tym, jak mnie przekonał, żebym wszedł z nim do kabiny w toalecie, pod pretekstem pokazania mi czegoś fajnego. Okłamał mnie. Chwycił mnie za kark, wcisnął moją głowę do zanieczyszczonej muszli klozetowej i splukał. To było paskudne. Wiem, bo mama płakała, kiedy przyjechała po mnie do szkoły, a następnego dnia nie wstawała z łóżka. Wiem, ponieważ zaraz po tym tata zapisał mnie na zajęcia z samoobrony. Wiem, gdyż tydzień później moja siostra kupiła mi notes i zaczęła dyktować zasady oraz to, komu mogę, a komu nie powinienem ufać. Wiem, ponieważ przez długie tygodnie nie mogłem pozbyć się smrodu. Ponieważ niektórzy nadal wołają na mnie „gównozerca”

Wiem, bo później, kiedy zdobyłem się na rozmyślanie o tym wszystkim, o tym, na co pozwoliłem Justinowi, załamane się.

Przestaję słuchać. Nie, nic się z tym już nie da zrobić, teraz to widzę. Przeczytanie moich zapisków jest jak włamanie się do mojego umysłu i ujawnienie nieczułem światu wszystkich jego bezsensownych elementów składowych. Tego, co sprawia, że jestem dziwolągiem, wariatem, niedorajdą i czymkolwiek jeszcze inni zechcą mnie nazwać.

Tych elementów, przez które dla nich jestem inny.

Tych samych, dzięki którym dla siebie jestem sobą.

Miney ma rację. Jest bardzo bardzo źle.

„Teraz twoje zewnątrz lepiej pasuje do wnętrza” – powiedziała dzisiaj Kit. Myliła się. Teraz moje prawdziwe wnętrze znalazło się na zewnątrz, każdy może je zobaczyć, rozebrać na części, wyśmiać. Jestem jak leżące na poboczu rozjechane zwierzę, które wszyscy oglądają, ale nikt już nie zje. Nie jestem tego wart.

Kit miała jednak rację co do jednego: jestem obrzydliwy.

Nie odzywam się ani do mamy, ani do Miney. Tak naprawdę nie obchodzi mnie, co postanowią. To zupełnie nie ma znaczenia.

Notes czy nie, i tak pozostanę sobą.



Kimś budzącym obrzydzenie.  
Idę do swojego pokoju i zamykam drzwi.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

# KIT

**U**dało mi się dojść do samochodu zostawionego pod szkołą i nawet dojechać do domu bez wymiotowania. Klikam na link, ponieważ potrzebuję odwrócenia uwagi. Mam dosyć ciągłego uczucia dziury w brzuchu, powolnego wypalania żałobą. Już nigdy więcej nie zobaczę taty i nic tego nie zmieni. Zastanawiam się, czy kiedyś nadejdzie dzień, w którym zapomnę, jak brzmiał jego głos. Nie wyobrażam sobie świata bez możliwości przywołania jego głębokiego basu, rysów jego twarzy, dotyku dłoni na moim czole. Nie chcę żyć w takim świecie.

*Jak przeżyć w Mapleview: poradnik downa* – strasznie obraźliwy tytuł – czyta się jak kompilację cudaczných internetowych profili.

Na pierwszy rzut oka poradnik wygląda jak kartki zeskanowane z czyjegoś zeszytu. Ułożone alfabetyczne wpisy na temat różnych osób z naszej klasy. Lista zasad, na pierwszych trzech miejscach powtarza się ta sama: „Nie wdawaj się w interakcje z nikim z listy OKNNU! Co znaczy OKNNU? Annie zna się na akronimach, powinna wiedzieć.

Widzę długą listę nazwisk, przy każdym przypadkowe opisy i obserwacje, momentami poetyckie, momentami dziwaczne. Violet została opisana jako „ściśnięta” ze względu na upodobanie do zapiętych

kołnierzyków i pasków. Jasne włosy Jessiki zasłużyły na miano „napastliwie jaskrawych”. Perfumy Abby nazwano „zapachowym odpowiednikiem śmierci z uduszenia pierdami staruszki”, co – jeśli się nad tym zastanowić – jest niezwykle trafnym podsumowaniem. Oprócz tego trafiam na listę „Istotnych kontaktów” przy niemal każdym uczniu z naszej klasy oraz na skomplikowane wykresy ukazujące rozmaite grupy przyjaciół.

Co to jest, do jasnej cholery?

Brzęczy moja komórka.

*Violet:* DOSTAŁAŚ LINK, KTÓRY CI WYSŁAŁAM?

*Annie:* PRZECZYTAJ NATYCHMIAST!!! JA PIERNICZĘ!!!!

Przez te esemesy odrywam się na chwilę od ekranu i staram się pomyśleć o czymś innym. O dłoni Davida w mojej. To było miłe. Niewinne, przyjacielskie trzymanie się za ręce. Przypominam sobie jego miarkę. Nową fryzurę. Zastanawiam się, jak by to było się z nim całować. Nie że myślę o nim w tych kategoriach – mojego chłopaka czy osoby do randkowania – ale mam przecucie, że całowanie się z nim byłoby fajne.

Prawdziwe. Realne. Myślę, że David smakuje szczerością.

Przerzucam z roztargnieniem strony na komórce i nagle dostrzegam rysunek. Śliczny szkic szyi jakiejś dziewczyny. Krąg piegów na obojczyku.

Wygląda dziwnie znajomo.

To moja szyja. Mój obojczyk.

Wtedy dociera do mnie prawda: to notes Davida. O cholera.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

# DAVID

**3**,141592653589793238462643383279502884197169399375105820974944592:

I jeszcze raz:

3,14159265358979323846264338327950288419716939937510582097494459:

Nie. Dostyc tego. To za wiele. Hałas, światło, wibracje oraz myśli krążące mi po głowie, zataczające coraz ciaśniejsze koła, niczym palce zaciskające się na mojej szyi; a do tego słońce kłujące mnie w oczy i czyjeś ręce miażdżące mi jądra. Wszystko jednocześnie.

Chowam się pod ciężką kołdrą. Po raz ostatni. Po raz ostatni muszę spróbować przed tym uciec:

3,14159265358979323846264338327950288419716939937510582097494459:

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

# KIT

**S**łuchaj, nie twierdzę, że jesteś brzydka czy coś takiego, bo jesteś całkiem ładna, ale nazywanie cię najśliczniejszą dziewczyną w szkole to gruba przesada – mówi Willow w ramach powitania, kiedy wchodzę do Pizza Palace.

Jak się spodziewałam, wszyscy siedzą nad laptopem i czytają zapiski Davida. Nikt się nie przejmuje, że to jego prywatny dziennik czy pamiętnik. Są tu Justin, Gabriel oraz święta trójca, Jessica-Willow-Abby. Annie i Violet także, ale siedzą przy osobnym stoliku.

– Zamknij się. Kit jest śliczna – odpowiada Annie, a ja mam ochotę przybić jej piątkę za to, że mnie broni i wspiera, chociaż ostatnio nie jest ze mną łatwo.

W gruncie rzeczy jednak zgadzam się z Willow. Mimo złudnych przekonań Davida nie należę do najatrakcyjniejszych dziewczyn w szkole. Nie wiem, co ten chłopak widzi, gdy na mnie patrzy – może jego wzrok jest jak zwierciadła w gabinecie luster – ale na pewno coś innego niż wszyscy. Co do reszty jednak ma rację i miło, że to wszystko zauważył: że na większości krzesel siadam po turecku, mam nerwowy zwyczaj naciągania rękawów na palce, co wkurza moją mamę,

bo wszystkie bluzy i swetry są porozciągane.

Ale że zapisał sobie moje numery rejestracyjne? To trochę przerażające.

– To chyba ty się powinnaś zamknąć – rzuca Willow do Annie. – Przeczytałaś, co David Drucker miał do powiedzenia na temat zbyt obcisłych dżinsów?

– Teraz przestaniesz się z nim przyjaźnić, prawda? – pyta Jessica, a ja próbuję sobie przypomnieć, co David napisał o niej. Pamiętam wyłącznie zapis o włosach. Rzeczywiście są zbyt jaskrawe. Kolor włosów nie powinien być widoczny z przestrzeni kosmicznej.

Nadal jednak nie wiem, dlaczego opisał każdą osobę z naszej klasy. Jego notatki są jak kod, stosowany przeze mnie przy wpisywaniu do komórki telefonu osoby, której imię z niczym mi się nie skojarzy. „Ruda dziewczyna z zajęć PSAT” „Chłopak z kolczykiem w brwiach z Modelu ONZ” Może David ma problem z zapamiętywaniem imion?

– Niby dlaczego? – pytam, ale dociera do mnie, że niepotrzebnie tracę czas. Nie przyszłam tu, żeby się zajmować tymi laskami. Nie mam ochoty nurzać się w ich miałkości. Zresztą dlaczego się przejmują opinią Davida na swój temat? One same mówiły o nim znacznie gorsze rzeczy.

Przyszłam tu, żeby zobaczyć się z Gabrielem i Justinem. Na mój widok rozpościerają ramiona, żeby mnie objąć. „Tanie macanie”, jak to nazywa Violet, kiedy chłopcy próbują nas dotknąć bez konkretnej przyczyny. Zarzucają nam ręce na ramiona, ściskają za boki. Niektórzy nawet ciągną za kitkę jak w przedszkolu. Nie ma w tym seksualnego podtekstu. Przypomina to raczej wybieranie garściami darmowych cukierków miętowych przy wyjściu z restauracji. Zachłanność.

David nie zachowuje się w ten sposób. On trzyma mnie za rękę tak, jakby to było coś bardzo delikatnego.

– Ty to zrobiłeś? – pytam Justina. Staram się wyglądać surowo, co jest idiotyczne, bo nigdy tak nie wyglądam. Jestem na to zbyt normalna.

Lista „Istotnych kontaktów” Davida z Justinem zajmuje pięć stron i sięga szkoły podstawowej. Muszę oddać Justinowi, że bardzo ambitnie podszedł do kwestii upokorzenia Davida. Perfekcyjnie wykorzystał słabe strony przeciwnika. Jak można chcieć tak totalnie zniszczyć drugiego człowieka? Czy Justin jest socjopata? I jak to możliwe, że wszyscy tak chętnie na to patrzyliśmy, śmiejąc się z jego poczynań? Zapomniałam już o tamtych gimnazjalnych czasach, kiedy torturował Davida w szkolnej łazience. Co powiedziałam wtedy, gdy to do mnie dotarło? Czy ja też się śmiałam? Mam nadzieję, że nie, ale nie jestem pewna. Minęło zbyt wiele czasu.

Wiem, że nie nazywałam go później gównozercą – jak większość osób. Nie tylko wtedy, przez lata tak za nim wołali.

Dobrze, że chociaż tego nie zrobiłam.

Ale to marne pocieszenie.

Prawda jest taka, że David dopiero niedawno stał się dla mnie realną osobą.

– O czym ty mówisz? – Justin stuka dwoma palcami w siedzenie obok siebie i oczekuje, że tam usiądę, jakbym była szczeniakiem, który w ten sposób wypełnia polecenia. Jak to możliwe, że wcześniej – tak samo jak włosów Jessiki – nie zauważyłam jego okrutnej natury? Jak mogłam uważać go za zabawnego chłopaka? Chyba imponowało mi, że jest inteligentny, wysportowany i od czasu do czasu dowcipny – idiotyczne rozpraszacze, przez które się na nim nie poznałam. Na tym, że jest wielkim dupkiem.

– O... o tym poradniku. To wy go wrzuciliście do Internetu, prawda? – Jestem na siebie zła, że zamiast stwierdzić fakt, podałam go w formie pytania. Oferując im szansę na wyparcie się wszystkiego.

– Nie – mówi Justin, tak jak się spodziewałam, ale zdradzają go uniesione kąciki ust. Jest z siebie dumny. – To nie my.

– Dziewczyno, ten twój chłopak to dziwoląg – stwierdza Gabriel.

W pierwszym odruchu chcę powiedzieć: „To nie jest mój chłopak”, jednak się powstrzymuję. I nie dlatego, że David j e s t moim chłopakiem, ale ponieważ to byłoby nielojalne. Jakbym wstydziła się tej znajomości. W rzeczywistości mam w nosie, co sobie myślą. Oni wszyscy budzą moje obrzydzenie, to chyba jedyna dobra rzecz, jaka mi się przytrafiła w ciągu ostatniego miesiąca. Moje życie będzie lepsze bez Justina, Gabriela i popołudni takich jak to.

To prawda, David jest dziwniejszy, niż sądziłam. No dobra, nie tylko jest dziwny, ale i całkowicie inny. Tak nieświadomy istnienia norm społecznych, że musi prowadzić zeszyt, by się ich uczyć. Jakby był uczniem na wymianie z Marsa.

No i co z tego?

Gdyby ktoś opublikował mój pamiętnik – postanawiam, że zaraz po powrocie do domu spalę go – też znalazłby w nim dziwne rzeczy. Od razu przypomina mi się ulubione powiedzenie taty: „Ludzie mieszkający w szklanych domach nie powinni rzucać kamieniami”

Z czego jest zbudowany mój dom?

Uznaję, że z papieru. Jak trójwymiarowa książeczka dla dzieci. Łatwy do przewrócenia.

– Jesteście takimi idiotami – mówię. – Mogę się założyć, że was to bawi.

– Bo to w sumie śmieszne – odpowiada Gabriel.

– A poza tym on napisał o nas nieprzyjemne rzeczy – mówi Willow i wydyma wargi. Nie wydaje się jednak zestresowana, sprawia wrażenie, jakby pozowała do selfie. Czy którekolwiek z nich potrafi wykazać jakieś ludzkie emocje? Czuję się, jakbym została otoczona aktorami grającymi nastolatków. Jakbym tylko ja miała prawdziwe, poplątane życie. Wiem, że to nieprawda. Podobno Abby leczy się na zaburzenia odżywiania, a Jessica kiedyś się cięła, co oznacza, że mimo błyszczącej powłoki one też walczą z własnymi demonami. Nie jestem pewna co do Willow.



Całkiem możliwe, że wierzy święcie, iż jest gwiazdą własnego reality show. – Nie jest miły.

– Mnie się p o d o b a j ą twoje łokcie – mówi Jessica.

– A mnie się p o d o b a j ą twoje włosy – odpowiada Willow.

– Jak dla mnie wszystkie jesteście śliczne, moje panie – stwierdza Gabriel, ale patrzy tylko na Willow.

Zastanawiam się, czy od zawsze jest taki protekcyjny. Kiedy uznałyśmy, że chcemy się z nimi przyjaźnić? A co, gdybyśmy zadały sobie trud, żeby poznać osoby z innych grup, na przykład artystycznych albo miłośników teatru? Gdybyśmy wszyscy wyskoczyli z naszych pudełek i odlepili idiotyczne etykiety? Kogo byśmy odkryli?

„Gabriel nie zaprosi Annie na bal” – uświadamiam sobie z bólem. Chociaż moja przyjaciółka jest sto razy fajniejsza od Willow i całej reszty jej kliki. Bałby się, że włoży na siebie coś okropnego. Coś typowego dla siebie. Że będzie sobą.

Próbuję innej taktyki. Siadam obok Justina. Blisko. Kładę mu rękę na ramieniu.

– Proszę. Ślicznie proszę. Powiedz mi. Chciałabym wiedzieć.

Mój głos przypomina głos dziewczyny, jaką nigdy nie byłam: kpiący, fałszywie uprzejmy, flirtujący. Ale przyszedłam tu z konkretnego powodu i nie wyjdę, dopóki nie załatwię tego dla Davida. Mam poczucie, że jestem mu to winna. Może dlatego, że zostawiłam go na śniegu, samotnego, z miarką. A może ponieważ rozumiem, jak będzie cierpiał. Wiem, jak to jest, gdy człowiek idzie korytarzem, a w plecy wbija mu się wzrok setek par oczu. Gdy dociera do niego niczym echo: „Słyszałeś? Słyszałaś? Jej tata umarł... umarł... umarł...”

– Skarbie, nie mamy pojęcia, o czym ty mówisz – rzuca Justin, a Jessica wybucha śmiechem, być może ze względu na to pogardliwe „skarbie”

Mam ochotę walnąć oboje w twarz. I to porządnie.

– Przestańcie. Wiem, że zwinęliście mu notes. – Ton głosu znów mi się zmienia. Wraca gniew. Postanawiam raz jeszcze się postawić.

– Wrzuć na luz, Kitavidko – mówi Abby. – To nic takiego. Przecież nie twierdzimy, że nie jesteś ładna.

– Idę do dyrektorki. – Ledwo rejestruję to, co mówi Abby, jej kolejny nieproszony komentarz na temat mojego wyglądu. Przez chwilę, kiedy Justin i Jessica byli parą, wszyscy nazywali ich Justicą, a ja za każdym razem, gdy słyszałam to słowo, powtarzałam w myślach: „Już się nie mogę doczekać, kiedy pójdę na studia” – Powiem jej, że widziałam, jak go kradliście.

Spoglądam na Violet i Annie, oczekując wsparcia, chociaż nie jestem pewna, czy mogę na nie liczyć. Nie należą do klubu miłośników Davida.

– Dlaczego miałybyś to zrobić? – pyta Justin. – Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. – Wydaje się zaskoczony i jednocześnie dotknięty. Jakby się nie spodziewał, że mogę się zwrócić przeciwko niemu.

Wracam myślami do tego, co powiedział David: przypadek sprawił, że trafiliśmy wszyscy do jednej szkoły, ale to za mało, żeby się wpasować. Czy Justin był kiedyś przyjacielem? Poważnie? Przyszedł na pogrzeb mojego taty, złożył mi kondolencje – jak wszyscy – a potem razem z Gabrielem stali jeszcze przez jakiś czas na parkingu, chwyтали się za bary i siłowali na niby. Niezliczone razy siedziałam z nimi w tej pizzerii, plotkując, oglądając filmiki z YouTube’a na czyjejś komórce. Ale czy my się w ogóle znamy? Czy kiedykolwiek prowadziliśmy prawdziwą rozmowę? Nie sądzę.

Nikt oprócz Davida nie pytał mnie, co myślę o Bogu, o życiu po śmierci i czy wierzę bardziej w naukę czy w religię.

Nikt oprócz Davida nie wie, że co noc wypadek rozgrywa się ponownie na suficie mojego pokoju. Zaufałam mu na tyle, że powiedziałam o zdradzie mamy. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby odkryć się tak w obecności Gabriela i Justina, by podzielić sobą.

Pokazać łzy.

Nie, nie jesteśmy przyjaciółmi, a zaledwie towarzyszami niedoli. Tylko że ja nie jestem tak silna jak David i nie potrafiłam być w tym sama. Prawdopodobnie nadal nie potrafię.

– Bo to okrutne. Bo David to dobry człowiek. Bo tak – mówię.

– Na waszym miejscu bym nie ryzykowała. Jeśli zostanieie przyłapani, ucierpią na tym wasze podania na studia – mówi Violet i wstaje, jakby dołączała do mojego protestu.

Zauważam, że wyjęła bluzkę ze spodni, i aż mnie ściska za serce.

– Kit ma rację. Zdejmijcie to, bo w przeciwnym razie ja też na was doniosę – mówi Annie. Ma na sobie dopasowany dżinsowy kombinezon, pod nim kolorowistą tunikę, a w uszach kolczyki w kształcie kul dyskotekowych z lat siedemdziesiątych. Wygląda idiotycznie i tak bardzo typowo dla siebie, że mam ochotę ją wyściskać. Teraz stoimy we trzy po tej samej stronie. – To jego prywatny dziennik czy jak go tam nazwać. Publikowanie go jest podłe.

– Przecież to żart – broni się Justin.

– Teraz – żądam, pokazując na komputer.

– Poważnie? Nie mogę zrobić tego w domu? I tak to niczego nie zmieni, wszyscy już widzieli te skany.

– Teraz – powtarzam, chociaż raz brzmię ostro. Może dlatego, że mam pewność, iż Violet i Annie mnie wspierają. Że moja drużyna nie rozpadła się całkowicie.

Justin przesuwając palce nad klawiaturą i myk, link jest zdezaktywowany. Szkoda, że miał rację: to już nie ma znaczenia. Krzywda została wyrządzona, przypuszczam, że w sieci krąży mnóstwo zrzutów ekranu. Tak naprawdę nic nie znika z Internetu.

– I oddaj mi notes.

Ku mojemu zdziwieniu – robi to. Notes ma zwykłą niebieską okładkę ze spiralą, jest podpisany na dole małymi drukowanymi literami:

DAVID DRUCKER. Uroczo staroświecki, jak coś, co nosiłby ze sobą uczeń podstawówki. Czuję pokusę, by przejrzeć zawartość, zobaczyć jego rysunki.

David sprawił, że moja szyja wygląda jak coś, na co warto patrzeć.

– Nie mogę uwierzyć, Kit, że zamiast nas wybierasz tego g ó w n o ż e r c ę – mówi Justin i pochyla się, bo Gabriel przybija mu piątkę.

– To było klasyczne – odpowiada Gabriel. – Po prostu klasyczne.

Chwilę później stoję na zewnątrz z Violet i Annie.

– Dzięki, że mnie broniłyście – mówię, wbijając wzrok w stopy. – Jesteście po prostu najlepsze.

– Wiesz, Gabe zaprosił Willow na bal. Więc niech się pieprzy – stwierdza Annie i chociaż w jej ustach brzmi to tak, jakby się tym zupełnie nie przejmowała, ja wiem, że jest inaczej.

– Przykro mi. Paskudnie. – Żałuję, że nie mogę zdobyć się na większe zdziwienie. Szkoda, że lepiej się nie rozumiemy.

– David się nie mylił. On faktycznie ma usta klauna – mówi Violet, trącając Annie łokciem. – Chyba nie chcesz iść na bal z gościem, który wygląda jak Joker?

Annie się nie śmieje. Mruga kilkakrotnie, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Tak naprawdę nie chcesz iść na bal z idiotą – mówię. – To, co zrobili, to podłość.

– No, może, może. Ale i tak ten notes jest dziwny. – Annie bawi się swoimi wielkimi kolczykami. – Uważaj na tego chłopaka, Kit.

– No weź, przecież wyjęty z kontekstu każdy dziennik będzie dziwny – odpowiadam. W sumie nie wiem, dlaczego bronię Davida, nawet jeśli robię to w rozmowie z przyjaciółkami. Przecież nie jest mój. – Ale nie czytałam całości, tylko fragmenty, żeby się zorientować, o co chodzi.

– Naprawdę? – Violet unosi brwi ze zdziwienia.

– Wydawało mi się to nie w porządku.

– Powinnaś przeczytać – mówi Annie.

Wzruszam ramionami. Przed całą historią z tatą nie rozumiałam potrzeby prywatności, pragnienia, by uwolnić się od pytań innych ludzi. Teraz rozumiem.

– Co to jest projekt „Wypadek”? – pyta Violet cichym, ostrożnym głosem. Jej pytanie brzmi niemal jak kołysanka. Jakby miała na myśli coś prostego: ulubioną potrawę, program telewizyjny albo czy może pożyczyć zeszyt od hiszpańskiego. – To dlatego uciekasz z lekcji i nie poszłaś na zebranie redakcyjne? Bo właśnie nad tym pracujesz?

– Nad czym?

– Nad projektem „Wypadek.” Co to takiego? – Annie nie jest tak delikatna jak Violet. – Prawie na wszystkie lekcje chodzimy razem, wiem, że to nie do szkoły. Co robisz z Davidem?

– To... eeee... też tam było? – Zastanawiam się, co konkretnie David napisał. Czy wystawił mnie na widok całej szkoły? Próbuję sobie przypomnieć, jak skonstruowałam prośbę. Chciałabym wiedzieć, czy można było uniknąć ostatnich chwil tamtego wypadku. Kiedy należało przycisnąć hamulec. Czy dałoby się wszystkiemu zapobiec. Chcę zrozumieć matematycznie to, co niewytłumaczalne. Teraz moje pragnienia brzmią nedorzecznie.

– Tak jak mówiłyśmy, powinnaś to przeczytać. Zobaczyc, dla kogo nas rzucasz – wyjaśnia Annie. – Czyli nie zamierzasz nam powiedzieć o tym projekcie?

– To nic takiego. Naprawdę. A poza tym nie rzucam was...

Annie kręci głową, unosi rękę, dłonią skierowaną do mnie, i zanim zdążę dokończyć zdanie, odchodzi do swojego samochodu.

– Nie rzucam was – zwracam się do Violet. – To nie tak.

– Ona się wkurzyła z powodu Gabriela – odpowiada moja koleżanka. – No i tęsknimy za tobą.

– Przepraszam – mówię, chociaż chciałabym powiedzieć coś innego: „To wszystko sprawia mi ból. Nawet rozmowa z tobą. Boli bardziej, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić”

Chętnie pokazałabym swój zegarek, żeby jej uświadomić, iż czas prawie nie drgnie. Powiedziałabym, że ja też nie lubię tej nowej wersji samej siebie. Jednak milczę.

– On ci się naprawdę podoba? Znaczący David. – W głosie Violet słyszę nadzieję, jakby fakt, że mi się podoba, wszystko usprawiedliwia. Na przykład to, że już nie trzymam z przyjaciółkami.

Nie zasługuję na wybaczenie ani zrozumienie z jej strony. Gdyby było odwrotnie, gdyby to Violet nagle mnie zostawiła dla pierwszego lepszego chłopaka, bez słowa wyjaśnienia, nie miałabym dla niej współczucia.

– Nie wiem. Łatwo się z nim rozmawia – odpowiadam. – Lubię jego towarzystwo.

Nie dodaję jednak, że mogę mu powiedzieć rzeczy, których nikomu innemu nie mówię. Na przykład o rodzicach. Może kiedyś także o sobie. On uczciwie ocenia uzyskane informacje.

Nie wspominam, że przy nim czas rusza do przodu.

Violet kiwa głową, ale ma smutną minę.

– Kiedyś lubiłaś też nasze towarzystwo.

Kiedy kilka minut później siedzę w samochodzie i zbieram się na odwagę, by włożyć kluczyk do stacyjki, dostaję esemesa od mamy. Jakby mało było wyrzutów sumienia po rozmowie z Violet i Annie. Po prostu bosko.

*Mama:* Wiem, że nie jestem ostatnio Twoją ulubioną osobą i być może nie jest to najlepszy moment, ale uważam, że nie powinnaś się spotykać z Davidem Druckerem.

*Ja:* TY SOBIE CHYBA ŻARTUJESZ!

*Mama:* Widziałam ten poradnik. Mama Annie przesłała mi link.

*Ja:* Jak śmiesz! TO BYŁ JEGO PRYWATNY DZIENNIK.

*Mama:* Martwię się o Ciebie, to wszystko.

*Ja:* Daj mi spokój.

*Mama:* Kochanie, czym jest projekt „Wypadek”?

*Ja:* Odwal się ode mnie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

# DAVID

**L**iczba pi nie działa. Tablica pierwiastków też nie. Próbuję zwykłego liczenia, dochodzę do trzystu tysięcy, ale nie jestem w stanie zapamiętać. Mój notes stał się własnością publiczną. Kit na pewno wszystko już przeczytała. Nawet zakładając, że: 1) do domu dotarła dopiero trzydzieści pięć minut po naszym rozstaniu, a więc link zobaczyła nie wcześniej niż o szesnastej i 2) czyta bardzo powoli, jedną stronę przez pięć minut (tyle że nie ma to większego sensu, w końcu miała świetne wyniki z PSAT), i tak przeczytałaby całość co najmniej godzinę temu. A to oznacza, że wszystko się skończyło: nasze wspólne siedzenie w stołówce, projekt „Wypadek”, ja należący do jakiegokolwiek strefy. Diagram Venna reprezentujący nasze relacje się rozdiagramował.

Zastanawiam się, czy nie wysłać jej esemesa, ale boję się włączyć telefon. Kiedy tylko wróciłem do domu, zaczął pulsować od wiadomości przysyłanych z nieznanymi numerów.

ty gównozercu. zabije cie

Jak śmiesz pisać, że moja dziewczyna wygląda jak Miss Piggy?! Jak cię dorwę, to po tobie.

Giń, downie.



ty gówniany debilu. jestes oblesny  
CO KURWA JEST NIE TAK Z TOBA?  
badz tak dobry i ZDECHNIJ

Wszystko powtarzało się zarówno w esemesach, jak i w komentarzach internetowych. Uważam, że te opinie są nieadekwatne do popełnionej zbrodni, zwłaszcza że to nie ja opublikowałem zawartość swojego notesu. Jak można się złościć o coś, czego nie zamierzałem im nigdy pokazywać? To tak jakby ktoś wniósł oskarżenie o przestępstwo popełnione w myślach.

Co gorsza, oni pragną mojej śmierci. Naprawdę. Chcą, żeby serce przestało mi bić, żeby moja mama straciła syna, a Miney brata. Żeby przestał istnieć, przynajmniej w swojej obecnej postaci. I to wszystko z powodu zwyczajnych obserwacji, które pomagają mi zapamiętać, kto jest kim, komu mogę zaufać i jak przeżyć w skomplikowanym świecie zwanym szkołą średnią. „Joe Mangino, kapitan drużyny futbolowej, wygląda jak fretka i kiedyś ścisnął mnie za sutki, gdy wymijał mnie na korytarzu.” Czy to naprawdę takie złe, że to zapisałem? Że zostawiłem sobie notkę, by za każdym razem, gdy spotykam tego pustego gryzonia, schodzić mu z drogi? Posiniaczone sutki to bolesna sprawa.

Zakładam, że groźby związane z pozbawieniem mnie życia nie są jednak dosłowne. Kiedy byliśmy mali, Miney regularnie groziła, że mnie zabije, a jednak nigdy nie mówiła serio. Jednak nie potrafię inaczej zinterpretować tych esemesów. Może nie chcą zrobić tego własnoręcznie, nie chcą mnie zamordować, bo to wiązałoby się z ryzykiem więzienia oraz, rzecz jasna, przekroczeniem pewnych powszechnie przyjętych moralnych granic, ale z całą pewnością marzą o osiągnięciu takiego rezultatu. Mojego nieistnienia.

badz tak dobry i ZDECHNIJ  
Zabij się, ty gnido

Nie, to ma jeszcze konkretniejszy charakter. Oni nie tylko pragną

mojej śmierci, ale wręcz chcę, żebym sam ją sobie zadał. Mam popełnić samobójstwo. Najwyraźniej najlepiej przysłużę się temu światu, jeśli go opuszczę.

Znów trzepoczę rękoma. Po twarzy płyną mi łzy. Tracę panowanie nad sobą. Wpadam w wir, który przyprawia mnie o zawrót głowy. Kiedyś sądziłem, że samotność to konieczność znoszenia pojedynczego głosu w głowie. Myliłem się. Samotność to słyszenie wszystkich innych głosów, tyle że mówiących jedno: zgiń, umrzyj, zdechnij.

Pukanie do drzwi, a potem ich otwarcie. Nie podnoszę głowy, nawet nie jestem pewien, czy byłbym w stanie, gdybym chciał. Wiem, że to Miney, poznaję po jednym puknięciu i późniejszym zapachu. To jej nowe perfumy z nutą sandałowca i niemyte włosy.

– Zdjęli to – mówi. – Ten link. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć.

Milczę. Nadal się kołyszę, głowa pochylona nad kolanami, ręce schowane, więc ich trzepotanie przesuwam mnie w przód i w tył. Widocznie mama poszła do dyrektorki, szkoda, że za późno. Wszyscy, którzy się liczą, już to zobaczyli, jestem pewien, że treść mojego notesu została zachowana na co najmniej stu twardych dyskach.

Kit już nigdy się do mnie nie odezwie.

Miney pyta, czy może pomasażować mi plecy. Kręcę głową. Raz, ale mocno. Chwilowo nie potrafię wyprodukować żadnych słów. Pomarańczowo. Świat jest pomarańczowy, jak środek słońca z kreskówki. Albo jak wulkan.

Żadnego dotyku. Tylko zapomnienie. Trzeba dać ludziom to, czego chcą.

– Okej. Kocham cię, jak dobrze wiesz. I obiecuję, Mały D., że wszystko będzie dobrze – mówi Miney, ale jej głos dochodzi do mnie wypaczony. Widzę kolor pomarańczowy, słyszę huk. Nie kojący dźwięk oceanu, ale coś głośniego, ogłuszającego, niszczącego. – Wiem, wydaje ci się, że to koniec świata. Możesz mi wierzyć, sama to przeżyłam. W końcu będzie

dobrze.

Ale żeby było okej, muszę tu pozostać, a ja odpływam. Balon znajdujący się w mojej głowie staje się coraz mniejszy, aż w końcu znika zupełnie na tle niebieskiego nieba.

Przez trzy kolejne dni zostaję w domu – ze swoim trzepotaniem rąk i liczbą pi. Dużo śpię. Długi, ciemny sen, który nie przynosi ani odprężenia, ani żadnych wizji. Jestem tak martwy, jak martwy może być żywy człowiek.

Miney i mama na zmianę do mnie zagląдают, czasami siadają na moim łóżku. W bezpiecznej odległości osiemdziesięciu centymetrów, żebyśmy się nie stykali. Ale kołyszają się razem ze mną, ich rytm odpowiada mojemu, co mi się podoba. To takie jakby towarzystwo. Delikatne przypomnienie, że nie jestem sam. Nie całkowicie.

Po jakimś czasie, to musi być wtorkowe popołudnie, do drzwi mojego pokoju puka Trey. Nie przestaję się kołysać, nie unoszę głowy. Dzisiaj nie będzie żadnej lekcji gry na gitarze.

– Jestem – mówi Trey. – Poczekam, aż będziesz gotowy.

Nie będę.

Później słyszę, jak rozmawia w holu z moją siostrą. Próbuję się skupić, jakby wsłuchiwanie się w ich słowa i tłumaczenie ich na zdania, które jestem w stanie zrozumieć, mogło przywrócić mnie do tego świata.

– Zrobiłeś z nim kawał dobrej roboty – mówi Miney, a ja koncentruję się na słowie „robota” – Będzie dobrze.

– Tak myślisz? – pyta Trey. – Sam nie wiem. To wyglądało... przerażająco. Czy wcześniej też tak było? Tak źle?

– Nie. Nie aż tak.

– Sądziłem, że robimy postępy.

Myślę o gitarowych riffach. Skupiam się na sekwencji nut, których Trey nauczył mnie w zeszłym tygodniu.

– Zrobiliście. Świetnie sobie zaczął radzić. Nawiązał przyjaźń.

Żartował. Wydawał się lepszy w kontaktach... aż do tego – mówi Miney, a potem ich głosy cichną.

Nie wiem, czy to dlatego, że przeszli bliżej wyjścia, czy po prostu mój mózg znów się zamyka.

„Jeszcze trochę i to się skończy” – uświadamiam sobie jakiś czas później. Czuję, jak moja rozpacz się rozpląta. Nie, to nieprawda: rozpacz – ta przerażająca świadomość, że jestem nie tylko nielubiany, ale wręcz znienawidzony, i że straciłem jedyną przyjaciółkę, jaką kiedykolwiek miałem – ona ze mną zostaje. Mimo wszystko postanawiam wrócić do rzeczywistości. Mój umysł twardnieje na brzegach, zapina pasy, składa stoliki i szykuje się do lądowania.

Opuszczam nogi z łóżka na podłogę i wstaję. Kręci mi się w głowie z głodu, łapczywie pochłaniam smoothie, które mama zostawiła mi na biurku. Biorę prysznic, a kiedy zabieram się do mycia włosów, jestem zaskoczony, że mam ich tak niewiele. Już zapomniałem o zmianie wizerunku. Kiedy później otwieram szafę i widzę, że mama najwidoczniej pozbyła się moich starych koszul i spodni, zduszam w sobie atak paniki i wyjmuję nowe ubrania. Skoro normalni ludzie są w stanie znieść guziki, fałdy, zagniecenia i kaptury, ja też sobie z nimi poradzę.

Gdy schodzę na dół, Miney i mama rozmawiają cicho w kuchni. Mama proponuje, że zrobi moją ulubioną kanapkę albo podgrzeje rosół, jakbym miał gripę. Moja siostra znów ma normalny kolor włosów i nie jest ubrana w piżamę. Coś w głębi mnie wzdycha na ten widok, rozplątując niewidzialny supeł, który ścisnął mi żołądek.

– Idę dzisiaj do szkoły – oznajmiam, moim zdaniem zbyt głośno. To moje pierwsze słowa od trzech dni, chyba wyszedłem z wprawy.

Pójdę do szkoły, a jeśli ktoś każe mi umierać, powiem: „nie, dziękuję” i będę szedł dalej. A może nic nie powiem. Tak czy inaczej, to Gabriel i Justin powinni ponieść konsekwencje, a nie ja. Ja nie zrobiłem nic

złego.

– Nie teraz – odpowiada mama i stawia przede mną bogaty asortyment produktów spożywczych, każdy na osobnym talerzyku, tak jak lubię.

– Nie boję się.

– Nie o to chodzi, Mały D. Jest wieczór, szkoła jest zamknięta – mówi Miney i dotyka mojego ramienia.

Być może to test. Nie wzdygam się.

Wyglądam przez okno, widzę, że niebo stało się granatowe. Sine. Chciałbym, żeby świat znów się zazielenił. Żeby przypominał oczy Kit.

– Jedz – mówi mama. – A potem rozstrzygniemy, co dalej.

To „my” w „rozstrzygniemy” brzmi miło – nie jak „my” w „co my z tobą zrobimy?”. To „my” sugeruje, że nie jestem sam, że mam wsparcie. Wyobrażam sobie nas jako bandę dobroczyńców opowiadających się po stronie pokrzywdzonych i słabych. W mojej wyobraźni Drużyna Davida przypomina filmowych Bad News Bears.

– Dobrze – odpowiadam i zaczynam jeść, sięgając do każdego talerza po kolei, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Po pewnym czasie podnoszę głowę. Mama i Miney siedzą i przyglądają się, jak jem.

– Witaj w domu – mówi mama, głos ma ochrypły z zaskoczenia – jakbym pojechał gdzieś daleko, a ona straciła już nadzieję, że kiedykolwiek wrócę.

Później idziemy z Miney na spacer po okolicy. Wkładamy zimowe kurtki, szaliki i rękawiczki, tak samo jak to robiliśmy w dzieciństwie, gdy mama wysyłała nas, żebyśmy się pobawili na śniegu. Kiedyś nienawidziłem wychodzenia na dwór, z dala od książek, na zimne i mokre powietrze. Pamiętam klucie mrozu na skórze między rękawem i rękawiczką, te dwa centymetry odsłoniętego ciała psujące mi całą przyjemność. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak Miney może lepić

bałwany i robić orły na śniegu, mając zmarznięte nadgarstki. Teraz jednak mi to nie przeszkadza. Dobrze się czuję w zapiętej puchowej kurtce – jakbym leżał w łóżku otulony kołdrą.

„Świeże powietrze dobrze nam zrobi” – stwierdziła Miney, a ja się z nią zgodziłem, ponieważ już i tak mam zaległości: od trzech dni nie ćwicyłem sztuk walki, to najdłuższa przerwa od początku treningów. Dlatego właśnie wyszliśmy się przejść. Całe Mapleview schowało się już w domach, po ulicach jeździ niewiele samochodów, oprócz nas nie ma żadnych ludzi.

– Podobają mi się twoje włosy – mówię, pokazując na miejsce, które wcześniej było pofarbowane na fioletowo.

– Sądziłam, że potrzebna mi zmiana, ale w końcu uznałam, że jednak nie o to chodzi.

Rozmyślam o tym, co powiedziała, ważę każde słowo, tak samo jak moja mama ogląda i dotyka owoce w supermarkecie, ale na próżno. Nie wiem, co miała na myśli.

– Jestem z ciebie dumna, wiesz? – ciągnie Miney. – U mnie też nie jest za dobrze, coś się stało, nic bardzo poważnego, ale rozumiem, co czujesz. Byłam w takiej samej dziurze jak ty. Mniej więcej.

– Też przez prawie siedemdziesiąt godzin siedziałas w swoim pokoju, kołysałaś się w przód i w tył, recytując liczbę pi? – pytam.

– No dobra, n i e d o k o ń c a tak jak ty. Ale też chodziło o publiczne upokorzenie. Powiem ci szczerze, skoro ty jesteś tak odważny, by wrócić do szkoły i stanąć twarzą w twarz z tymi wszystkimi debilami, to i ja mogę. Dlatego dziękuję ci za to. Tyle że to oznacza mój rychły wyjazd. Potraktuj to jako pierwsze ostrzeżenie.

– Okej – odpowiadam. Dawny David z pewnością by płakał, krzychał i błagał, żeby została. Ale ja już nie jestem dawnym Davidem. Mimo ostatnich wydarzeń zmieniam się, staję się silniejszy. Daleko mi do Krainy Normalności – nigdy nie osiągnę tego stanu, ale nawet nie

chcę – jednak z pewnością się do niej ciut przybliżyłem. Jestem uchodźcą na granicy. Przeżyję wyjazd Miney. Zakładam, że ona także, w końcu to Miney. – Tylko już nie farbuj włosów. Chciałbym cię rozpoznać, kiedy znów wrócisz do domu.

Uśmiecha się i trąca mnie łokciem. Każde z nas ma ręce włożone do kieszeni, więc to trącanie się staje się zabawą.

– Wątpię, żebyś mogła się narazić na publiczne upokorzenie – mówię.

– A jednak.

Nie pytam, co się stało. Z doświadczenia wiem, że rozmowa o własnych upokorzeniach nie jest przyjemnością. Wtedy trzeba przeżywać wszystko od nowa. A gdyby Miney chciała mi powiedzieć, już dawno by to zrobiła.

– Jak długo jeszcze będziesz w domu?

– Coś koło tygodnia? Ale wrócę w ferie wiosenne. No i zawsze możemy rozmawiać przez FaceTime. – Kiwam głową. – Widziałam część tych esemesów, które dostałeś. Najchętniej skopałabym tym gnojom tyłki.

– W sumie sam mogę to zrobić – odpowiadam i wyobrażam sobie, jak by to wyglądało. Seria ciosów wymierzonych krawędzią dłoni i piętą, cała drużyna futbolowa rozłożona na łopatki. – Mógłbym ich zabić, gdybym chciał.

– Nie rób tego, proszę.

Śmieję się, ponieważ oboje dobrze wiemy, że tego nie zrobię. Gdy byłem mały, bardzo się denerwowałem, jeśli przypadkowo rozdeptałem jakiegoś robaka. Może opanowałem sztukę samoobrony, ale nie lubię wyrządzać krzywdy. Poza tym bez względu na to, co inni sobie o mnie myślą, ja nie życzę nikomu śmierci. Nawet Justinowi i Gabrielowi. Nawet jeśli wierzę w teorię kwantową, zgodnie z którą świadomość istnieje po śmierci.

Nie miałbym jednak nic przeciwko, gdyby się wyprowadzili. Byłoby

świetnie.

– Co zamierzasz zrobić jutro w szkole? – pyta Miney.

– To samo co zawsze. Założę słuchawki i będę ich wszystkich ignorował.

– A Kit?

Myślę o jej rzęsach, o tym, jak zbierały się na nich płatki śniegu, jakby to było idealne miejsce na odpoczynek. Myślę o jej palcach splecionych z moimi.

Widzę jej plecy, gdy uciekała ode mnie najszybciej jak się dało.

Myślę o słowie „obrzydzenie”. O jego szorstkim brzmieniu.

– Nie wiem – odpowiadam.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

# KIT

**P**o trzech dniach David wraca do szkoły. Siedzi przy naszym stoliku, na uszach ma słuchawki, wzrok wbił w blat. Kiedy go nie było, znów usiadłam z Violet i Annie. Słuchałam, jak analizują listę potencjalnych partnerów na szkolny bal. Powiedziałam Violet, że podobają mi się jej dzinsy z wysokim stanem. Chodziłam na wszystkie lekcje oraz na zebrania redakcyjne, a po szkole od razu wracałam do domu i oglądałam filmy na Netfliksie z miłą popcornu większą od własnej głowy. Dwa razy dziennie jadłam kanapki z chleba żytniego z indykiem i humusem. Powinnam dostać Oscara dla najlepszej aktorki za grę w filmie pod tytułem *Normalność*. Z pewnością byłabym pierwszą pół-Hinduską, która zdobyła statuetkę.

Wieczorami, kiedy mama przychodziła do domu z pracy, włączałam muzykę na cały regulator: to akustyczny odpowiednik tabliczki z napisem „nie wchodzić”

Nie zdawałam sobie jednak sprawy, jak bardzo będzie mi brakować rozmów z Davidem.

Podchodzę do niego powoli. Czuję się zakłopotana, jakbyśmy znowu byli sobie obcy. Jakby to już nie był n a s z stolik. Nie mam pojęcia,

jak się zachować wobec jedynej osoby na świecie, która nazwała mnie najładniejszą dziewczyną w całej szkole. Nawet moja własna matka nie byłaby tak dobroduszną. „Uroda nie przychodzi sama, Kit” – zwykła była powtarzać. „Trzeba się starać”

– Hej – mówię i siadam naprzeciwko. – Jak się trzymasz?

Podnosi głowę, zdejmuje słuchawki. Jak mogłam zapomnieć o jego świetnej fryzurze i superciuchach? Może nie jestem najładniejsza w szkole, ale on z pewnością jest bardzo przystojny. Jest też największym dziwakiem, co tworzy prawdziwą mieszankę wybuchową.

– Nie najlepiej.

– Mam coś dla ciebie. – Wyjmuję z plecaka notes i przesuwam w jego stronę.

Nie wyciąga po niego ręki.

– Przeczytałaś?

Zauważam, że utkwiał wzrok w moim obojczyku, części ciała, której nigdy nie poświęcałam czasu, dopóki nie spotkałam Davida. Zwalczam pokusę dotknięcia palcami piegów. Miałam ochotę wyrwać tę kartkę z rysunkiem, zatrzymać ją na pamiątkę, że kiedyś był ktoś, kto uważał, że jestem piękna, ale uznałam, że nie mam do tego prawa.

– Część. Nie wszystko. Wiem, że nie powinnam, ale powodowała mnie ciekawość, więc przekartkowałam. Przepraszam.

Zaraziłam się od Davida szczerością. Nie musiałam mówić mu prawdy, trzeba było rzucić: „niezupełnie”. Też bym się specjalnie nie minęła z prawdą.

Jak się okazuje, zawartość notesu, choć faktycznie dziwna i trochę chaotyczna, nie wzbudziła mojego niepokoju. Nie zdradzała moich sekretów. Tylko na kartce z tyłu znajdowała się krótka lista zatytułowana *Projekt „Wypadek” Kit i D.*

*Nie rozmawiać o W. w szkole. Biblioteka?*

*Dowiedzieć się detali samoch.*

*Obliczenia.*

*Pomoc – zły pomysł?*

*Definicja strefy przyjaźni.*

To ostatnie tak mnie rozbawiło, że aż się roześmiałam w głos.

– Domyśliłem się. – Wolałabym, żeby schował ten notes, moglibyśmy wtedy udawać, że nic się nie stało. Chciałabym, żeby znów było tak jak wcześniej. Dobrze. Swobodnie. – Nie wiedziałem, czy usiądziesz dzisiaj ze mną. Po tym wszystkim.

– No wiesz, o m n i e pisałeś same miłe rzeczy – mówię, co miało być żartem, ale zabrzmiało beznadziejnie. W stołówce siedzi mnóstwo osób, na temat których David nie miał do powiedzenia nic przyjemnego. Nie wyobrażam sobie, jakie to musi być straszne – świadomość, że cała szkoła wie, co o wszystkich myślisz. To jak *Harriet szpieg*, tylko bez happy endu gwarantowanego w książkach dla dzieci. Oczywiście ja też miałam tysiące nieciekawych przemyśleń na temat swoich znajomych, na szczęście są bezpiecznie zamknięte w mojej głowie. Jestem mistrzynią zatrzymywania informacji dla siebie, to kolejna umiejętność, którą opanowałam po wypadku. – To gdzie byłeś?

– W domu. – David patrzy mi w oczy. – Czy wtedy cię spłoszyłem? Dlatego uciekłaś? Nie wiem, co takiego powiedziałem...

– Ty? Nie, no coś ty. To... to miejsce – mówię, a on kiwa głową, jakby rozumiał.

Może rozumie, a może nie. Trudno powiedzieć w jego przypadku. Niekiedy mam wrażenie, że jest jedyną osobą na świecie, która wie, jak ze mną rozmawiać, a potem zaczynam myśleć o jego notesie, o tym, jaki on jest inny od nas wszystkich, i zastanawiam się, czy sobie tego nie wymyśliłam. Czy przypadkiem tak rozpaczliwie nie pragnęłam przyjaciela, że stworzyłam sobie w myślach Davida, który w rzeczywistości nie istnieje.

– Szybka jesteś, wiesz? – mówi David i po raz pierwszy, odkąd

do niego podeszłam, się uśmiecha. Tak wygląda jeszcze lepiej. Chyba jednak go sobie nie wyobraziłam. Naprawdę. – Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktokolwiek tak szybko biegał.

– No tak.

– Rozmawiasz z mamą? – pyta, a ja kręcę przecząco głową. – Ale w końcu zaczniesz. Kiedy będziesz gotowa.

Ma taki pewny siebie głos, że postanawiam się tego trzymać. Ponieważ za każdym razem, gdy myślę o rozmowie z mamą, łzy natychmiast napływają mi do oczu, a słowa grzęzną w gardle. Przez cały czas ignoruję jej pukanie do moich drzwi, przysyłane wiadomości, telefony. Patrzą na Davida i staram się nie płakać. Wszystko w sobie wstrzymuję. Dławię uczucia, metkuję je, organizuję i układam, wmawiając samej sobie, że prawie nie zajmują miejsca. Ot, mały kącik na półce w szafie.

Wicie, co powinna umieć aktorka? Dobrze kłamać.

Zanim zdołam cokolwiek powiedzieć, do naszego stolika podchodzi cała drużyna futbolowa. Mur bicepsów i masywnych ud. A potem, jak w kiepskim filmie młodzieżowym, Joe Mangino, napakowany gość o wystających zębach, wysuwa się do przodu. Przewraca tacę Davida, a wtedy puste opakowanie po mleku wylatuje w powietrze.

– Oszaleliście?! – pytam i wstaję. Nie mam pojęcia, co zrobić, ci faceci są wielcy, nie znam ich właściwie. Nie mogę kazać im przestać, jak to zrobiłam z Justinem i Gabrielem. To znaczy mogę, ale i tak mnie nie posłuchają.

– Trzymaj się z dala od tego, Kit. To gówno musi zginąć – mówi Sammy Metz, który wygląda, jakby w drużynie pełnił funkcję potężnego szarżującego.

I pełni, o ile się nie mylę. To olbrzym, dobrze by się prezentował przy Willow.

– Nie sądzisz, że to dość ekstremalne? – David stawia pytanie tak,

jakby naprawdę interesowała go odpowiedź. W jego głosie nie ma cienia strachu. Jest tak spokojny i opanowany, że to aż przerażające. Teraz przypomina mi robota. – Chcecie, żebym umarł? Spędziłem niemal trzy dni, zastanawiając się nad tym, i nadal nie potrafię tego rozpracować.

– Nie tylko chcemy, żebyś umarł, ale jeszcze żeby bolało – mówi Joe.  
– I to bardzo. Zastanawiam się właśnie, czy wepchnąć ci swój but do tej głupiej mordy, czy nakarmić cię twoimi własnymi jajami.

– Jeśli nawet mnie kopniesz, to mało prawdopodobne, żeby twój but zmieścił mi się w ustach. I nie mam zamiaru zjadać własnych jąder. – David odwraca głowę, jakby stracił zainteresowanie rozmową. Nadgryza jabłko, po czym odkłada je na talerz. Przyglądamy się mu, a kiedy on ponownie podnosi wzrok, wydaje się zdumiony, że jeszcze tu jesteśmy.  
– Czego chcecie? Wszyscy patrzą, przecież to oczywiste, że teraz mnie nie tkniecie.

– Dorwiemy cię, Drucker. Kiedy się będziesz najmniej spodziewał. Dorwiemy cię – mówi Joe.

Co za banał. Ciekawe, czy tym właśnie zajmuje się w weekendy: ogląda filmy klasy B i ćwiczy przed lustrem klasyczne odzywki debili. Krok numer jeden: zrzucić tacę. Krok numer dwa: wysuwaj przerażające, ale bardzo ogólne groźby. Krok numer trzy: napakuj się ponownie sterydami i wyhoduj jeszcze większą klatę.

– Rozejść się, panowie – mówi pani Rabin, podchodząc do naszego stolika.

Rozpędza tłum, ale nie pyta Davida, czy wszystko w porządku, tylko patrzy na niego wściekle i kręci głową.

– Co jest z nią? – pytam.

– Ale co?

– To spojrzenie. Czym ją tak wkurzyłeś?

David pokazuje brodą na notes.

– Auć. – Krzywię się. – Nauczyciele też?

– Taaa. – David wzrusza ramionami, góra-dół, jak kukiełka wprawiana w ruch przez amatora. Teraz do mnie dociera, że mowa jego ciała jest tak samo sztywna jak wszystko inne, co z nim związane. – Mam nadzieję, że to nie zaszkodzi mi w przyjęciu na studia.

Później, na rozszerzonej historii świata, pani Martel monotonicznie opowiada o skutkach rewolucji przemysłowej: bla, bla, bla, produkcja i silniki parowe, okropne warunki pracy w fabrykach, bla, bla, bla. Piszę esemesa do Davida. Oboje mamy otwarte laptopy, możemy wysyłać do siebie wiadomości, a i tak będzie to wyglądało, jakbyśmy robili notatki.

David siedzi trzy rzędy obok, jedno krzesło przede mną – chyba zajmuje to samo miejsce od września – a ja przyglądam się jego profilowi. Podobają mi się te gęste rzęsy, rys policzka, sposób, w jaki przechyla głowę w bok i wygląda przez okno.

*Ja:* Boisz się?

*David:* Czego?

*Ja:* Całej choliernej drużyny futbolowej!

*David:* Nie. Ale wiesz, czego się boję? Sztucznej inteligencji. Oraz globalnego ocieplenia. Mniej więcej w podobnym nasileniu.

*Ja:* Możesz zginąć.

*David:* Wiem. Jeśli stworzymy maszyny zdolne do odczuwania rozmaitych ludzkich emocji, już po nas. Poza tym uważam, że dawno mamy za sobą punkt krytyczny globalnego ocieplenia. Możemy się spodziewać, że wkrótce normą będzie apokaliptyczna pogoda.

*Ja:* Miałam na myśli drużynę futbolową! Może powinieneś komuś o tym powiedzieć? Na przykład dyrektorce.

*David:* Aaaa. Z jednej strony wyraźnie dali mi do zrozumienia, że pragną mojej śmierci. Z drugiej strony wątpię, żeby chcieli brudzić sobie ręce. No i musieliby pozbyć się ciała. Ponadto wszystkie

wcześniejsze esemesy z groźbami mogłyby zostać potraktowane przez policję jako dowód. Są idiotami, ale nie aż takimi.

*Ja:?*

*David:* Uważam za wielce nieprawdopodobne, by mnie zabili.

*Ja:* Nie miałam na myśli dosłownego zabójstwa. Ale mogą ci zrobić krzywdę.

*David:* To równie nieprawdopodobne. Poza tym znam rozmaite sposoby samoobrony, w tym, ale nie tylko, kung-fu i krav magę.

*Ja:* Poważnie?

*David:* Tak. Ale wiesz, czego nie rozumiem?

*Ja:* WSZYSTKIEGO.

*David:* To żart, prawda?

*Ja:* Tak, David. To żart.

*David:* OK. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy są na mnie wściekli, zamiast sobie uzmysłwić, że to mnie stała się krzywda. Nikt, absolutnie nikt do mnie nie podszedł i nie powiedział: „Tak mi przykro, że cię to spotkało”

*Ja:* Naprawdę mi przykro, że cię to spotkało.

*David:* Mówię poważnie.

*Ja:* Ja też.

*David:* Dziękuję.

*Ja:* Nie ma za co. Naprawdę znasz krav magę?

*David:* A żartowałbym sobie z czegoś takiego?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

# DAVID

Sądziłam, że na studiach będzie łatwiej – mówi Miney we wtorek rano. Siedzi w kuchni i uszczupla stos naleśników. Tata smaży, na uszach ma takie same słuchawki jak moje, tyle że on nie słucha muzyki, woli bowiem audiobooki. Twierdzi, że pozwalają sprawnie wykonywać kilka czynności naraz, ale mają też korzystny skutek uboczny: Miney i mama mogą rozmawiać bez obawy, że je usłyszy. Ja stoję za drzwiami i podsłuchuję. Wiem, że nie jestem niewidzialny, ale niewiele mi brakuje. – Że to będzie przedłużenie liceum. Jak się okazało, musiałam od nowa się zaprzyjaźniać, a nie jestem specjalnie lubiana.

– Laur, oczywiście, że jesteś lubiana. – Mama pochyła się i ściska moją siostrę za rękę.

Miney gada głupoty, wszyscy ją przecież lubią. To akurat stała wartość, tak samo niezmienna jak skład chemiczny wody.

– Nie tylko o to chodzi. No wiesz, stres. Zajęcia są naprawdę trudne. I jeszcze jest taki facet...

– No i? – dopytuje się mama.

– No i nic. To znaczy... nie do końca. On mi się naprawdę podobał, sądziłam, że ze wzajemnością. Któregoś wieczoru go spotkałam



i praktycznie się na niego rzuciłam przy wszystkich, a on wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowany. To było katastrofalne upokorzenie. Poza tym nie mam przyjaciół. A na pewno prawdziwych przyjaciół. Odnoszę wrażenie, że studia to jedna porażka za drugą. Może wybrałam niewłaściwą uczelnię. A może jestem nieudacznikiem.

– Kim ty jesteś i co zrobiłaś z moją córką? Nie podobasz się jednemu chłopakowi i od razu wracasz do domu? To ewidentny kretyn.

– Tak się składa, że jest superinteligentny. Dawał mi korki z fizyki. To ja okazałam się kretynką. – Miney kładzie głowę na stole, a mama gładzi ją po włosach jak małą dziewczynkę.

Być może moja siostra płacze, trudno mi ocenić z tej odległości.

– To dlatego tak się snujesz z kąta w kąt?

– Jezu, Mały D.! Ale mnie wystraszyłeś! Przestań się czaić! – wrzeszczy Miney na mój widok.

Cholerne nowe ubrania i ich szeleszczenie. Moje poprzednie stroje zdecydowanie mniej rzucały się w oczy.

– Nie czaiłem się, tylko podsłuchiwałem – prostuję, wchodząc do kuchni.

– Przestań – rzucają Miney i mama jednocześnie.

– Stawiacie colę – mówię, chociaż nie pijam kofeiny.

– Może później o tym porozmawiamy – stwierdza mama, na co Miney kiwa głową.

Jestem ciekaw, co powie tata, gdy się dowie, że moja siostra potrzebowała korepetycji z fizyki. Od zeszłych wakacji wywiera na nią sporą presję w kwestii studiów. Nieugięcie powtarza, że powinna skończyć jakiś przydatny kierunek, na przykład matematykę albo biologię. Zanim wyjechała z domu, tylko o tym mówił: że musi zrozumieć, ile jej studia będą kosztować, że powinna znaleźć to, w czym jest dobra, i nie tracić już czasu na robienie makijażu, tylko zająć się naukami ścisłymi, jak ja.

„Każdy może być królową balu maturalnego, ale nie każdy ma możliwość i umiejętność nauczenia się czegoś od geofizyków, którzy zdobyli Nagrodę Nobla” – powiedział raz, na co Miney spojrzała mu prosto w oczy i odparła: „Tak się składa, że to był bal absolwentów i dla wielu rodziców byłby to powód do dumy”

Nie włączyłem się do dyskusji, chociaż to nieprawda, że każdy może zostać królową albo królem balu absolwentów. Dla mnie to na przykład nierealne. Z Miney nie da się co prawda pogadać o teorii kwantowej, ale jest geniuszem na swój sposób.

– Chcę tylko powiedzieć, że was kocham i mam szczęście być mamą dwojga najodważniejszych dzieciaków na świecie. Owszem, oboje popełniacie błędy, ale nie pozwólcie, by ktokolwiek sprawił, że czujecie się mali, okej? – mówi mama, po czym wstaje, całuje nas w głowy i odchodzi w stronę zlewu.

Moja mama uwielbia mowy motywacyjne. To jej żywioł.

– Statystycznie rzecz biorąc, to nieprawdopodobne, żebyśmy oboje byli najodważniejsi na świecie – stwierdzam.

– Po prostu powiedz: My też cię kochamy, mamo! – woła mama przez ramię.

– No i nie mam pojęcia, jak można czuć się małym. Przypuszczam, że ja czuję się proporcjonalnie do swoich rozmiarów.

Miney kopie mnie pod stołem. Podnoszę wzrok, widzę jej wściekłe spojrzenie.

– Ja też cię kocham, mamo – odpowiadam.

\*

Wjeżdżam na miejsce parkingowe dokładnie o 7:57, co daje mi minutę na zabranie plecaka i dojście do drzwi. Znów wróciłem do swojej rutyny, co jest szczególnie ważne po tym, jak z niej wypadłem w zeszłym tygodniu. Muszę się skupić i odnaleźć spokój w rytmie

i powtarzalności. Playlista jest gotowa do odtworzenia, więc zakładam słuchawki, co zawsze robię, wychodząc z samochodu. To właśnie dlatego nie od razu ich zauważam. Na parkingu stoi cała drużyna futbolowa. Mur konkretnych ciał.

Tłumaczę sobie, że to może być zwyczajny zbieg okoliczności. Że wcale nie czekają na mnie. Na wszelki wypadek jednak zsuwam słuchawki, uznając, że mogą mi być potrzebne wszystkie zmysły.

– Drucker! – woła Joe Mangino. A może to Sammy Metz? Bez notesu ich nie odróżnię. Obaj wyglądają jak mięso niezidentyfikowanego zwierzęcia wiszące na haku w staroświeckim sklepie rzeźniczym. Zimne i białe tam, gdzie jest tłuszcz. Chociaż ten chłopak przypomina bardziej gryzonia niż wieprza. – Chcieliśmy z tobą pogadać. Powiedz „cześć”

– Cześć – odpowiadam, czego natychmiast żałuję. Głupi automatyczny odruch.

– Jak wiesz, chcemy cię sprać na kwaśne jabłko – mówi Mięsny – o tak, to idealna nazwa dla niego – a ja kiwam głową, ponieważ ma rację: wiem o tym. W sumie sądziłem, że zamierzają mi zrobić coś gorszego. Że chcą mnie zabić. – Nie martw się. To się nie stanie teraz ani tutaj. Chcieliśmy ci tylko przypomnieć, na wypadek gdybyś zapomniał. Potrzytać cię w niepewności.

– Nie zapomniałem – odpowiadam. Podnoszę głowę i widzę, że dwa rzędy dalej Kit wysiada z auta.

„Szkoda, że nie przyjechała kilka minut wcześniej albo później” – myślę i uświadamiam sobie, że jeszcze nigdy nie pragnąłem czegoś takiego. Zwykle lubię patrzeć, jak rano idzie do szkoły. Nie jest to niezbędne z punktu widzenia mojej rutyny, ponieważ Kit przyjeżdża punktualnie zaledwie trzy razy w tygodniu, ale to dobry znak, tak samo jak siatka na włosach kobiety wydającej posiłki czy włączenie się drugiej piosenki w mojej komórce w chwili, gdy skręcam do szafki.

Idę dalej, ale Mięsny zatrzymuje mnie, uderzając w ramię. Teraz zebrał

się już spory tłumek. Są tu też Justin i Gabriel, stoją na środku parkingu, za piłkarzami.

– Poczekaj chwilę – mówi Mięсны, a tłumek przesuwa się i tworzy półkole. Nie wiem, jak oni to robią, przecież nikt nie powiedział „stańcie tutaj” czy „otoczcie go”. To się dzieje naturalnie, organicznie. Jakby wyczuwali, że za chwilę coś się wydarzy, i wszyscy chcieli mieć miejsce w pierwszym rzędzie. – Nie zostałeś zwolniony.

– Czy to naprawdę konieczne? – pytam. Jestem zły, bo już 7:59, nie brałem pod uwagę takiego postępu. Spóźnię się. Nienawidzę się spóźniać. I będę musiał jakoś przecisnąć się przez ten tłum. Nienawidzę tłumów. To jak ciasny golf albo koszula z kołnierzykiem, barbarzyńskie wynalazki, jeśli chcecie znać moje zdanie.

– Powiedz ładnie „proszę, pozwólcie mi przejść”

Patrzę na niego, nie rozumiejąc. Dlaczego miałbym prosić? Nie potrzebuję przepustki, żeby się poruszać po terenie szkoły. Mięсны nie jest nauczycielem, zajmujemy równorzędne pozycje.

Och. Zaczynam rozumieć. Coś się wślizguje do mojego organizmu i zaciska klamrą na żołądku. Rozpoznaję to uczucie. Tak reagowałem na gimnazjum.

Niczego bardziej nie pragnę, jak tylko założyć słuchawki, wejść do szkoły i wrócić do swojej rutyny. Zapomnieć o tym opóźnieniu. Wymazać je gumką. A potem mój wzrok pada na Kit i jej dwie koleżanki, których imion ciągle zapominam, a o których myślę „Hippiska” i „Ściśnięta”. Podchodzą do tłumu, zapewne ciekawe, co się dzieje.

– No dalej, downie. Poproś ładnie. Dasz radę.

– Dajcie mu spokój – mówi Kit, a mój żołądek ściska się jeszcze bardziej. Ostry skurcz, zupełnie jakby ktoś wymierzył mi solidnego kopniaka.

– Jakie to słodkie. Bronisz swojego chłopaka – stwierdza Mięсны,

a mnie zalewa przyjemna fala. Nazwał mnie chłopakiem Kit. Chłopakiem!

Zaraz jednak dostrzegam twarz Kit, znów jest zamknięta jak wtedy, gdy powiedziałem, że jest dobrym kierowcą. Mam ochotę zabić Mięsnego. Kit wygląda na szczęśliwszą, gdy ma otwartą twarz.

– Zejdźcie mi z drogi – mówię.

– Twoja dziewczyna to niezła dupa, co?

Wiem od Miney, że nazwanie dziewczyny niezłą dupą to brak szacunku. Być może podpada pod kategorię „nie należy rozmawiać o wadze dziewczyn”? Patrzę na Kit, ale oczywiście nie jestem w stanie nic wyczytać z jej miny. Czy chce, żebym się bił? Czy raczej żebym uciekał?

– Przestań. To moje pierwsze ostrzeżenie – mówię tak, jak się nauczyłem z filmów o kung-fu. Daję przeciwnikowi szansę na odejście. Pokojowe rozwiązanie sprawy jest zawsze lepsze niż bójka.

W środku cały aż huczę. Gdybym chciał, mógłbym wyrządzić im krzywdę. Nagle czuję, że tego właśnie chcę. Mięśny wybuch śmiechem, jego kumple też się śmieją. Ze mnie. Znów jestem gimnazjalistą, znów mam we włosach wodę z muszli klozetowej, czuję, jak ściekają mi po twarzy zimne, obślizgłe krople. I ten smród. A potem przypominam sobie esemesy. Odkąd sięgam pamięcią, jestem traktowany jak ktoś gorszy. Dlaczego tacy jak oni są normą?

– Masz ostatnią szansę, żeby mnie przepuścić – mówię i robię krok do przodu z nadzieją, że się rozsuna. Nie robią tego.

Dzisiaj porzucę swoją rutynę. Wydostanę się z bezpiecznej strefy, jak to nazywa Miney. Muszę zrobić to, co konieczne. Wybieram Mięsnego. Nie będzie odwrotu, ale jeszcze na sekundę, zanim to wszystko się zacznie, zamykam oczy i wyobrażam sobie siebie w szkole, jak wchodzę w zakręt w chwili, w której rozlega się *Requiem d-moll* Mozarta.

Słyszając w umyśle ten idealny dźwięk, otwieram oczy i robię kolejny

krok do przodu.

A potem powalam Mięsnego kopnięciem z wyskoku.

Siedzę w gabinecie dyrektorki, do twarzy przyciskam torebkę z lodem, którą czuć stołówką. Nie żadnym konkretnym produktem, to raczej mdląca mieszanka wszystkiego, co tam serwują: nuggetsy z kurczaka, frytki, gotowane brokuły. Posmak kotleta. Mam stłuczony nos, ale poza tym nic mi nie jest. Niestety, tego samego nie można powiedzieć o drużynie futbolowej.

– I co my z tobą zrobimy? – pyta pani dyrektor.

Znow wraca to paraliżujące uczucie, które wyparowało z pierwszym kopniakiem i pierwszym chrupnięciem, jakby ten jeden dźwięk i ten jeden ruch były w stanie zdjąć ciężar z moich ramion. Przez mniej więcej siedem minut byłem wojownikiem. Bohaterem. Obrońcą dziewczyn. Czy raczej jednej dziewczyny. Jedynej, która się liczy.

Przestałem być Davidem Druckerem. Nieudacznikiem i ofiarą losu.

Są tutaj oboje moi rodzice, a to znaczy, że sprawa jest poważna. Zwykle to mama tu przychodzi, to ona wysłuchuje przemówień w rodzaju „Co my z tobą zrobimy?”. Zazwyczaj kończą się one wymuszeniem obietnicy, że będę się bardziej starał, chociaż nigdy nie wiem, co tak właściwie obiecuję.

Chyba bycie normalnym.

Bycie neurotypowym, co jest synonimem wyrażenia „jak wszyscy inni”

Nie takim jak ja.

Ale ja już nie chcę być „nie taki jak ja”

– Nie sądzę, żeby istniała konieczność robienia ze mną czegokolwiek – odpowiadam, zdając sobie sprawę, że mam spuchnięty język. Widocznie ktoś mnie uderzył w usta.

Nie pamiętam szczegółów bójki. To była akcja i reakcja, działanie na autopilocie. Żadnego myślenia, czysty, cichy umysł. Później postaram

się odtworzyć to wszystko w głowie, rozpracować kolejność. Ponapawać się trochę.

Bezpośrednio po walce, kiedy nagle wróciły mi zmysły, poczułem zapach krwi, usłyszałem krzyki i ogarnęło mnie nieprzemienne pragnienie, żeby wziąć prysznic. Uwolnić się od płynów ustrojowych innych osób.

– Działalem w samoobronie. Dałem nawet Mięsnemu pierwsze ostrzeżenie, co było aktem wspaniałomyślności z mojej strony.

– Mięsnemu? – pyta dyrektorka, a ja wzruszam ramionami.

Prawdopodobieństwo, że podam właściwe nazwisko, wynosi pięćdziesiąt procent. To albo Joe Mangino, albo Sammy Metz, co nie ma większego znaczenia. Ostatecznie obaj oberwali.

– To ten pierwszy, którego kopnąłem – wyjaśniam.

– Mamy mnóstwo poważnych pogroźek w telefonie komórkowym Davida – mówi mama. – To była ewidentnie samoobrona.

– Troje naszych uczniów zostało przewiezionych do szpitala – oponuje pani Hoch. – To wygląda na znaczne przekroczenie granic samoobrony.

– Z drobnymi złamaniami – wtrąca się tata. – D r o b n y m i.

– Nie tolerujemy takiej przemocy – stwierdza dyrektorka, a ja nie wiem, gdzie podziąć wzrok.

Nie spodziewałem się, że tata włączy się do rozmowy i stanie w mojej obronie. Zwykle oddaje głos mamie. Ale z drugiej strony to on zapisał mnie na zajęcia z samoobrony.

– Proszę mi powiedzieć, co mój syn miał zrobić? Cała drużyna futbolowa się na niego zacięła, a już wcześniej napastowali go w stołówce. Czy mam przeczytać pani esemesy, które dostał? – pyta mama i wyjmuję komórkę z mojego plecaka.

– To chyba nie będzie ko...

– „Ty gównozęro. Zabiję cię” – czyta mama, przybierając beznamiętny ton głosu. – „Giń, downie.” „Bądź tak dobry i zdechnij”

– Moja żona może kontynuować. Tego jest znacznie więcej – odzywa się tata.

Zupełnie jakby mama czytała listę zakupów. „Jajka, szynka, truskawki. Giń, giń, giń” Chcę, żeby przestała. Pragnę założyć słuchawki. Pragnę trzepotać rękoma. Nie robię jednak ani jednego, ani drugiego.

Staram się wyglądać możliwie najnormalniej, o ile to w ogóle wykonalne, gdy się przykłada śmierdzący lód do obitego nosa, a jednocześnie rozmyślam o Kit, która pachnie ładnie i ma idealny nos. Nie za duży, nie za mały, po prostu taki, jak trzeba. Kit jest jak Złotowłosa z bajki.

Nie pamiętam, co robiła po moim pierwszym kopniaku. Była zadowolona z tego, że jej bronię?

– Pani Drucker, przecież już rozmawialiśmy o tym, że być może nasza szkoła nie jest właściwą placówką edukacyjną dla Davida. Całkiem możliwe, że inne miejsce lepiej by odpowiadało jego potrzebom.

Po raz pierwszy słyszę coś takiego, a insynuacja, że powinienem zmienić szkołę, boli mnie bardziej niż użyte przez dyrektorkę słowo „potrzeby”. Nie patrzę na nią, zwijam się w sobie, staję się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu znikam. Chciałbym być czymś, co nie jest widoczne na poziomie komórkowym.

Nie mogę zmienić szkoły. Nie teraz. Nie po tym, co się wydarzyło z Kit.

Skoro nie mogę założyć słuchawek, zmuszam się, by wyobrazić sobie, jak to jest z nimi na głowie. Udaję, że czuję ich ciężar. Tę próżnię, która otacza moje uszy. Biały szum z listy *Dla relaksu, Mały D.*, którą Miney dla mnie przygotowała, zanim wyjechała na studia. Powolne wypełnianie mojego organizmu neutralnymi dźwiękami.

– Pani dyrektor, czy mam przeczytać ponownie te wiadomości? Uważam, że powinna pani jeszcze raz przyjrzeć się uważnie całej tej sprawie. To mój syn stał się celem ataku i to nie on zachował się



niewłaściwie. Pani ukochana drużyna futbolowa zaatakowała Davida. – Moja mama wypluwa z siebie słowa, jest bardzo zła. Wiem, ponieważ kiedy wpada we wściekłość, trzy milimetry na lewo od środka czoła zaczyna jej pulsować żyłka. Miney mi to pokazała, co okazało się przydatnym i wiarygodnym wskaźnikiem nastroju mamy.

– Nie wątpię, że to niestosowne, a w naszej szkole nie tolerujemy nękania i znęcania się nad innymi. Musimy jednak spojrzeć na to w szerszym kontekście. To była prowokacja...

– Pani sobie chyba żartuje! – wybuchła mama. Cała się trzęsie, tata kładzie jej rękę na ramieniu, jakby bał się, że zaraz eksploduje. – To był prywatny notes. Na litość boską, został ukradziony mojemu synowi! Nie rozumiem, co to wszystko ma znaczyć, przecież pani rolą jest chronienie mojego syna!

– I to właśnie próbuję robić. Nie chodzi wyłącznie o drużynę futbolową. Mnóstwo uczniów ma problem z Davidem. Ja chcę tylko zapewnić mu bezpieczeństwo.

Głos dyrektorki jest złudnie spokojny. Miałbym ochotę na nim odpłynąć, ale wiem, że nie mogę. Muszę zostać tutaj. Jeśli się nie skoncentruję, wyląduję w szkole specjalnej, w której nie będą wiedzieli, co zrobić z uczniem chodzącym na pięć przedmiotów rozszerzonych. Jak wyjaśnię w podaniu na studia, że zostałem zmuszony do zmiany szkoły w połowie trzeciej klasy? Nie dostanę się na żadną uczelnię i nigdy już nie wyrwę się z Mapleview. Będę nieudacznikiem, jak wszyscy się spodziewają. O nie.

– Może będzie mu lepiej – może nawet będzie szczęśliwszy – w środowisku, w którym uda mu się z kimś zaprzyjaźnić.

– Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, powiedziała pani, że nasz syn powinien bardziej zaangażować się w to, co się dzieje w szkole – przerywa jej mój ojciec. – Wstąpił do Ligi Akademickiej. Za parę tygodni ma występ gitarowy. Spotyka się z terapeutą, który uczy go

umiejętności społecznych. Ma rewelacyjne stopnie.

Przez moment chcę zaprotestować, ponieważ nie mam absolutnie zamiaru występować z gitarą i nie jestem pewien, czy nadal należę do Ligi, skoro w zeszłym tygodniu opuściłem spotkanie ze względu na niedyspozycję, jednak skupiam się na pierwszej części tego, co powiedział tata. „Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni?” Czyżby moi rodzice prowadzili regularne rozmowy z dyrektorem Hoch? I co to za terapeuta?

– Doceniam to wszystko i nie wątpię, że David radzi sobie fenomenalnie, jeśli chodzi o naukę. Ale to nie zmienia faktu, że troje naszych uczniów trafiło do szpitala.

– Na własne życzenie – odpowiada mama.

Ja milczę. Używam całej siły woli, żeby nie powiedzieć tego na głos, nie domagać się uznania: „Nie, to przeze mnie, na moje życzenie”

– Dzieci, które żyją w izolacji społecznej, robią niekiedy przerażające rzeczy – mówi dyrektorka i chyba po raz pierwszy w życiu rozumiem, co ma na myśli.

Sugeruje, że jestem jednym z tych szaleńców, którzy prędzej czy później dokonają masowego morderstwa. Tylko że ja nienawidzę broni.

– Nie rozumie mnie pani, pani dyrektor – mówię. – Ani mnie, ani całej istoty mojego jestestwa. Nie uznaję przemocy, chyba że w samoobronie. W tym wypadku zostałem sprowokowany. Udzieliłem ostrzeżenia, przestrzegałem wszystkich zasad uczciwej walki. Nie zostawili mi wyboru, musiałem się bronić, w przeciwnym wypadku mógłbym zginąć. I powinna pani wiedzieć, że nie żyję w izolacji społecznej, co byłoby wskazaniem dla antyspołecznego, socjopatycznego zachowania, jakie pani sugeruje. Przyjaźnię się z Kit Lowell.

– Słucham?

– Kit Lowell to moja przyjaciółka. Codziennie jemy razem obiad w stołówce – mówię, chociaż być może pozwalam sobie na zbyt

wyraźną dumę. No i co z tego? Dobrze wypowiedzieć to zdanie na głos, tak samo dobrze jak kopnąć Mięsnego w twarz. – Jeśli chodzi głównie o to, że nie mam przyjaciół, to mam. Kit. Może także Joségo, chociaż uważam, że fluorescencyjny aparat, który ma na zębach, to kontrowersyjny wybór.

– Przyjaźnisz się z Kit Lowell? – pyta dyrektorka.

Nawet ja rozpoznaję niedowierzenie w jej głosie.

– Owszem – odpowiadam. – A ona ze mną.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

# KIT

**P**rzez ostatnie piętnaście minut zastanawiałam się, czy zapukać do gabinetu dyrektorki. W końcu to wszystko moja wina. Gdybym nie usiadła przy stoliku Davida, Gabriel i Justin nie ukradliby mu notesu, a gdyby tego nie zrobili, drużyna futbolowa nie uznałaby go za wroga numer jeden. Poza tym David się wściekł dopiero wtedy, gdy oni wspomnieli o mnie (czy raczej o mojej dupie, jeśli już mamy trzymać się faktów). Jestem pewna, że David przerobi to na jakiś skomplikowany algorytm, ale prawda jest prosta: to ja jestem winna. Zresztą, może nie licząc zdrady mamy z Jackiem, wszystko jest moją winą.

Kiedy jednak słyszę dyrektorkę pytającą: „Przyjaźnisz się z Kit Lowell?” – takim niedowierzającym, protekcyjnym tonem, jakby sądziła, że jestem wyimaginowaną koleżanką Davida – uznaję, że nie mam wyboru, i wparowuję do środka.

– Owszem, przyjaźnię się z Davidem – oznajmiam, otwierając drzwi nieco bardziej dramatycznie, niż zamierzałam. – I to nie jego wina. Ale moja.

Dopiero gdy wypowiadam te słowa, gdy widzę, jak David, jego rodzice i dyrektorka patrzą na mnie zszokowani, zdaję sobie sprawę,

że zachowałam się karygodnie. Od razu się zastanawiam, czy to zaszkodzi mi w dostaniu się na studia. Jeszcze nigdy nie pragnęłam uciec z Mapleview tak bardzo, jak w ciągu ostatnich tygodni.

– To ciebie nie dotyczy – mówi dyrektorka.

Gdybym była inteligentna, wyszłabym z jej gabinetu. Pojechałabym do domu, spakowałabym się i przeprowadziła na Alaskę. Albo na Hawaje. Albo nawet do Paryża. No i co z tego, że nie mówię po francusku? Już nic tu dla mnie nie ma. Chyba palę za sobą wszystkie cholerne mosty. Nawet ja mam powyżej uszu swoich debilnych nastoletnich humorów. Czas się przeobrazić, porzucić dawną wersję Kit. Może nawet razem z imieniem, bo „Kit” zbyt przypomina „Kitty”, jak nazywał mnie tata. Teraz „Kit” wydaje mi się pełne podtekstów. Być może wrócę do „Katherine”. Albo wypróbuję coś nowego, „Kath” albo „Katie”. „K.”, tajemniczy inicjał.

– Chodzi o to, że to moja wina, a nie Davida – powtarzam. Wmaszerowałam do gabinetu dyrektorki i robię aferę, chociaż sprawa w ogóle mnie nie dotyczy. Jestem tylko epizodem, historyjką, którą się pomija, skupiając się na głównej treści.

– Kit, to nie twoja wina – mówi David, po czym zwraca się do dyrektorki: – Ale, jak pani widzi, rzeczywiście się przyjaźnimy, bo to, co zrobiła Kit, to kwintesencja przyjaźni. Tym razem „co my z tobą zrobimy?” nie dotyczy mojej osoby – ciągnie, robiąc znak cudzysłowu przy słowie „my”. – Radzę sobie dobrze. Zaprzyjaźniłem się. Zupełnie jak normalny człowiek. Powinna mnie pani cenić tak samo jak członków drużyny futbolowej.

– Ależ cenimy cię i nikt nie powiedział, że nie jesteś normalnym człowiekiem – odpowiada kobieta, zaprzeczając sama sobie, ponieważ rysuje w powietrzu cudzysłów, gdy mówi „normalnym człowiekiem”.

Gdyby nie to, że całe życie Davida zależy od tego spotkania, wybuchnęłabym śmiechem na tę mowę palców.

– Właśnie to pani powiedziała. Sugeruje pani, że on nie zasługuje na ochronę, którą gwarantuje pani wszystkim pozostałym uczniom, i że nie ma takiego samego prawa jak oni, by uczęszczać do tej szkoły – mówi pani Drucker, a ja po raz pierwszy przyglądam się jej uważniej.

Wygląda jak starsza wersja Lauren. Jest śliczna. Zastanawiam się, czy Davidowi bywa ciężko z tak ładną mamą – jak niekiedy mnie. Potem sobie jednak uświadamiam, że on też wygląda oszałamiająco, a poza tym w wypadku chłopaków z pewnością jest inaczej. Chociaż moja mama i pani Drucker są równie atrakcyjne, cechuje je odmienny styl. Moja mama wybiera elegancję i seksowność, obcisłe stroje, szpilki. Pani Drucker ma na sobie luźną tunikę, spłowiełe džinsy z podwiniętymi nogawkami i popielate tenisówki marki Converse. Można by ją wziąć za studentkę. Włosy zaczesła do tyłu w niedbałą kitkę – wygląda beztrosko i radośnie. W przeciwieństwie do mojej mamy pani Drucker nie stara się tak mocno, co więcej, sprawia wrażenie, jakby specjalnie się nie starała.

– Zasugerowała pani, że powinien przejść do szkoły specjalnej – ciągnie mama Davida.

– Davidowi nie jest potrzebna żadna szkoła specjalna – mówię. Staram się brzmieć spokojnie, chociaż mam ochotę krzyzczeć. Świat stanął na głowie, ale nikt tego jakoś nie zauważa.

Cała drużyna futbolowa grozi, że udusi Davida jego własnymi jądrami, i to on ma zmienić szkołę?

Mój tata zginął.

Mama żyje.

Ja też.

Ja też.

Dlaczego nie mogę się przymknąć?

– Kit, czy możesz nas zostawić? – prosi dyrektorka.

Może jednak powinnam się spakować i wyjechać do Meksyku. To

sensowniejszy wybór, ponieważ mówią tam po hiszpańsku, a ja tak jakby znam ten język, choć przypuszczam, że posługuję się nim z tym samym akcentem z New Jersey co Señora Rubenstein. Myślę, że mogłabym regularnie pić margaritę. Co prawda nigdy nie próbowałam, ale wygląda jak coś, co by mi smakowało. Mój tata po studiach mieszkał pół roku w Oaxaca, obiecał, że kiedyś mnie tam zabierze. Może powinnam sama siebie zabrać.

Pyk! i znikam. Tak jak on. Zastanawiam się, ile pociągnęłabym na karcie kredytowej mamy. Czy wystarczająco długo, by świat wrócił na dawne tory?

Nie, popełniam błąd w rozumowaniu. To nie czas jest tu problemem. Świat już nigdy nie wróci na dawne tory.

– Chciałam tylko powiedzieć, że David jest świetny i nie powinien mieć kłopotów z racji tego, co zaszło.

– Wracaj, proszę, do klasy. Poza tym nikt nie prosił cię o zdanie...

– Z całym szacunkiem, pani dyrektor, niechże da się pani dziewczynie wypowiedzieć – mówi tata Davida. Ma na sobie spodnie khaki i niebieską koszulkę polo, echo dawnego stroju swojego syna. Tylko kiedy David tak się ubierał, wyglądał jak szeregowy pracownik sklepu z elektroniką, ktoś, kogo można zapytać o najlepszy telewizor w ofercie. Jego tata prezentuje się jak kierownik.

Dyrektorka odruchowo staje w swojej obronie.

– Ja tylko próbuję zapewnić państwu prywatność – stwierdza, po czym zmienia zdanie. – Proszę, Kit.

– To nie jest wina Davida, że ukradziono mu notes, tylko moja. Przeze mnie stał się celem. A przez ten notes cała szkoła go nienawidzi. Proszę nie zrozumieć mnie źle. David nie jest normalny. – Przerywam i patrzę na niego. Uśmiecham się nieznacznie. – Przepraszam, ale to prawda. Tylko kto w ogóle jest normalny? I od kiedy normalność jest wymogiem w szkole średniej?

– Fajna dziewczyna – zauważa tata Davida, zwracając się nie wiadomo do kogo.

– Prawda? – potwierdza jego mama.

– Podobno uratowałaś sytuację – mówi do mnie Lauren vel Miney, siadając obok w McCormick's.

Nie przedstawia się. Nie musi. W końcu to Lauren Drucker. Rodzice Davida zabrali nas na burgery, żeby uczcić wspólne zwycięstwo, ale David i ja mamy wrócić na następną lekcję.

– Niezupełnie – odpowiadam.

Lauren mierzy mnie wzrokiem. Mam na sobie dżinsy, koszulę flanelową i botki do kostek, które kupiła mi mama, bo ona wybiera ciuchy lepiej ode mnie. Lauren wygląda bosko mimo ukruszonych okularów przeciwsłonecznych, które założyła na głowę, potarganej fryzury i byle jakich ubrań. Jestem zbyt onieśmielona i zakłopotana, żeby zapytać, jak osiąga taki efekt.

– Mama mówiła, że dzięki tobie David nie wyleciał ze szkoły.

– Bo ja wiem? To David dzisiaj skopał tyłki.

– Dosłownie i w przenośni – uzupełnia David.

– Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego, wyglądał jak mistrz kung-fu.

– To była głównie krav maga. Oraz kilka tradycyjnych ruchów karate.

– Ale wspierałaś go, jak słyszę – mówi Lauren, a jakaś część mnie, która jeszcze nie wyrosła ze swoich niepewności, aż się rumieni na tę pochwałę.

– Za zdrowie Kit! – mówi mama Davida i cała rodzina Druckerów wznosi toast milk shake'ami.

Później, gdy wychodzimy z restauracji, pani Drucker zatrzymuje się, żeby przywitać się ze znajomą, a David i jego tata deliberują nad tym, czy astronomowie postąpili sprawiedliwie, zabierając Plutonowi status



planety. Lauren odciąga mnie na bok.

– Jestem ci winna wielkie podziękowanie – mówi. – Za odzyskanie notesu. Za rozmowę z dyrektorką. Naprawdę. Ciężko mi teraz, kiedy nie ma mnie w szkole i nie mogę mu pomóc. To straszne, że znajduję się tak daleko, dlatego tym bardziej ci dziękuję za zajęcie mojego miejsca. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tęsknię za bratem. I za tym miastem.

– Nie musisz mi dziękować za przyjaźń z Davidem – odpowiadam. – Lubię jego towarzystwo.

Lauren mruży oczy, a potem znów otwiera je szerzej. Przez sekundę zastanawiam się, czy się rozpłaczę.

– Masz rację – odpowiada w końcu. – David to dobry człowiek. Najlepszy. I jeszcze jedna sprawa – dodaje i kładzie mi rękę na ramieniu, żeby mnie zatrzymać. Zauważam, że na nogach ma niemodne męskie futrzane śniegowce, które na niej wyglądają jak ostatni krzyk mody. Jak ona to robi? Ma w sobie magię, innego wytłumaczenia nie widzę.

– Tak?

– Ty też zapewne jesteś dobrym człowiekiem, wobec czego... Mówię to *pro forma*, ale kocham Davida nad życie, więc jeśli go w jakikolwiek sposób skrzywdzisz albo nawet p o m y ś l i s z o skrzywdzeniu, będziesz miała ze mną do czynienia. Może tu już nie mieszkam, ale i tak cię dorwę – rzuca pospiesznie szeptem, jakby była szefem mafii, co na dobrą sprawę przypomina trochę bycie królową balu absolwentów, tylko że w wersji hipsterskiej. Teraz ma suche oczy i lodowate spojrzenie. – Czy to jasne?

– Myślę, że tak.

– To dobrze. – Lauren zarzuca mi ręce na ramiona w dziwnym, na wpół przyjaznym objęciu. – Myślę, że się będziemy dobrze dogadywać.

Przysłałam na cotygodniowe spotkanie redakcyjne naszej gazety, ale

nikt nie zajmuje się artykułami, wszyscy rozmawiają tylko o jednym: o BÓJCE. Plotkują o niej tak intensywnie, że zasłużyła sobie na wielkie litery.

– Widzieliście ten chwyt z zaciśnięciem rąk na szyi? – pyta Annie. – Normalnie jak z UFC.

– Byłam pewna, że zabije Joego Mangino. Chyba z dziesięciu gości z drużyny futbolowej wyładowało w szpitalu – mówi Violet, która – chociaż jest naszą główną reporterką zajmującą się wiadomościami – nie zawsze trzyma się faktów.

– Chyba raczej Joę Manginę – żartuje pryszczaty chłopak z pierwszej klasy, którego nigdy wcześniej nie zauważyłam. Gdyby nie fakt, że Joe znajduje się na szpitalnej izbie przyjęć w bezpiecznej odległości od szkoły, tego typu żart byłby równoznaczny z samobójstwem.

– Kit, gdzie on się tego nauczył? – pyta mnie Violet.

– Nie mam pojęcia. – Słucham jej tylko jednym uchem, próbuję bowiem wymyślić sposób na przekonanie pana Galto, żeby dodał moje nazwisko do listy kandydatów na stanowisko redaktora naczelnego.

Skoro jednak nie uciekam do Meksyku, muszę dostać się na dobrą uczelnię, najlepiej na drugim końcu Stanów. Jestem pewna, że spodoba mi się w Kalifornii: słoneczne niebo, przez cały rok chłopcy w krótkich spodenkach, nauka na plaży. Wyobrażam sobie Kit z Zachodniego Wybrzeża – to dziewczyna, która wygląda bosko w bikini i okularach przeciwsłonecznych, a jej życie można podsumować jednym słowem: zabawa. Czyli stanowi ona zupełne przeciwieństwo tego, kim jestem obecnie.

„Panie Galto, proszę wziąć moją osobę pod uwagę przy wyborze redaktora naczelnego. Zdaję sobie sprawę, że ostatnio nie byłam tak niezawodna jak wcześniej i opuściłam poprzednie zebranie, ale przez dwa lata ciężko pracowałam w redakcji, więc jeśli da mi pan szansę, poprawię się” Tak, po zebraniu podejść do niego i tak właśnie mu

powiem. To człowiek podatny na błagania.

– Jeśli nie zamierzamy napisać artykułu na temat umiejętności i sprawności niejakiego Davida Druckera, a nie zamierzamy, czas wrócić do naszego spotkania – mówi pan Galto, a ja prostuję się na krześle. Przed sobą mam komputer gotowy do sporządzania notatek. Przyjmuję pozycję wzorowej uczennicy, jaką jeszcze niedawno byłam. Naprawię to. – Zaczniemy od nowego redaktora naczelnego. Proszę o werble...

Zwieszam ramiona. Spóźniłam się. Trzy lata ciężkiej pracy i lizania dupy przypadły, ponieważ nie potrafiłam wziąć się w garść i byłam zbyt zajęta swoimi myślami, żeby porozmawiać z panem Galto. Straciłam poczucie czasu.

– Gratulacje dla Violet i Annie, naszych nowych redaktorek naczelnych! – mówi, a w sali wybuchają owacje.

Violet i Annie piszczą i się ściskają, ponieważ jedyne, co może być lepszego od objęcia redakcji szkolnej gazety, jest piastowanie tego stanowiska razem z najlepszą przyjaciółką. Zmuszam się do uśmiechu, udaję, że wcale nie chce mi się płakać, że wcale nie zmarnowałam swojej szansy.

Cieszę się z ich sukcesu, naprawdę. Jednak moja strata jest podwójna: nie tylko straciłam szansę na objęcie stanowiska redaktorki naczelnej, ale jeszcze przypadkowo umocniłam swoją pozycję wyrzutka w naszej trójce. Zrobiłam coś, z czym chwilowo sobie nie poradzę.

Violet na mnie spogląda i chociaż nic nie mówi, wiem, że prosi mnie o pozwolenie na radość. Uśmiecham się szerzej, wręcz pokazuję zęby.

A kiedy Annie saltuje mi ostrożnie, odpowiadam jej tym samym.

Na płacz pozwalam sobie dopiero później, gdy wracam do domu i zamykam się w pokoju, przed mamą i całą resztą świata, gdy się zastanawiam, co tata by pomyślał o tym, że spieprzyłam kolejną rzecz. Płaczę po raz trzeci od czasu jego śmierci. Pieczęć została wreszcie zerwana.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

# DAVID

**N**agle ludzie chcą ze mną rozmawiać. Jestem tak często zatrzymywany na korytarzu, że nawet nie zakładam słuchawek. Zwisają mi z szyi – niedbale, jak naszyjnik rockmana.

- Facet, jesteś moim bogiem!
- Gościu, nie sądziłem, że masz to w sobie!
- Hejka!

Wykrzykują mi w twarz entuzjastyczne zdania, często podparte wariackimi gestami i udawanymi ciosami karate. Kilka osób przybija mi nawet piątkę, czego chyba nie można interpretować inaczej, jak tylko: „dobra robota”. Jestem w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach pewien, że żadna z tych osób nie pragnie mojej śmierci. Przynajmniej nie dzisiaj.

– Spóźniłeś się – mówi José, kiedy zjawiam się na spotkaniu Ligi. To nieprawda, przyszedłem dwadzieścia trzy sekundy przed czasem. Nie mówię mu jednak tego, tylko pokazuję komórkę zsynchronizowaną co do sekundy z uniwersalnym czasem Greenwich. – No dobrze. Ale tradycyjnie oczekujemy, że wszyscy będą na miejscu do czternastej pięćdziesiąt siedem.

- W takim razie powinniście byli mi o tym powiedzieć –

odpowiadam i przyglądam się zgromadzonym. Jest ich siedmioro, dwie dziewczyny i pięciu chłopaków, wliczając mnie i Joségo. Nie znam ich imion i nie mogę tego sprawdzić, ponieważ notes nie towarzyszy mi już w szkole. – Cenię sobie dokładność.

– Przyjąłem do wiadomości – mówi José. – Co ci się stało w twarz?

– Jak możesz nie wiedzieć? Przecież on znokautował całą drużynę futbolową. Joe Mangino, oficjalnie najgorszy człowiek na świecie, wyładował przez niego w szpitalu! – odzywa się chłopak, który z przodu ma krótkie włosy, a z tyłu długie – co, o ile pamiętam, nazywa się czeskim piłkarzem – po czym wyrzuca pięść w powietrze.

Zastanawiam się, czy nie poprawić Czeskiego Piłkarza, ponieważ zapewne istnieją znacznie gorsi ludzie od Mięsnego – na przykład członkowie tak zwanego Państwa Islamskiego czy nawet Justin – ale przypominam sobie, że poprawianie innych jest niegrzeczne. Z drugiej strony to Liga Akademicka, można by założyć, że zależy im na trzymaniu się faktów.

– W pierwszej klasie codziennie płakałem z powodu Joego – przyznaje José.

– Drucker, ty cholerny bohaterze, poznaj nasz zespół – mówi Czeski Piłkarz, rozpościerając ramiona.

Dziewczyna z żółtymi kitkami i w świetnej koszulce z napisem: „*Don't trust atoms; they make everything up*”<sup>[3]</sup> uśmiecha się do mnie i wyciąga rękę. Zakładam, że chce się ze mną przywitać, więc ściskam jej dłoń. Ma chłodne, miękkie palce. Przeglądam umysł w poszukiwaniu jej imienia, ale przychodzi mi na myśl wyłącznie „dziewczyna na wózku”. Uznaję, że może zajmować drugie miejsce w szkole pod względem urody, chociaż jeszcze jest za wcześnie, by to potwierdzić. Na razie z nią nie rozmawiałem. Poza tym ta koszulka jest trochę za mała. Nie mamy razem żadnych zajęć, przypuszczam, że chodzi do czwartej klasy.

– Jestem Chloe. W imieniu nas wszystkich, którzy przez lata cierpieliśmy z racji nieustannych wyzwisk ze strony tych chłopaków oraz ze względu na wszystkie rzesiste łzy Joségo, chciałabym cię powitać i ci podziękować – mówi Chloe i robi piruet na wózku dla podkreślenia swoich słów.

– Nie ma za co – odpowiadam, zastanawiając się, czy to flirt.

Czy moje zdolności do przekomarzania się wykraczają poza znajomość z Kit? Prawdopodobnie nie, ale co mi szkodzi spróbować, jak mawia moja mama.

– No dobra, Drucker. Oczekujemy, że w przyszłym tygodniu skopiesz dla nas tyłki ludziom z Ridgefield Tech. Cała drużyna składa się z Azjatów, więc są świetni – mówi Czeski Piłkarz.

– To była rasistowska uwaga – stwierdzam.

– Ale sam jestem Azjata, więc mi wolno. Moja rasa jest zajebista w te klocki.

Nie odpowiadam, ponieważ nie wiem, czy bycie Azjata usprawiedliwia rasistowskie uwagi pod adresem innych osób o takim pochodzeniu. Nie mam pojęcia, jak to rozstrzygnąć.

– Powiedz nam wszystko, co wiesz o mechanice kwantowej – rzuca José, a mój organizm – tak samo jak wówczas, gdy powaliłem Mięsnego – aż wzdycha z zadowolenia.

– Gdzie się podziewałeś? – pyta Trey z szerokim, niepasującym do pytania uśmiechem.

Właśnie podjechałem pod dom i jak się okazuje, on czeka na mnie pod drzwiami. Na kolanach trzyma gitarę, na stopach ma jak zwykle japonki, chociaż zakładam, że jest na zewnątrz przez co najmniej siedemnaście minut. Nie lubię patrzeć na jego gołe palce i kępki włosów, które je porastają.

– O nie! Zapomniałem o naszej lekcji! – mówię załamany. Nigdy nie zapominam o wcześniej ustalonych wydarzeniach, jednak spotkanie Ligi

ewoluowało do debaty na temat istnienia wieloświatów oraz mechaniki kontinuum czasoprzestrzennego, a ja najwidoczniej zatraciłem się w rozmowie. Chloe jest zaskakująco odczytana, jeśli chodzi o świat kwantowy, i jej wiedza niemal dorównuje mojej. Czeski Piłkarz jest ekspertem w dziedzinie matematyki teoretycznej, a José to geniusz historii. Całe to spotkanie okazało się pobudzające w pozytywny sposób, nie tak jak włosy Jessiki czy perfumy Abby. – Przepraszam.

– Naprawdę zapomniałeś? – pyta Trey, wchodząc za mną do środka. Idziemy na górę, do mojego pokoju, bo tam zawsze ćwiczmy. – To cudownie!

– Dzisiaj był szczególny dzień – mówię.

Jestem zdruzgotany. Jak mogłem zapomnieć o lekcji? I dlaczego Trey uważa, że to dobrze? Przecież podstawą wszystkiego jest rutyna. To właśnie dlatego dzisiaj, jak w każdy wtorek, jest wieczór makaronowy, i to z tego samego powodu, wbrew temu, co twierdzi moja mama, risotto się nie liczy (choć miałyby rację, gdybyśmy ustalili, że jest to wieczór włoski).

– Twoja siostra napisała mi o bójce. Wszystko w porządku? – pyta, pokazując na własny nos, który jest zdecydowanie mniej siny i spuchnięty niż mój.

– Tak.

– Słyszałem, że przyłączyłeś się do Ligi Akademickiej. Bosko!

– Rozumiem, że będziemy musieli zapłacić ci za pełną godzinę, chociaż lekcja będzie krótka, więc lepiej od razu zaczynamy. – Gram kilka akordów na znak, że chciałbym rozpocząć zajęcia – na wypadek, gdyby moja uwaga okazała się zbyt subtelna i niezrozumiała.

– Nie ma pośpiechu. Najpierw chwilę pogadajmy. – Trey odkłada gitarę na podłogę, jakby nie były nam potrzebne instrumenty. – Możemy posiedzieć dłużej niż godzinę.

– Czy mama będzie musiała zapłacić więcej?

– Tym się nie przejmuj.

– Nie przejmuję się. Ustalam fakty.

– Nie. Nie będziecie płacili więcej – odpowiada Trey, a potem nadyma policzki i wypuszcza powietrze, dokładnie tak, jak to robi Miney. Trey obraca się, by na mnie spojrzeć – siedzi na moim obrotowym krześle, a ja na łóżku – i zmusza mnie do nawiązania kontaktu wzrokowego. To jego technika, która nieuchronnie poprzedza niewygodne dla mnie pytanie.

– David, dlaczego nie zapytasz, co u mnie?

Uff, czuję wielką ulgę. To łatwe pytanie. Już sądziłem, że znów poruszy temat występów. Mimo ostatnich nietypowych dla mnie zachowań, jak kontakty z Kit, bójka z drużyną futbolową czy przystąpienie do Ligi Akademickiej, wejście na scenę z gitarą i wystąpienie przed I u d ż m i jest po prostu wykluczone. Wszystko ma swoje granice.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Ponieważ uprzejmię jest od czasu do czasu o to zapytać.

– Mamy zaledwie sześćdziesiąt minut tygodniowo na naukę gry na gitarze, wolałbym nie marnować tego czasu.

– No przestań. Pracujemy razem od niemal dziesięciu miesięcy, a ty prawie nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz, czy mam rodzeństwo, co studiuje. Gdzie mieszkam. Ile mam lat. Nie jesteś ciekawy?

– Nie bardzo.

Założyłem, że to jednak, bo jego nieustanna paplanina wskazuje na brak towarzystwa. Mama mówiła, że jest na czwartym roku, czyli ma około dwudziestu jeden lat. A jeśli chodzi o studia, pasują do niego kierunki humanistyczne. Stawiam na historię sztuki albo literaturę porównawczą.

– Ludzie lubią takie rozmowy, mają wtedy poczucie, że jesteś nimi zainteresowany – mówi Trey.



– Co studiujesz? – pytam, ponieważ cenię sobie skuteczność i nie lubię ranić ludzi. A poza tym teraz, kiedy to zasugerował, ogarnęła mnie ciekawość. Może jednak myliłem się co do jego osoby? Z pewnością nie zdarzyłoby się to po raz pierwszy.

– Dwa kierunki: matematykę i psychologię – ostatnie słowo wypowiada dobitnie. Gdybym miał zapisywać rozmowę, musiałbym użyć wielkich liter: „Matematykę i PSYCHOLOGIĘ”

Moją uwagę odwraca jednak jego naga szyja. Po raz pierwszy Trey nie założył swojego naszyjnika z muszli, a jego brak – i w konsekwencji błada przestrzeń szyi, kolejne odstępstwo od naszych zwyczajów – przynoszą falę przygnębienia i beznadziei. Chciałbym się rozpłakać albo przynajmniej położyć w ciemnym pokoju, do czego nie ma sprzyjających warunków, zważywszy na to, że właśnie zaczyna się moja cotygodniowa lekcja gry na gitarze.

Może kupię mu szalik na Gwiazdkę. Zakryje szyję, zaskakująco bezwłosą, gdy się ją porówna z palcami jego stóp.

– Matematyki bym nie zgadł, ale skoro studiujesz psychologię, przypuszczam, że ty też lubisz czytać *DSM* – stwierdzam, a w moim umyśle rodzi się nagle pewna myśl, jak wtedy, gdy zagłębiam się w skomplikowane algorytmy. Coś jak klocki Lego układane jeden na drugim, aż w końcu wyłania się z nich rozpoznawalny kształt. Albo jak puentylizm.

Mija fala depresji, na jej miejsce pojawia się absolutna pewność.

Chociaż raz coś rozumiem. Dziesięć miesięcy za późno, ale jednak.

– Nie jesteś nauczycielem gry na gitarze, prawda? – upewniam się.

– To znaczy?

– Mój tata powiedział dyrektorze, pani Hoch, że mam terapeutę. To o ciebie chodziło, zgadza się?

– Nasza wspólna praca jest wielowymiarowa – odpowiada Trey. Podnosi gitarę i zaczyna brzdąkać. – Owszem, uczę cię grać, ale

jednocześnie mam nadzieję nauczyć cię innych rzeczy.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Czuję się idiotycznie. – Dlaczego przez całe życie dostrzegam tylko fragmenty obrazu, podczas gdy wszyscy inni widzą zawsze całość? Jakbym miał ustawione w głowie wielkie powiększenie. – Szkoda, że mi nie powiedziałeś. Nie unikałbym rozmów.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Gry na gitarze mogę się zapewne nauczyć z YouTube'a, ale nie ma tam nic o tym, jak należy rozmawiać z rówieśnikami w szkole średniej. Wierz mi, sprawdziłem.

– No dobrze. – Trey odkłada instrument i patrzy na mnie.

– To masz rodzeństwo? – pytam.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

# KIT

**K**ochanie, otwórz! – Budzi mnie łomot do drzwi, głośny, natarczywy. Policzek mam mokry od śliny i łez, powieki wydają się opuchnięte i ciężkie. Najwyraźniej zasnęłam w środku załamania nerwowego. Wstyd mi za to, co ostatnio doprowadza mnie do płaczu: bzdury zamiast poważnych spraw.

Nie żeby to było marzenie mojego życia, w końcu mówimy o „Mapleview High Bugle”. Nie zostałam redaktorką naczelną, i co z tego? Kogo to obchodzi? Nawet niespecjalnie entuzjastycznie podchodziłam do kwestii gazety. Nie jestem Davidem, którego pochłania wszystko, co choć trochę go zainteresuje, i do późna w nocy studiuje podręczniki na poziomie akademickim. W dalszym ciągu nie wiem, kim chcę zostać. To miało być tylko wypełnienie podania na studia, nic więcej.

– Daj mi spokój! – wrzeszczę. Głos mi drży, pobrzmiewa w nim smutek. Teraz, kiedy mama wyczuje mój słabszy dzień, z pewnością przypuści atak. Dlatego właśnie przydałoby mi się rodzeństwo: ktoś, kto skupiłby na sobie jej uwagę.

– Wchodzę – mówi i otwiera drzwi za pomocą zapasowego klucza,

o którego istnieniu nawet nie wiedziałam.

Podobnie jak moja szczęśliwa rodzina, także i prywatność okazuje się iluzją. Zastanawiam się, co jeszcze jest kłamstwem.

Nie podnoszę głowy, nie dam jej satysfakcji i nie pokażę się w takim stanie. Lepiej, by uważała, że jestem wściekła. Że jej nienawidzę. Żałosna wersja mnie sprawia wrażenie, jakbym robiła jej miejsce, żeby z powrotem wkręciła się do mojego życia. Chciałabym krzyknąć: „Nie płaczę z twojego powodu!”, ale nie czuję się na siłach.

– Musimy porozmawiać – mówi mama i siada na łóżku. A przy okazji na moich stopach.

– Auu! – Wcale nie boli, ale nie mam ochoty na dojrzałe zachowanie.

– Rozumiem, że jesteś na mnie zła – zaczyna mama i zsuwa się z moich nóg. – I masz do tego prawo. Ale i tak powinnaś mnie wysłuchać.

– Nie.

– Kit.

– Nie.

– Nie bądź upartym dzieckiem – rzuca i, nie wiedzieć czemu, coś we mnie pęka na te słowa.

Mam dość udawania, że jestem dorosła. Grania fajnej laski. Nagle aż płonę z wściekłości. Podejrzewam, że tak właśnie czuł się David, kiedy ruszył do ataku na drużynę futbolową. Chyba też powinnam nauczyć się krav magi.

– Ty tak poważnie? Jestem dzieckiem? To nie ja spałam z najlepszym przyjacielem swojego męża! Jesteś oszustką i kłamczuchą!

– Skarbie, proszę – mówi pojednawczo i rozpościera ramiona, jakbym miała cztery latka i potrzebowała maminego przytulenia, żeby poczuć się lepiej. Jakby moje słowa odbiły się od ściany.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, co zrobiłaś tacie? Chciał się z tobą rozwieść. Zamierzał rozbić naszą rodzinę. Tak bardzo go skrzywdziłaś! –

krzyczę ile sił w płucach, tak głośno, że nasi sąsiedzi, Jacksonowie, z pewnością mnie słyszą mimo zamkniętych okien. Mam to w nosie. Moje słowa muszą do niej dotrzeć. – A to wszystko dlatego, że jesteś wielką zdzirą!

– Kit!

– Przestań wypowiadać moje imię! Nie masz do tego prawa! Nie masz prawa do niczego!

– Kit! – woła mama ponownie, ale ja już jej nie słyszę. Mój gniew jest zbyt głośny, huczy jak zakłócenia w radiu. Biały szum.

– Żałuję, że to nie ty umarłaś zamiast taty. To nie fair – mówię, a potem zwijam się w pozycji embrionalnej i płaczę, ponieważ powiedziałam najstraszniejszą rzecz, jaką córka może powiedzieć matce. I chociaż widziałam wyraźnie, że moje słowa uderzyły w jej niewzruszoną twarz z siłą pięści – aż się wzdrygnęła – to jednak nie czuję satysfakcji. Co więcej, ledwo te słowa wydostają się z moich ust, a ja zdaję sobie sprawę, że nie ma w nich prawdy. Kochałam tatę, może nawet bardziej niż mamę, ale mimo wszystko – i wbrew sobie – to jej bardziej potrzebuję. Zawsze tak było.

Mama zakrywa usta dłonią, jakby próbowała powstrzymać niemy krzyk. Jest poszarzała, tak blada, że jej cera niemal przypomina moją. Nagle, ni z tego, ni z owego, zupełnie się rozsypuje.

– O mój Boże! – mówi i zaczyna spazmatycznie szlochać. – O mój Boże, masz rację. To nie fair. Jego naprawdę nie ma. Umarł, nie wiedząc, jak bardzo go kocham – i zawsze kochałam.

– Mamo – szepczę, ale nie ruszam się, żeby ją pocieszyć. Prostuję ciało, siadam i podciągam kolana pod brodę, choć nadal czuję się zwinięta w kłębek.

– Rozumiem, dlaczego chcesz mnie ukarać, i wiem, że sobie na to wszystko zasłużyłam. Ale nie jesteś w stanie sprawić mi większego bólu niż ten, który czuję. To był mój mąż, ojciec mojego dziecka, spędziliśmy

ze sobą całe moje dorosłe życie. Nie mam nawet pojęcia, kim jestem bez niego – mówi i chwyta się za serce. – Umarła miłość mojego życia – u m a r ł a, Kit – i to w jedynym momencie w ciągu tych dwudziestu sześciu wspólnych lat, kiedy on we mnie zwątpił.

Mama po raz pierwszy wypowiada to proste słowo – u m r z e ć. Chociaż to, chociaż coś z tego, co mówi, jest prawdziwe.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pytam i znów role się odwracają. To ja brzmię jak osoba dorosła. – Tylko nie mów, że czułaś się samotna. Chcę wiedzieć, dlaczego byłaś gotowa wszystko poświęcić.

Mama wzdycha, zamyka oczy, po czym otwiera je ponownie, jakby brała się w garść.

– Rzeczywiście czułam się samotna. Taka jest prawda, a przynajmniej jej część. Tata miał swoje książki, praktykę dentystyczną i ciebie. To nie był typ człowieka, który mówiłby mi: „Kochanie, ślicznie wyglądasz”. Bardzo rzadko wyznawał miłość, to po prostu nie leżało w jego naturze. Wiedziałam o tym, gdy za niego wychodziłam, i początkowo nawet nie było mi to potrzebne. Wtedy byłam zadowolona, nie tylko ze swojego wyglądu, ale także z innych rzeczy – z małżeństwa, z ciebie, z pracy. Przez lata wszystko się pięknie układało. Wydawało mi się, że gdybym oczekiwała czegokolwiek więcej, to byłoby zbyt zachłanne, zbyt... amerykańskie. Ale któregoś dnia spojrzałam w lustro, zobaczyłam czterdziestopięcioletnią kobietę i nagle uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktokolwiek, łącznie z twoim tatą, zwrócił na mnie uwagę. Tak naprawdę. Poczułam się... niedoceniona. Niewidzialna. Jesteś zbyt młoda, żeby wiedzieć, jakie to uczucie. W twoim wieku człowiek codziennie ma wrażenie, że znajduje się na środku sceny.

Oczywiście, mogłam się spodziewać, że moja mama tak właśnie postrzega życie szesnastolatków. Zapewne w szkole średniej była hinduską boginią o nieskazitelnej cerze pośród przyszczatych białych

dziewczyn. Była jak Lauren Drucker, a nie Kit Lowell.

– Rozmawiałam z tatą o swoich odczuciach, ale je zbagatelizował, kazał mi zrobić sobie pasemka albo pomalować paznokcie, co zabrzmiało bardzo protekcyjnie. Uważał, że robię problem z niczego. Że wszystko jest dobrze, także między nami. Że w każdym małżeństwie dochodzi do pewnych zmian. W ogóle mnie nie słuchał. Ale ja się bałam, że to nie jest chwilowe uśpienie, ale permanentny zwrot. A przecież wiek średni to jeszcze nie koniec, prawda?

Milczę. Wiek średni wydaje mi się oddalony o lata świetlne.

– Jack był załamany rozwodem, tata uznał, że powinien spędzać z nami więcej czasu, żebyśmy poprawili mu nastrój. Dużo rozmawialiśmy ze sobą i wtedy ja też się z nim zaprzyjaźniłam. Był mi potrzebny przyjaciel. Życie bywa takie samotne, nie masz nawet pojęcia.

Mam ochotę jej powiedzieć, żeby oszczędziła sobie tego protekcyjnego tonu, ale jestem zbyt zmęczona, żeby się odezwać. Mój gniew przerodził się w coś gorzkiego. Nagle nie wiem, po co właściwie prosiłam mamę o wyjaśnienia. Nie chcę słuchać o jej samotności. O tajemnicach dorosłego życia. Nie chcę tego wiedzieć. Pragnę, żeby zamilkła, ale ona mówi dalej.

– Któregoś wieczoru, kiedy tata pojechał na zjazd stomatologiczny do Pittsburgha, a ty nocowałaś u Annie, zjadłam z Jackiem kolację i się upiliśmy. Nie wiem, przez chwilę chyba postawiłam twojego ojca na równi ze swoimi rodzicami. Ogarnęła mnie taka idiotyczna, niemal nastoletnia potrzeba buntu, wstrząsu, bez względu na konsekwencje. Popełniłam błąd. Raz. Ale wiem, któreś z nas powinno było powiedzieć „nie”. Ja powinnam była to zrobić.

– To nie był błąd, ale zdrada – mówię, odnajdując głos. – Zdradziłaś nie tylko tatę, ale i mnie. Naszą trzyosobową rodzinę. A twoje wytłumaczenia nie cofną tego, co się stało. Wielu ludziom doskwiera samotność, może nawet wszystkim. A jednak nie...

– Wiem. I to nie jest wymówka. Upiliśmy się, myśleliśmy... nie, nie myśleliśmy. Po prostu to zrobiliśmy. Od razu tego żałowaliśmy, a ja przyznałam się tacie. Musiałam mu powiedzieć, bo zawsze wszystko mu mówiłam. Wtedy on wystąpił o rozwód. Od razu, jeszcze zanim zdołałam się wytłumaczyć.

Potrzebuję chwili, żeby sobie to wszystko poustawić od nowa w głowie. W poprzedniej wersji wydarzeń mój tata wrócił któregoś dnia wcześniej z pracy i nakrył mamę z Jackiem w łóżku. Wyobrażałam sobie łązy, pięści, dramat rodem z opery mydlanej. W poprzedniej wersji był to długotrwały romans, a nie pojedynczy pijacki wybryk. W tamtej wersji nie było mowy o wyrzutach sumienia i przyznaniu się do winy. W grę wchodziło za to straszne, potworne słowo: „miłość”

– Jesteś za młoda, żeby cokolwiek z tego zrozumieć. Moje małe dziecko. Zbyt wcześnie straciłaś ojca, i do tego w tak okrutny sposób. Nie powinnaś się dowiedzieć o moim idiotycznym kryzysie wieku średniego. Jesteś na to wszystko za młoda. Chciałabym rzucić ci się na ratunek. Zatrzymać to wszystko, co się dzieje w twoim życiu. Ale nie mogę, po prostu nie mogę. – Mama wyciera oczy. – Wiem, że mnie osądzasz i może nawet nienawidzisz. Masz do tego prawo. Ale kocham cię bez względu na wszystko. Byłam głupia, egoistyczna i któregoś dnia, gdy będziesz starsza, może mnie zrozumiesz – wydaje mi się, że tata zaczynał to sobie uświadamiać – ale w tym momencie nie mogę cię prosić o zrozumienie. Mogę jedynie błagać o wybaczenie.

Mama unosi moją brodę, teraz patrzę jej prosto w oczy. Obie mamy mokre od łez twarze, nasze ciała drżą od tłumionej w sobie rozpacz, wściekłości i żalu. Mama się nie myli, rzeczywiście ją osądzam. I nienawidzę za to, co zrobiła. Ale poza tym ją kocham i nie wiem, jak to wszystko ze sobą pogodzić.

– Wiesz, co mnie najbardziej zasmuca? Że nie mogę cię już chronić. Nie mogę ci w tym pomóc.



– Nie potrzebuję ochrony – mówię. Nie mówię: „wybaczam ci”. Nie mówię: „kocham cię”. Powtarzam tylko: – Nie potrzebuję ochrony.

Problem polega na tym, że to kolejne kłamstwo, jak wszystko inne. Obie zdajemy sobie z tego sprawę.

Później mam kaca od płaczu. Boli mnie głowa, oczy są czerwone i zapuchnięte, a mój żołądek wywrócony na drugą stronę. Zamknęłam drzwi i podstawiłam krzesło pod klamkę, żeby mama nie mogła tu wparować ze swoim tajnym kluczem. Teraz biorę głęboki oddech i postanawiam, że jeśli chcę utrzymać przy sobie przyjaciółki – a chcę – muszę wyciągnąć do nich rękę. Piszę krótką wiadomość.

*Ja:* Gratuluję, laski. Naprawdę. Powinnam była zrobić to wcześniej.

*Violet:* Ty też zasługiwałaś na ten tytuł, ale dzięki.

*Annie:* Thx, Kit.

*Violet:* Ale zostaniesz w redakcji?

*Ja:* Pewnie.

*Violet:* To dobrze. Słuchaj, w piątek impreza. Dylan. Co Ty na to?

*Annie:* Zgódź się, pliss!

*Ja:* U Dylan czy Dylana?

*Annie:* Co to za pytanie?

*Ja:* OK.

*Annie:* Przyrowadź swojego chłopaka.

*Ja:* David nie jest moim chłopakiem.

*Violet:* To powinien nim zostać. To był seksowny pogrom drużyny futbolowej. #fankadauida

*Annie:* PRZYPROWADŹ GO!

*Ja:* Nie wiem, czy będzie chciał przyjść.

*Annie:* Po raz enty mówię: PRZYPROWADŹ GO.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

# DAVID

**W** środę rano o 7:57 moja droga i droga Kit krzyżują się przy wejściu do szkoły. Kit się do mnie uśmiecha i wykonuje gest mówiący: „Zdejmij słuchawki”, co też czynię. Jestem pewien, że jeśli zostawię włączoną muzykę i będziemy rozmawiać, jednocześnie idąc, powinienem wejść w zakręt równo ze zmianą utworu.

- Twoja twarz wygląda lepiej – mówi, krzywiąc się. – Boli jeszcze?
- Niezbyt mocno.

Mam podbite prawe oko i opuchnięte wargi, ale mój nos wrócił do swoich normalnych rozmiarów. Pod prysznicem zauważyłem niewielkie siniaki na torsie i jestem niemal pewien, że stracę lewy kciuk. Mięśny ma podobno gips w dwóch miejscach i cały sezon przesiedzi na trybunach. Nie narzekam. Od wczoraj nie otrzymałem ani jednego esemesa z pogroźkami. Chwilowo moi rówieśnicy zgadzają się na to, żebym żył.

- Więc w piątek wieczorem jest taka impreza – mówi Kit.
- Przypuszczam, że w piątek wieczorem jest wiele imprez – odpowiadam, co w myślach brzmiało znacznie lepiej niż wypowiedziane na głos.

– Tę konkretną robi Dylan, to szkolna impreza.

– Dylan chłopak czy Dylan dziewczyna?

Kit uśmiecha się do siebie, nie mam pojęcia, co ją rozbawiło.

– Dziewczyna.

– Rozumiem.

Wydaje mi się, że dziewczyna Dylan ma rude włosy, które z boku są dość krótkie, a potem wydłużają się ku plecom. Niesamowicie geometryczna fryzura.

– To ta z pomarańczową trójkątną głową?

– Chyba. Zastanawiałam się, czy nie masz ochoty się wybrać.

– Z tobą? Na szkolną imprezę?

– Tak. Ze mną. Na imprezę. Chociaż zaczynam właśnie żałować, że cię zapytałam, bo strasznie komplikujesz to, co już i tak jest niezręczne.

– Z wielką przyjemnością pójdę z tobą na imprezę do dziewczyny Dylan – odpowiadam pospiesznie, zanim cofnie zaproszenie. Gdybym nie wiedział, że to niewłaściwe, zatańczyłbym tu, przy wejściu do szkoły. Wreszcie rozumiem to wyrzucanie pięści w górę przez Miney. Dodałbym do tego jeszcze okręcanie lassem.

– Okej – mówi Kit.

– Okej – odpowiadam, próbując zachować neutralny wyraz twarzy. Bezskutecznie. Uśmiecham się tak szeroko, że mnie bolą wargi. Zakładam słuchawki i mijam zakręt w momencie, w którym rozbrzmiewają pierwsze takty trzeciego utworu. Ten dzień zaczął się naprawdę dobrze.

Znów jestem w centrum handlowym, na zakupach przed piątkowym wieczorem. Miney uznała, że to konieczność, choć nie rozumiem, dlaczego nie mogę włożyć któregoś ze strojów zakupionych w zeszłym tygodniu. Zmieniam odzież według wspólnie ustalonego harmonogramu, pozwalającego mi na maksymalną powtarzalność, a mamie na wstawianie prania dwa razy w tygodniu. Na samą myśl,

że miałbym przyzwyczajać się do kolejnych ubrań, całe ciało mnie swędzi.

– Czy na imprezie będzie hałas? – pytam siostrę, która jest regularną bywalczynią imprez, a więc ekspertką w tej kwestii. Pytam głośno, ponieważ tutaj też panuje hałas. Mijamy właśnie część restauracyjną, najgorszą w całym centrum. Zbyt wiele pomieszanych zapachów, płaczących dzieci oraz osób przeciskających się z niewyobrażalną liczbą siatek z zakupami.

– Taaa.

– Rozpraszający?

– Dla ciebie pewnie tak. Ale nie ma mowy, żebyś wziął ze sobą słuchawki.

– A co z zapachami? Czy wiele osób będzie wymiotować? – Praktycznie w każdej scenie imprezowej w filmach młodzieżowych główna bohaterka przesadza z alkoholem i wymiotuje na kolana swojego obiektu miłości. Bardzo lubię Kit, ale może jednak nie aż tak bardzo.

– Nie. To znaczy czasem się zdarza, zwykle późno w nocy. Nic ci nie będzie.

– To podaj mi konkretną liczbę. Jak sądzisz, jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś zwymiotuje na mnie lub obok mnie na piątkowej imprezie? – pytam, gdy wchodzimy do atrium – tej części centrum handlowego, która zamiast sufitu ma szklaną kopułę i gdzie stoi fortepian. To zupełne przeciwieństwo części restauracyjnej – jest otwarta, pusta i stanowi jedyne miejsce w całym kompleksie, które toleruję. Muzyka nie jest zła – owszem, istnieje powód, dla którego pianista gra przed wejściem do Nordstrom, a nie w Carnegie Hall, ale można go posłuchać.

– Dwa przecinek cztery procent – odpowiada moja siostra z niepodobną do siebie precyzją.

Nie pytam, w jaki sposób doszła do tej wartości, ale zakładając, że od pięciu lat chodzi co najmniej na jedną imprezę tygodniowo, musiała wymiotować około sześciu razy.

– To znośna liczba – mówię.

– Dasz radę, Mały D.

– A co, jeśli przyjdzie drużyna futbolowa?

– Przypuszczam, że będą się przed tobą chować, bo jesteś teraz absolutnym mistrzem UFC.

– W UFC nie przestrzegają zasad, a ja się do nich stosuję. Walczę z honorem.

– Okej.

– Czy mogłabyś poinstruować mnie, jak należy tańczyć?

– Słucham?

– Potrzebuję instrukcji do tańca. Jak mam ruszać ciałem w rytm muzyki w obecności innych osób? Powiedz mi to krok po kroku.

– Chyba sobie żartujesz. Nie istnieje coś takiego jak instrukcja do tańca. To nie składanie mebli z Ikei.

– Pomóż mi, proszę.

– Po pierwsze, nie t a k i e j muzyki możesz się spodziewać. – Miney pokazuje ręką na pianistę, który jest łysy i brodaty, co zawsze uważałem za zaskakującą kombinację. Można by oczekiwać spójności włosów czaszkowych i żuchwowych.

– Nie będzie *Bolera* Ravela. Zrozumiałem.

– Nie będzie muzyki klasycznej. Koniec, kropka. Prawdopodobnie puszcza gówna lecące w radiu.

– W takim razie modyfikuję prośbę. Potrzebuję instrukcji do tańca w rytm hałasu.

– Po prostu poruszasz ciałem do rytmu. Musisz poczuć muzykę. – Miney unosi ręce i kołysze się do niesłyszalnych dźwięków. Zamyka oczy, staje na palcach i podskakuje. Mniej więcej po dziewięćdziesięciu

sekundach zatrzymuje się i patrzy na mnie. – Teraz twoja kolej.

– Nie sędzę – mówię, ale ona nie odpowiada. Czeka.

– No dobrze. – Naśladuję jej ruchy, podskakuję w górę i w dół. Chociaż właściwie w dół nie podskakuję, to nielogiczne. Pozwalam, by wyręczyła mnie grawitacja. Moje tenisówki skrzypią na marmurowej posadzce. Dysonans.

– Nie tak. Wyglądasz, jakbyś miał drgawki. Potraktuj taniec jak rozmowę, ale nie z drugą osobą, tylko z muzyką. To sama intuicja, instynkt.

– Jasne. Ponieważ jestem dobry w tych trzech rzeczach: intuicji, instynkcie oraz rozmowach.

– Muszę powiedzieć, że z sarkazmem ci do twarzy, braciszku. Ale mówiąc poważnie, poradzisz sobie. Tak samo jak w rozmowie z Kit, daj jej się poprowadzić. Szukaj wskazówek. Jeśli piosenka jest szybka, poruszaj się szybciej. Jeśli jest wolna, ruszaj się pomału, bardziej intymnie. Może u ciebie nie będzie chodziło o instynkt.

– A o co?

– Jesteś dobry w zauważaniu szczegółów, prawda? Drobiazgów? I potrafisz słuchać. Tak naprawdę słuchać, nie jak inni. Może wykorzystaj swoje umiejętności. Zrób to na swój sposób.

– To, co mówisz, nie ma sensu. Mam tańczyć na swój sposób? Przecież ja nie mam swojego sposobu.

– Masz. Każdy ma.

Doszliśmy do środka atrium, przez szklaną kopułę praży słońce. Jest za gorąco, nagle mam wrażenie, że Ravel jest zbyt agresywny jak na centrum handlowe. Zastanawiam się nad liczbami, analizuję koszty i korzyści potencjalnego upokorzenia, jeśli zdecyduję się zatańczyć na tej piątkowej imprezie. Matematyka wydaje mi się teraz nieprzyjemnie chaotyczna, jakbym chciał, żeby liczby przyniosły ukojenie.

– To może być twoja szansa. Powiedzmy, że tańczysz z Kit, pochylasz

się nad nią i pyk, całujecie się.

– Uważasz, że to może być moja jedyna i niepowtarzalna okazja na pocałowanie Kit Lowell? A jeśli tak, jakie twoim zdaniem jest prawdopodobieństwo tego zdarzenia? – pytam.

– Owszem, uważam. Myślę, że prawdopodobieństwo wynosi dwa przecinek cztery procent.

– Chcesz powiedzieć, że w piątkowy wieczór mam identyczne szanse na to, że pocałuję Kit i że ktoś na mnie zwymiotuje?

– Witaj w szkole średniej, braciszku – mówi Miney.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

# KIT

Ślicznie wyglądasz. – David szepcze mi prosto do ucha, tak blisko, że aż przeszywa mnie dreszcz.

Plecami opieram się o głośnik, z którego grzmi gówniana muzyka, zarzucam włosy, biorąc przykład z Jessiki: na prawo, potem na lewo i znów na prawo. Od razu tego żałuję, ponieważ moje włosy nie spływają elegancko, tylko się kręcą. Mam na sobie obcisłą czerwoną sukienkę mamy i jej najdroższe szpilki, w ręku trzymam butelkę jakiejś wyszukanej skandynawskiej wódki – w efekcie czego czuję się, jakbym miała na sobie kostium na Halloween. Przebrana za dorosłą kobietę na cocktail party. Zabrałam – no dobra, ukradłam – to wszystko bez pytania, chociaż jestem pewna, że mama z radością pożyczyłaby mi swoje ciuchy. Z alkoholem zapewne nie byłoby tak łatwo. To jednak oznaczałoby konieczność rozmowy, a ja jeszcze nie jestem na nią gotowa. Milczenie między nami stało się jednak bardziej elastyczne, delikatne. Przypuszczam, że obie wybieramy ciszę w ramach samoobrony. Jesteśmy zbyt pokancerowane, nie ma w nas miejsca na słowa.

Obiad w dalszym ciągu jem sama zamknięta w swoim pokoju.



Nadal Kocham-nienawidzę swojej mamy.

Na imprezie panuje zbyt wielki tłok – przyszła połowa szkoły, a nawet kilku gości, którzy skończyli ją w zeszłym roku i studiują w miejscowym college’u. Ludzie tańczą wszędzie tam, gdzie znajdą wolny skrawek – na sofach, stołach. Odbijają się od siebie, jakby to był dziki koncert, a nie salon w domu rodziców Dylan. Gabriel i Willow praktycznie zjadają się nawzajem na środku prowizorycznego parkietu – to ten rodzaj całowania, który budzi powszechną odrazę.

Abby i Jessica chichoczą z boku. Sądząc po ich przekrwionych oczach i zjadanych wspólnie chipsach, są pod wpływem. Żadna z nich nie dałaby się na trzeźwo przyłapać na jedzeniu czegoś takiego. Wróc, żadna z nich nie dałaby się przyłapać na jedzeniu czegokolwiek!

– Dzięki – odpowiadam. Mam nadzieję, że nie zauważy, iż się zaczerwieniłam. Kiedy mama postanawia obdarzyć mnie komplementem, niemal zawsze sugeruje jakąś poprawkę („Może włożysz inną bluzkę, Kit? Żółty kolor nie pasuje do twojej karnacji”) i dopiero gdy ją uwzględnię, stwierdza, że wyglądam „ładnie”. „Ślicznie” to spory awans.

– Za głośno tutaj – mówi David do mojego ucha.

Chciałabym, żeby mówił dalej, bo to bardzo miłe: to, jak się do mnie przytula, jak łaskocze mnie w ucho oddechem. Oczywiście ma rację. Jest o wiele za głośno. Nie wiem, po co chodzę na imprezy. Przecież wcale nie mam ochoty gadać z tymi ludźmi, a już – broń Boże! – tańczyć. Byłoby nam lepiej z Davidem, gdybyśmy poszli do McCormick’s na burgera i milk shake’a.

Prowadzę Davida za rękę, mijamy Justina, który bawi się w didżeja, zostawiamy za sobą tłum i hałas, po czym wchodzimy do kuchni. Jeśli w salonie panował chaos, kuchnię można nazwać postapokaliptycznym światem. Jest jasno, na blatach walają się butelki, saszetki z keczupem i puste opakowania po chipsach. Na podłodze widać kałuże czegoś

żółtego, mam nadzieję – myśląc o Dylan – że to piwo, a nie siki, chociaż prawdę powiedziawszy, jedno i drugie tak samo śmierdzi oraz smakuje.

Violet i Annie opierają się o blat, sącząc coś z plastikowych czerwonych kubków, i witają nas z ostrożnym entuzjazmem.

– Hej – mówią chóralnie, ściskają mnie na wpół pijacko, a potem przytulają się do Davida, który początkowo nie wie, co zrobić, ale potem odpowiada tym samym.

– To obrzydliwe. Dlaczego ludzie po sobie nie sprzątaj? – David ma na sobie dopasowany niebieski sweter z kaszmiru i zaskakująco obcisłe dżinsy. Przez bark przewiesił skórzaną kurtkę. Wygląda świetnie, mam problem z odwróceniem od niego wzroku. Podwija rękawy i zaczyna sprzątać.

– Zostaw to – mówię. Przypuszczam, że to siostra wybrała mu strój, dostrzegam bowiem jej swobodny styl. Ciekawe, czy udzieliłaby mi kilku lekcji, zapłaciłabym za nie, poważnie.

– Dlaczego? Nie wiem, co jeszcze mielibyśmy tu robić – odpowiada David.

– Idea jest taka, żeby się dobrze bawić.

– Dobrze się bawić. Jasne. To potrafię – mówi, chociaż wygląda bardzo niepewnie, a na jego twarzy maluje się głębokie zamyślenie. Jakby tłumaczył moje słowa na język, którym się posługuje. – Tylko że tu jest głośno. Bardzo głośno. Nawet w kuchni. I światła są zbyt jaskrawe.

– Napij się, to ci pomoże. – Nalewam cztery porcje czystej wódki z butelki mamy.

– Prowadzę – odpowiada David.

– Racja. W takim razie będzie więcej dla mnie – mówię. Cieszę się, że David jest odpowiedzialny, ale nie chcę rozmyślać o samochodach i siedzeniu za kółkiem.

Podaję przyjaciółkom wódkę, a sama pochłaniam zawartość najpierw swojego kieliszka, a potem kieliszka Davida. Alkohol pali mnie

w przełyku. Podobnie jak David, ja też nie mam pojęcia, jak się dobrze bawić, jak po prostu być. Uznałam, że jeśli mam przeżyć tę imprezę, potrzebuję drobnej podpórki. Innej drogi nie widzę.

– Powoli – hamuje mnie Violet, patrząc na puste kieliszki. Pijałam już wcześniej, ale rzadko i niewiele. – Noc jeszcze młoda.

– My także – odpowiadam i równie szybko wlewam w siebie trzecią porcję wódki.

Violet spogląda porozumiewawczo na Annie, ale ta najwyraźniej stoi po mojej stronie.

– Co racja, to racja – mówi Annie, rozlewa drinki i podaje je wszystkim. Dla Davida znajduje napój gazowany. – Za zdrowie hashtag fanki Davida!

– Za zdrowie Davida – mówię.

– Moje? – pyta David uroczo skonsternowany.

Kilka minut później – a może upływa znacznie więcej czasu, sama nie wiem – David chwytą mnie za rękę i wyprowadza na zewnątrz, do ogrodu, gdzie panuje cudowna cisza. Czuję szum w głowie, krawędzie obrazu mi się zamazują, świat wiruje przed oczami. Upiłam się, to raczej oczywiste. Do jakiego stopnia i jak bardzo będę tego jutro żałować – to się dopiero okaże.

– Chcesz moją kurtkę? – pyta David, a ja kręcę głową, co jest błędem, ponieważ natychmiast czuję falę mdłości.

– Usiądźmy – proszę, więc idziemy w kierunku schodów na taras.

Siadam blisko Davida, ponieważ jest zimno. Tylko my byliśmy na tyle głupi, żeby wyjść na dwór. Nawet palacze zrezygnowali z papierosów na rzecz ciepłych wnętrz.

– Dobrze się czujesz? Nie będziesz chyba wymiotowała? – pyta David, a ja, nie wiedzieć czemu, uważam, że to szalenie zabawne. Wybucham śmiechem, David mi wtóruje, ten śmiech i to zimno jakimś cudem rozpraszają moje mdłości.

– Nieee. Przysięgam, że nie puszcę pawia. – David się krzywi na te słowa, a ja oblewam się rumieńcem. Dlaczego powiedziałam o tym pawiu? To takie nieromantyczne. Wystarczyło zaprzeczyć. – Zaczy... czuję się dobrze.

– Pasujesz do siebie, wiesz? Masz piękne i zewnątrz, i wewnątrz – mówi David i obejmuje mnie sztywno ramieniem.

To niezręczny, nieporadny gest i właśnie ze względu na tę niezręczność i nieporadność – a nie pomimo – jestem zauroczona. A może to nie zauroczenie, tylko cztery wódki i napój, który przyrządziła dla mnie Annie? W każdym razie podoba mi się siedzenie na stopniach z ciężką ręką Davida na ramieniu. Podoba mi się patrzenie na jego profil, pławienie się w ciepłe jego komplementów. Mam ochotę wyciągnąć rękę i poczuć delikatny zarost na jego brodzie. W przeciwieństwie do większości naszych rówieśników David jest bardziej mężczyzną niż chłopcem.

– Lubię do siebie pasować – odpowiadam, co nie ma kompletnie sensu, ale i tak brzmi kokieteryjnie.

Łatwiej mi flirtować, gdy jestem pijana. Ciekawe, czemu wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy. To podstawowa informacja, taka Lauren Drucker z pewnością o tym wie. David ładnie pachnie, a miejsce między jego szyją i ramieniem wydaje się takie zachęcające. Idealne do położenia głowy, w której wszystko się kręci. I właśnie to robię. Bez odwagi alkoholowej nigdy bym się na to nie zdecydowała.

– My do siebie pasujemy – dodaję, po czym od razu uświadamiam sobie, że jutro wrócą do mnie te słowa i pewnie umrę ze wstydu. „My do siebie pasujemy”???

Mimo pijackiego oszołomienia czuję ulgę, gdy David nie reaguje śmiechem. Przytula mnie mocniej, moje krawędzie stykają się z jego krawędziami, wszystko jest takie ciepłe. Nasze ciała są ciepłe. Wącham go ukradkiem, nagradza mnie świeży cytrynowy zapach.

Zdaję sobie sprawę, że pragnę, by mnie pocałował. W zasadzie niczego innego już nie chcę. Nie cofnę ostatnich dwóch miesięcy. Nie przywrócę tacie życia. Nie zrobię z mamy uczciwej żony. Nie można odwrócić wypadku, a ja nie jestem już tak naiwna, by sądzić, że obliczenia matematyczne w czymkolwiek tu pomogą. Nie zostanę redaktorką naczelną. Niczego nie naprawię. Ale całowanie się z Davidem byłoby cudowne. Na tyle fajne, że przestałabym się martwić, czy David rozumie ideę spotkań bez zobowiązań, na tyle fajne, że nie musiałabym rozmyślać, po co w ogóle zgodziłam się na projekt „Wypadek”

Na tyle fajne, że nie myślałabym ani o tacie, ani o mamie, ani o niczym innym.

David powiedział, że jestem śliczna, i to już dwukrotnie, w tym momencie czuję, że on nie kłamie. Być może akurat dzisiaj, jeden jedyny raz, rzeczywiście jestem śliczna i w środku, i na zewnątrz.

Całowanie się z Davidem oznaczałoby zapomnienie.

Czy to takie złe? To, że chciałabym choć na chwilę zapomnieć?

Całowanie się z Davidem byłoby cudowne.

Czy potrzebne mi inne powody?

„Fanka Davida” – myślę. „Jestem absolutną fanką Davida”

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

# DAVID

**G**łowa Kit spoczywa na moim ramieniu. Kit ma na sobie czerwoną suknię, która nadaje jej wygląd mumii. Suknia została wykonana z superobcisłych krwistoczerwonych bandaży i powinna być zakazana dla nastolatek, ponieważ Kit wygląda w niej na dwadzieścia pięć lat, a nie na szesnaście. Chciałbym jej dotknąć. Chciałbym jej powiedzieć, że jest pierwszą dziewczyną, w której się zakochałem, ponieważ uważam, że to musi być to – zakochanie.

Jeszcze nigdy tak się nie czułem. Nigdy jedna osoba nie zajmowała tak mojego umysłu, by zepchnąć gdzieś na bok całą resztę. Tutaj, w tym cichym ogrodzie, potrafię się wyłączyć i nie słyszeć odległego łomotu muzyki. Tutaj, z jej głową na ramieniu, z zapachem jej szamponu – migdały i miód – oraz z dotykiem jej miękkich włosów na policzku, potrafię zapomnieć, że jestem Davidem Druckerem. Potrafię zapomnieć o wszystkim. Że jestem kimś, dla kogo rodzice muszą zatrudnić terapeutę do nauki prowadzenia najprostszych rozmów. Że jestem kimś na tyle głupim, by wejść z Justinem do kabiny w toalecie, bo obiecał pokazać mi „coś fajnego”.

Jak mam ją pocałować? Miney dała mi mnóstwo rad, nie kazała

wpychać języka do gardła Kit ani za bardzo się ślinić. Zmusiła mnie nawet do oglądania filmików instruktażowych na YouTube. Ale nigdy nie doszliśmy do tego, jak właściwie należy to zrobić. Jak mam przejść od siedzenia obok niej, oglądania gwiazd i słuchania dziwnego skrzypienia huśtawki do złączenia ust?

– Kit? – Postanawiam, że ją poproszę, by mnie pocałowała. Albo jeszcze lepiej – zapytam, czy mogę ją pocałować. Powinienem wyrażać się bezpośrednio i jasno. Nie zostawiać miejsca na nieporozumienia, które są moją specjalnością.

– Hmmm – odpowiada.

Zakładam, że to odpowiednik „tak”

– Co byś powiedziała, gdybym... To znaczy... jak się zapatrujesz na to, żeby... – Nie, nie potrafię powiedzieć tego na głos. „Co byś powiedziała, gdybym cię pocałował?” Nie. „Czy mogę cię pocałować?” byłoby lepsze. Tak, byłoby dokładniejsze. W końcu chcę pozwolenia, a nie skomplikowanej dyskusji na temat jej stanu emocjonalnego.

„Czy mogę cię pocałować?” Cztery proste słowa. Dam radę.

Odwracam głowę, a moje wargi muskają jej czoło. To prawie pocałunek, tyle że piętnaście centymetrów wyżej.

– Czy mogę... – Zaczynam, ale zanim skończę, Kit obraca się, przysuwa bliżej, oplata rękoma moją szyję i skraca dzielący nas dystans. Piętnaście centymetrów się kurczy. Jej usta dotykają moich, całujemy się.

Jestem w stanie myśleć tylko o jednym: Kit mnie pocałowała. Myślę o tym na okrągło, tak długo, aż w końcu w ogóle przestaję myśleć.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

# KIT

Całuję Davida Druckera. Całuję Davida Druckera. Całuję Davida Druckera.

Mylłam się. Zakładałam, że to będzie jego pierwszy pocałunek, że będzie niezręcznie, kłopotliwie, ale i tak przyjemnie. Skądże. Nie ma o tym mowy. Ten chłopak doskonale wie, co robi. Wie, jak należy przytrzymać moją głowę. Jak całować powoli, delikatnie, przyspieszyć, by potem znów zwolnić. Jak muskać moje policzki wargami, jak całować moją twarz wzdłuż brody i wygładzić zmarszczkę na środku czoła. Wie, jak przestać na chwilę i popatrzeć mi w oczy, ale tak naprawdę, tak czule, że aż ciarki przechodzą po plecach.

Nawet przesuwa palcem po mojej małej krzywej bliźnie nad brwią tak, jakby to było coś pięknego.

Mogłabym go całować bez końca.

Będę go całować bez końca.

Całuję Davida Druckera i... zgadza się, zapominam o całym świecie.

Ponieważ jego wargi znów dotykają moich.

Ponieważ to najlepszy pocałunek w moim życiu.



\*

Całujemy się i całujemy. Przerwywamy dopiero wtedy, gdy David się odsuwa, ujmuje moją twarz w swoje wielkie dłonie i mówi:

– Policja przyjechała. Musimy iść.

Jednak nawet to brzmi romantycznie. David ewoluował z dziwnego kolegi z klasy w partnera w zbrodni. Trzymając się za rękę, biegniemy do jego samochodu. David otwiera dla mnie drzwi od strony pasażera. Jeszcze raz proponuje kurtkę.

– Jest dobrze – odpowiadam. – Ty mnie rozgrzewasz.

David się uśmiecha, mimo ciemności widzę, że się zaczerwienił. Teraz mnie też oblewa rumieniec. I fala gorąca.

– To chociaż weź mój szalik. – Wyciąga szal z kieszeni kurtki i owija mi wokół szyi. Kaszmirowy, miękki jak jego sweter. Wszystkie jego ubrania są miękkie. Chwyta za oba końce szalika i przyciąga mnie do siebie. Jeszcze raz się całujemy. Czuję ucisk w sercu, mrowienie całego ciała, pozwalam sobie na to, by się stopić z Davidem. Mam wrażenie, że nie powinniśmy nigdy się rozdzielać, chciałabym zostać tu na zawsze.

– Nie przy ludziach! – krzyczy mijający nas Gabriel, ale mam go w nosie.

„Fanka Davida” – myślę ponownie. O tak.

W drodze do domu nie rozmawiamy. Nie ma takiej potrzeby. Jest mi ciepło, jestem oszołomiona, jakbym miała tajemnicę, której nikomu nie zdradzę. David Drucker – chłopak, który jest tyłoma różnymi osobami jednocześnie. Zawsze siedzącym samotnie uczniem, gościem, który rozmawia o fizyce kwantowej nawet na fotelu dentystycznym, chłopakiem, który trzymał mnie za rękę w śnieżycy. Całowałam się z Davidem Druckerem, chłopakiem, z którym najbardziej lubię rozmawiać, i było idealnie.

\*

Jest czwarta nad ranem, a ja leżę w swoim pokoju. Motylki, które czułam w brzuchu przez całą noc, przerodziły się w paskudne nietoperze. W ustach mam gorycz, w głowie mi się kręci. Szalik Davida grzeje mnie i drapie w szyję, zbyt ciasno owinięty. Teraz jestem zupełnym przeciwieństwem śliczności.

Żal i rozpacz zaczynają śpiewać mi do ucha swoją okrutną pieśń. Chrapliwą, powtarzaną bez końca.

Na suficie pojawia się obraz wypadku. Reflektory. Pisk opon. Moja stopa porusza się zbyt wolno. Zawsze zbyt wolno.

Wszystko pamiętam.

Niech to się skończy.

W ostatniej chwili dopełzam do łazienki i do samego świtu puszczam pawia za pawiem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

# DAVID

**P**rzez dziewięćdziesiąt sześć cudownych minut całowałem się z Kit Lowell. Dziewięćdziesiąt sześć minut, podczas których jej wargi stykały się z moimi albo moje usta błędziły po jej szyi bądź po tym cudnym skupisku piegów na obojczyku. Mógłbym do końca życia ją całować i na pewno bym się nie znudził – bez przerwy, nie licząc konieczności sporadycznego snu, jedzenia czy ulżenia potrzebom fizjologicznym.

Najlepszy. Wieczór. Mojego. Życia.

Po odwiezieniu Kit do domu leżę długo na łóżku i nie śpię. W głowie mi się kotłuje, ale po raz pierwszy w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Nie muszę z tym walczyć. Całowanie Kit nie było wcale zbyt cierpkie ani zbyt głośne, ani zbyt mokre, ani zbyt brutalne, czego się obawiałem. Nie było w ogóle z b y t. Było idealne. Całowanie Kit było z a s z c z y t e m.

Odtwarzam sobie na okrągło wydarzenia tego wieczoru, zwłaszcza sam początek. Gdy Kit przyciągnęła do siebie moją twarz. To uczucie jej rąk obejmujących moją szyję. Brak jakichkolwiek wątpliwości odnośnie do tego, czego chce.

Wszystko było jasne. Wybrała mnie.

P o c a ł o w a ł a m n i e.

Mnie.

Chociaż dzisiaj poudaję, że można mnie nazwać fajnym, luzackim chłopakiem. Włożyłem skórzaną kurtkę, która celowo wygląda na znoszoną. Do tego dopasowane dżinsy, jakbym był członkiem boysbandu. Zawiązałem swój szalik wokół jej szyi i zostawiłem go, więc będzie musiała się znów ze mną spotkać, choćby tylko po to, żeby mi go zwrócić. Sam to wymyśliłem, nie ściągnąłem z YouTube'a ani z filmu młodzieżowego, nie zasugerowała mi tego Miney.

Teraz, kiedy wiem, jak to jest, gdy wargi stykają się z wargami, gdy pojawia się zupełnie naturalny porządek rzeczy, zastanawiam się, dlaczego ludzie nie całują się całymi dniami. Jak mogą robić cokolwiek innego?

Czuję się jak nowo narodzony. Nie jestem już trzepoczącym rękoma dziwolągiem z Mapleview. Istnieje nadzieja dla mnie, nadzieja, że kiedyś stąd wyjadę i zacznę jako ktoś inny. David wersja 2.0. Odrobinę wygładzona.

Miłość. Testuję i sprawdzam to słowo w myślach. Pozwalam, żeby wirowało mi w mózgu, podchodzę do niego tak samo jak do wzoru – najpierw pomału, potem znacznie przyspieszając, aż w końcu wyłania się z drugiej strony, pełne i rozwiązane.

Miłość.

Tak, nie ma żadnych wątpliwości w kwestii tego, co się wydarzyło. Co zrobiła Kit.

P o c a ł o w a ł a m n i e.

A potem biologia przejęła kontrolę.

Napływ dopaminy, może także serotoniny oraz adrenaliny.

Cudowna reakcja chemiczna.

Zakochałem się na zabój w Kit Lowell.

Ponieważ miłość jest dla mnie nowością, zaczynam tak samo, jak

zaczęłbym z każdym innym intelektualnym zadaniem, czyli sprawdzam w Google'u: „Co musisz zrobić, gdy się zakochasz?”. Znajduję zasady zalotów, co jest odpowiednikiem ludzkich rytuałów godowych dla laików. Jak się okazuje, najpewniejszą oznaką atrakcyjności człowieka jest symetryczność jego twarzy. Mierzę własną i z ulgą stwierdzam, że obie połowy mają mniej więcej te same rozmiary. To dobrze. Później czytam, że aby udowodnić wiarygodność w kwestii wspierania finansowego przyszłego potomstwa, mężczyźni powinni wydawać pieniądze na obiekt swoich uczuć. Ponieważ chwilowo nie dysponuję własnymi dochodami, uznaję, że najlepiej będzie wykazać, iż jestem odpowiednim partnerem, demonstrując inne walory. Co prawda nie jestem dobry w rozmowach o niczym, znajdowaniu przyjaciół i stosowaniu się do licealnej etykiety, jednak niepodważalne są moje wyjątkowe zdolności w matematyce i naukach ścisłych. Muszę się nimi pochwalić, tak jak astrapia białosterna chwali się swoim rozłożonym ogonem. Biorę notes i zapisuję swój dwuczęściowy plan.

Po pierwsze, nie pójde dzisiaj spać, tylko dokończę projekt „Wypadek”. Wykażę praktyczne zastosowanie swoich umiejętności i udowodnię szereg rozmaitych nieoczekiwanych korzyści, jakie mogą przynieść Kit.

Po drugie, zaproszę Kit na spotkanie Ligi Akademickiej. To trochę zbyt oczywiste posunięcie, jeżeli chodzi o zaloty, ale – jak twierdzi Miney – „chwal się, jeśli masz czym”.

Zamiast spać, rysuję diagramy, obliczam osie, kalkuluję prędkość, przeglądam modele samochodów i zainstalowane w nich systemy hamowania. Mój profesjonalny kalkulator aż się nagrzewa od pracy. W Internecie znajduję ekspertów w dziedzinie wypadków samochodowych, zagłębiając się w forach poświęconych medycynie sądowej. Czytam na temat obrażeń głowy, uszkodzeń przestrzeni międzybrowowej, przebitego serca. Otwieram zdjęcia, które zrobiłem w miejscu wypadku, i powiększam przysłaną mi przez Kit fotografię

na trzydziestocalowym ekranie. Volvo zgniecione tak, że z prawej strony przypomina harmonijkę.

Powiększam obraz za pomocą nowego oprogramowania i przyglądam się krwi na desce rozdzielczej od strony pasażera. Odrysowuję kształt plam. Czytam artykuły na temat wypadku i znajduję zdjęcie tego drugiego samochodu, granatowego forda explorera, z rozbitą przednią szybą. Samochodu, który jest zgnieciony jak papierowy samolocik. W tle widać stojącego przy krawężniku mini coopera, który ma śladowe uszkodzenia: dwa rozbite reflektory i spore wgniecenie w masce. W artykule nie precyzują udziału tego samochodu w wypadku, ale na podstawie własnej analizy uznaję, że jechał za volvem. Kolejny samochód zmienia nieco postać rzeczy – podnosi poziom skomplikowania sprawy. Szkoda, że Kit nie wspomniała o nim wcześniej.

Ustawiam trzy zdjęcia obok siebie, jakby tworzyły zabawną historyjkę obrazkową, chociaż nie ma w nich nic zabawnego.

Bez względu na to, ile razy wszystko sprawdzam – a robię to raz za razem, być może tak samo często, jak wspominałem pocałunki z Kit – nic mi się nie zgadza. Z moich obliczeń – jedyńnych możliwych – wynika, że tata Kit powinien żyć.

– Co się stało? – pyta Miney, gdy wchodzi do mojego pokoju w sobotę rano. Siedzę przy biurku w tym samym ubraniu, które miałem na sobie poprzedniego dnia. I trzepoczę rękoma. – Nie poszło ci wczoraj? Sądziłam, że ta skórzana kurtka załatwi sprawę.

– Jaką sprawę? – pytam. Mam taką ciężką głowę. Jest dziewiąta, a ja nawet nie zmrużyłem oka. Przecieram twarz w próbie starcia z niej zmęczenia, ale to kompletna strata energii w sytuacji, w której powinienem ją oszczędzać. Zmęczenia nie da się zetrzeć jak brudu. Przestałem myśleć logicznie. – Impreza była świetna. Idealna, powiedziałbym. To znaczy nie sama impreza, bo te są koszmarem – nie

wiem, po co ludzie na nie chodzą. Ale reszta, wszystko, co się wiąże z Kit, było świetne. Cudowne.

– Naprawdę? Wyglądasz, jakby ktoś przejechał ci psa.

– Nie mamy psa.

– Skup się, Mały D.

– Co?

– Powiedz mi, co się stało. – Miney ma na sobie piżamę, ale czystą, której nie rozpoznaję. Jej oczy wydają się mniej przekrwione. Cokolwiek tajemniczego jej dolegało, najwyraźniej przeszło samoistnie. – Nie wyglądasz jak ktoś, kto ma za sobą cudowny wieczór. Pocałowałaś ją?

– Taaa. A właściwie to ona pocałowała mnie.

– Ona pocałowała c i e b i e?

– Taaaa.

– I?

– I kocham ją.

– Super. Chociaż może powinieneś odrobinę zwolnić. Trochę jeszcze za wcześnie na rzucanie takich wyznań. – Miney opada na moje krzesło obrotowe, jakby była trenerką wygłaszającą mowę motywacyjną przed meczem.

– To już nie ma znaczenia. Nic już nie ma znaczenia – odpowiadam i trzęsę się cały, bo czuję, co straciłem, chociaż jeszcze to nie nastąpiło. Już nigdy więcej nie będę się całował z Kit. Wszystko się skończyło niecałe dwanaście godzin po tym, jak się zaczęło. Co dziwne, gdy sobie to uświadamiam, wcale nie dochodzi do resetu, nie wraca wersja sprzed Kit, David 1.0, dla którego całowanie było tak samo nieprawdopodobne jak przekroczenie kontinuum czasoprzestrzeni. Który był skazany na samotność. Nie, teraz jest znacznie gorzej. Nie wyobrażam sobie powrotu do pustego stolika w stołówce w poniedziałek. Bycia gościem, którego wszyscy nazywają gównozercą. Tęsknota za Kit ma wymiar fizyczny, zupełnie jakby moje serce płakało.

Alfred lord Tennyson był idiotą. Wcale nie jest lepiej kochać i stracić, niż nigdy nie zaznać miłości – gdybym w ogóle nie kochał, nie byłoby teraz trzepotania rękoma. Siedziałbym na dole, wyspany, jadłbym sobotnie naleśniki i czytałbym *DSM*. Nie zdawałbym sobie sprawy, jak to jest być takim jak inni. Jak to jest nie być samotnym. W jak odległym miejscu żyłem od planety Normalność.

– Chodzi o projekt „Wypadek”, nie mogę tego rozgryźć – odpowiadam.

– Mógłbyś to przetłumaczyć na język ludzki?

– Kit poprosiła mnie o pomoc w rozwiązaniu tego, jak zginął jej tata. To znaczy nie tyle, jak zginął, ile kiedy, chodzi o moment hamowania, o szersze „jak”. Ale matematyka nie działa, chociaż przecież zawsze działała. To jedyne, co potrafię zrobić, a jednak teraz tego nie potrafię.

– Mały D., uspokój się. – Miney chce pogłaskać mnie po plecach, ale uciekam przed jej ręką. Nie chcę być dotykany. Cały płonę. – Masz jej o wiele więcej do zaoferowania niż tylko matematykę. To nie dlatego Kit cię pocałowała, chyba to rozumiesz, prawda?

– On powinien żyć. Dentysta powinien żyć.

– Kim jest dentysta? Ojcem Kit? Oczywiście, że powinien żyć. To tragedia...

– Nic nie rozumiesz. Matematyka nie działa.

– Czyli?

– To nie jest tragedia. To oszustwo.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

# KIT

**K**iedy budzę się w sobotę rano, moja pierwsza myśl brzmi: „chcę umrzeć”. Ponieważ gdy umrę, miną mdłości, pokój przestanie wirować, a ja nie będę musiała się dłużej mierzyć z gównem, w jakie przerodziło się moje życie. Leżę w łóżku, gapię się na biały sufit i rozmyślam o tym, co wyznała mi mama. Upiła się i popełniła błąd. Powiedziała, że alkohol wygrywa ze zdrowym rozsądkiem. Każe słuchać niewłaściwych głosów w głowie.

„To, że człowiek ma czterdzieści pięć lat, nie znaczy wcale, że czasami nie czuje się i nie zachowuje jak szesnastolatek” – oznajmiła, co jest chyba najbardziej przygnębiającym stwierdzeniem, jakie kiedykolwiek usłyszałam. Chcecie poznać mój tajny plan? Jedyne, co mnie trzyma przy życiu? To, że w końcu dorosnę, że ten potworny etap wreszcie się skończy i już nigdy nie będę wracała do niego myślami.

Zastanawiam się, co dzisiaj myśli o tym wszystkim David. Sądząc po jego niezwykłych umiejętnościach w całowaniu, całkiem możliwe, że prowadzi tajne życie. Po wczorajszym wieczorze uświadomiłam sobie, że nic o nim nie wiem. Zdałam sobie sprawę, jaką głupotą – i naiwnością – jest sądzić, że w ogóle wie się cokolwiek o drugim

człowieku. Wystarczy popatrzeć na mnie i na moją mamę. To wszystko pic na wodę.

Podnoszę komórkę, dostałam kilka wiadomości.

*Mama:* Dobrze się czujesz? Zostawiłam ci przy łóżku szklanę wody i dwie tabletki przeciwbólne. Wyglądałaś nieszczególnie, kiedy wróciłaś.

W normalnych okolicznościach spodziewałabym się wykładu na temat pijaństwa, ale wątpię, żeby mama miała taki tupet. Jestem szesnastolatką, która zachowuje się jak szesnastolatka. Mama nie ma prawa mnie osądzać.

Nie pamiętam jednak, żebym ją wczoraj spotkała, i właśnie przez to – przez chęć niepamiętania, która skłoniła mnie do picia – czuję się jeszcze gorzej.

*Ja:* Żyję.

*Mama:* Za jakiś czas upewnię się jeszcze raz, czy wszystko w porządku, dobrze?

Nie odpisuję od razu. Czuję się chora, zmęczona, słaba. I chociaż to takie żałosne, potrzebuję mamy. Mam zbyt wielkiego kaca, jestem zbyt załamana, żeby się wściekać. Mam wrażenie, że sięgnęłam dna.

*Ja:* Okej.

Otwieram wiadomość grupową: rozmowę z Annie i Violet.

*Annie:* O JA. O JA. K.L. + D.D. ALE JAJA! Byłoby LOL, gdyby nie megakac.

*Violet:* Annie, ile już dzisiaj wypijałaś kaw?

*Annie:* 4.

*Violet:* O MATKO!

*Annie:* Nie krzycz. Boli mnie głowa.

*Violet:* Kit, jak się czujesz? To było FULL wódki. SZCZEGÓŁY, dawaj szczegóły. Dawaj, David.

*Annie:* Dawaj, David? Chyba dawaj, Kit. V., widziałaś tę skórzaną

kurtkę? Normalnie zemdlałam.

*Violet:* Podoba mi się ten jego delikatny zarost na brodzie.

*Ja:* Czuję się strasznie, ta wódka to była pomyłka. Ale całowanie się z Davidem... nie było pomyłką.

To zabrzmiało niemal jak dawna Kit. Zabawna i lekka. Dawna Kit była szczęśliwa, a przynajmniej wystarczająco szczęśliwa. Dawna Kit nie rozumiała, co to depresja.

*Violet:* Zupełnie jakby pstryknął palcami i z nikogo przerodził się w ciacho.

*Ja:* Zawsze był przystojny, tylko nikt nigdy na niego nie patrzył.

*Annie:* Nie licząc ciebie. Kto by pomyślał, że Kit ma taki radar w oczach.

*Ja:* Nie lubię go dlatego, że jest taki przystojny.

*Annie:* No weź.

*Ja:* Nie lubię go TYLKO dlatego, że jest taki przystojny. Jest w ogóle super.

*Annie:* Skoro tak twierdzisz.

*Violet:* Możecie uznać, że jestem płytka, ale już ten jego zarost by wystarczył.

*Annie:* Jestem ciekawa, czy kiedy jest sprośny, też mówi naukowo. Och, na twój widok moje cząstki aż pulsują.

*Ja:* Zamknij się.

*Violet:* Kiedy jesteśmy razem, przypominamy reakcję chemiczną.

*Annie:* Chciałbym wsunąć mój proton do twojego neutronu.

\*

Na końcu zabieram się do wiadomości od Davida. Może powinnam się napawać tym nieoczekiwanym zwrotem akcji. Niesamowitym wieczorem pełnym pocałunków. Cudowną możliwością, że znów będę się z nim całować. Nawet cieszą mnie łagodne docinki ze strony Violet

i Annie, przypominają mi bowiem, jak kiedyś było między nami. Może to wystarczy, żeby podnieść mnie z łóżka. Może to David będzie falą, która popchnie zastygły czas.

*David:* Dziękuję Ci za cudowny wieczór! Cholerna policja.

*David:* Nie mogę przestać o Tobie myśleć.

*David:* Przyszłabyś w przyszłym tygodniu na Ligę Akademicką?

A potem, jakieś dwie godziny później:

*David:* Kit, jesteś tam? MUSIMY POROZMAWIAĆ.

*David:* Kit, zadzwoń do mnie natychmiast.

*David:* Zadzwoń do mnie, jak tylko się obudzisz. Muszę z Tobą porozmawiać.

*David:* Kit?

*David:* Kit, chodzi o projekt „Wypadek”

Te esemesy przychodziły przez całą noc. Pierwsze dwa wysłał krótko po tym, jak mnie odwiózł do domu, ale ostatnie pięć dotarło nad ranem, w równych odstępach piętnastominutowych. Gdy mój wzrok pada na słowa „projekt »Wypadek«”, mam wrażenie, że otrzymałam cios w splot słoneczny. Nie, to raczej jak rozbicie na miazgę wszystkich moich narządów wewnętrznych. Przypomnienie, którego nie potrzebuję.

Projekt „Wypadek”

Rzucam się w stronę łazienki, ale tym razem nie udaje mi się dobiec.

– Dobrze się czujesz? – pyta mama, gdy znajduje mnie skuloną na korytarzu. Nie wydaje się wściekłą, raczej przestraszona. Nigdy nie robiłam takich rzeczy, jedyny bunt, na jaki się do tej pory zdobyłam, był ostrożny, celowy i z dala od oczu dorosłych.

Teraz jednak taplam się we własnych wymiocinach i mam widocznego kaca. Moja broda jest czerwona i podrapana od zarostu Davida. Chciałabym odpowiedzieć, że czuję się dobrze. Doskonale,

wprost idealnie. Że to nie przez alkohol wymiotowałam, a przynajmniej nie ten ostatni raz. To wszystko jednak znacznie wykracza poza piątkową imprezę. Chciałabym powiedzieć mamie, że jestem pokancerowana i zaczynam podejrzewać, że nawet czas tego nie naprawi.

Chciałabym jej powiedzieć, że popełniłam – popełniłyśmy – wielki błąd.

Chciałabym jej powiedzieć, że ma mi dać cholerny spokój. Że bez niej mi lepiej.

Chciałabym ją prosić, żeby została, przytuliła mnie i mi pomogła.

Chciałabym, żeby mi powiedziała, iż istnieją gorsze rzeczy niż mówienie prawdy.

Ale kiedy mama siada obok mnie po turecku, nie mówię nic. Kładę się na boku i opieram głowę o jej kolana. Składam na niej ciężar, jakim jest mój umysł.

Zamiast cokolwiek powiedzieć, płaczę.

– Będzie dobrze, kochanie. Obiecuję. Wszystko będzie dobrze – mówi mama i gładzi mnie po włosach.

– Jak? – pytam, bo żadnego słowa więcej nie jestem w stanie z siebie wydusić. Zresztą tylko to chcę wiedzieć: Jak, jak, jak. Jak może być dobrze?

– Nie mam pojęcia. Może nie będzie dobrze. Nie będzie tak, jak kiedyś, ale przeżyjemy. A to już krok we właściwą stronę, prawda? Przeżycie? Nadal mamy siebie.

– Tak – mamrocę w jej nogę. Tak naprawdę nie chcę umierać. Po prostu kiepsko wychodzi mi życie. Czy w dalszym ciągu mam mamę? Nie zawsze odnoszę takie wrażenie.

– Na dobry początek możemy nie siedzieć w wymiocinach. – Próbuję poderwać się z miejsca, w końcu mama ma na sobie jedwabną bluzkę, którą czasem mi pożycza, ale zostaję usadzona z powrotem. – Sekundę –

mówi. – Muszę ci coś powiedzieć, skoro już trzymam cię w niewoli. Wiem, że spieprzyłam wszystko, ale kocham ciebie i twojego tatę. Kiedy zmarli jego rodzice, a twoi dziadkowie, on... jego to załamało. Przez dłuższy czas zachowywał się jak ktoś, komu wyjęto baterie. Trochę jak ty teraz. Żałosny i bezwolny. Pusty i smutny.

– Dzięki.

– Chciałam powiedzieć – jak my obie. Jestem tak samo żałosna i bezwolna, chociaż nie ukrywam, że ładniej pachnę. – Uśmiecham się blado do mamy. Mimo wszystko jestem w stanie to zrobić. – Jednak z czasem tata znów zaczął się stawiać sobą. Nie był już takim samym człowiekiem jak wcześniej, skądże. Ale lepszą, silniejszą, posklejaną wersją siebie. Wtedy tak naprawdę się w nim zakochałam. Zabujałam się na amen. Uznałam, że bez względu na to, co mają do powiedzenia moi rodzice, jest moją drugą połówką. Czasami ludzie rosną po załamaniu i myślę, że to właśnie przydarzyło się mnie i twojemu tacie przed jego śmiercią. Wierzę, że byliśmy na dobrej drodze, by wszystko przepracować. I to samo my powinniśmy zrobić. Nie tylko przeżyć, ale stać się lepszymi wersjami samych siebie. Żeby uczcić pamięć taty. Jesteśmy mu to winne. Przynajmniej tyle możemy zrobić dla tych, których kochamy.

Zatapiam się w jej słowach. Pławię w jej optymizmie. Będzie lepiej. Będzie nam lepiej. Nowa Kit może okazać się kiedyś osobą, z której będę dumna. Z której mój tata byłby dumny.

Nie szkodzi, że już nie będę taka jak kiedyś.

Może nawet znajdziemy sens w czymś, co teraz wydaje się kompletnie pozbawione sensu – choćby po to, by poczuć się trochę lepiej.

A może mogłabym być starą i nową wersją Kit jednocześnie.

– Cierpisz na przerost ambicji – mówię do mamy.

– Na szczęście ty też.

Kiwam głową. Pobudzona. Zdecydowana. Odważna.

– Jedną z nielicznych korzyści płynących z tak wielkich życiowych katastrof jest to, że człowiek odkrywa, kto tak naprawdę należy do jego drużyny. To jedyny sposób, żeby przetrwać. Dlatego i ty musisz znaleźć swoją drużynę.

– Okej – mówię i zaczynam gromadzić w myślach ludzi. Sięgam pamięcią do czasów gimnazjalnych, kiedy wybieraliśmy sobie członków drużyny przed grą w dwa ognie. David zawsze zostawał na sam koniec. Wyobrażam sobie, jak stoi, patrzy ponad głowami wszystkich, a ręce mu trzepoczą wzdłuż ciała – nadal od czasu do czasu to robi, chociaż nie jestem pewna, czy zdaje sobie z tego sprawę. Chciałabym cofnąć się w czasie, przytulić go i szepnąć mu do ucha, żeby stanął obok mnie. Powiedzieć mu, że jeśli się zmęczy trzepotaniem, może chwycić mnie za rękę.

– Mam ogromną nadzieję, że mnie też do niej zaliczysz – mówi mama bardzo cicho, a ja sobie uświadamiam, że to chyba coś najbliższego błaganiu, na co może się zdobyć. A kiedy nie odpowiadam od razu, dodaje: – Albo chociaż hashtag cel na przyszłość.

Śmieję się. Mama usilnie próbuje stosować język nastolatków. Kilka tygodni temu podsłuchałam, jak narzeka przez telefon, że ma dosyć zgrywania dorosłego, a kiedy ostatni raz oglądałyśmy razem komedię romantyczną, używała słów takich jak „zajefajne” czy „yolo”.

– Możemy nad tym popracować – odpowiadam i nagle sobie uświadamiam, jak bardzo tęskniłam ostatnio za mamą. I że bez niej nie dam rady. Że w mojej drużynie zawsze będzie dla niej miejsce.

Odwijam z szyi zapaskudzony szalik i podaję go mamie. Dziwaczna, nasączona wymiocinami kaszmirowa propozycja rozejmu.

– Myślisz, że można to oddać do czyszczenia? – pytam.

*Ja:* Właśnie się obudziłam. Możemy pogadać, ale mam okropnego kaca, więc może dasz mi parę godzin?

*David:* Upiłaś się wczoraj?

*Ja:* No tak.

*David:* Upiłaś się tak, żeby mieć kaca?

Nie zauważył, że piję? W którymś momencie zaczęłyśmy z Annie ciągnąć prosto z butelki, a przecież on stał tuż obok.

*Ja:* Na to wychodzi.

*David:* Czy to oznacza...

Milknie na dłuższą chwilę. Następuje okropna, nabrzmiewająca cisza, a ja się zastanawiam, co on robi. Czy pisze? Myśli o tym, co powiedzieć? I co chce mi zakomunikować w sprawie projektu „Wypadek”? Co ja w ogóle sobie myślałam, angażując go w to? Teraz wydaje mi się to nielogiczne. Akt desperacji i rozpacz. Albo wymierzonego w siebie sabotażu. Nie można rozwiązać tego, co się stało, śmierć mojego taty to nie jest łamigłówka logiczna. To tragedia.

*David:* Czy to oznacza, że nie robiłaś tego szczerze? Pocałowałaś mnie tylko dlatego, że byłaś pijana?

*Ja:* Co? Nie. Tak. Nie.

*David:* Wyjaśnij, proszę.

*Ja:* Chciałam Cię pocałować, a alkohol dał mi większy komfort.

*David:* Całowanie się ze mną było niekomfortowe?

*Ja:* Nie! Nie to miałam na myśli. Jestem... nieśmiała. Poważnie chcesz mi zadawać teraz takie pytania?

*David:* Oczywiście. Zawsze zadaję pytania poważnie.

*Ja:* To nic ważnego.

*David:* Ale co? Pocałunki? Twoje upicie się? Czy projekt „Wypadek”? Otwierasz kolejne pętle, to mnie dezorientuje.

*Ja:* Pisałam o tym, co wczoraj. W CZORAJ. To nie było nic ważnego.

*David:* Dla mnie było ważne.

*Ja:* Och, nie chciałam... znaczy... to nieistotne. Porozmawiajmy twarzą w twarz. Esemesy nie działają.



*David:* Jakiego masz operatora sieci komórkowej?

*Ja:* Dlaczego pytasz?

*David:* Skoro masz problemy z wysyłaniem esemesów, może to kwestia operatora. Zerknę na stronę Yelp, zobaczę, kto ma najlepszy zasięg w Mapleview.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

# DAVID

**M**iney oferuje pomoc, ale się nie zgadzam. Sam muszę sobie z tym poradzić. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla Kit. Jestem pewien, że po dzisiejszym dniu nie będzie już chciała mnie całować, a nawet siedzieć ze mną przy jednym stoliku. Trzymam się jeszcze cienia nadziei, że odbierze to jako dobre wieści, że potraktuje mnie jak bohatera, w końcu odkryłem prawdę. Przecież chyba tego właśnie chciała. Żebym to rozpracował.

Nie mogę zaufać intuicji. Intuicja prowadzi mnie do zamkniętej toalety i cudzego gówna we włosach.

W McCormick's zjawiam się piętnaście minut przed czasem i zajmuję te same miejsca, na których siedzieliśmy poprzednim razem. Zamawiam dwa koktajle mleczne, jeden dla mnie i jeden dla Kit. Jeśli istnieją wieloświaty, zamiast siedzieć tu i czekać, aż powiem Kit, że wypadek nie przebiegał tak, jak jej się wydaje – że to wszystko kłamstwo – całowałbym się z nią. Tak, całowalibyśmy się, może nawet na łóżku.

I wtedy Kit przychodzi. Jej twarz jest pozbawiona makijażu. Ma na sobie wisiorek z literą K i za dużą męską koszulę, którą wkłada dwa razy w tygodniu. Kiedy nie próbuje ukryć cieni pod oczami, jest jeszcze

bardziej sobą.

Stwierdzam, że wolę jej naturalną wersję. Ta wczorajsza czerwona suknia była nieco onieśmielająca. Dopiero teraz Kit wygląda jak dziewczyna. Może nawet jak moja ulubiona dziewczyna.

– Wow – mówię. Nie potrafię się powstrzymać.

– Co? – pyta Kit, po czym siada naprzeciwko i bierze swój koktajl. Upija łyk, a wtedy nad jej górną wargą pojawia się biała kreska, którą ściera serwetką.

– Ty. Podobasz mi się nawet z wąsem od mleka.

– Przestań, przez ciebie się czerwienię – odpowiada i jak za dotknięciem magicznej różdżki jej brązowe policzki oblewają się rumieńcem. – Słuchaj, te twoje esemesy mnie przestraszyły.

– Czy najpierw mogę cię pocałować? – pytam, na co ona wzrusza ramionami. Nie wiem, czy to zgoda, czy odmowa, postanawiam jednak wykazać się odwagą i zaryzykować. Przesuwam się na jej siedzenie, ujmuję jej twarz, pochylam się powoli i dotykam wargami jej ust. Jest inaczej niż poprzedniego wieczoru. Delikatnie i słodko – w podwójnym tego słowa znaczeniu – ale za krótko, a kiedy Kit się odsuwa, spogląda na mnie wilgotnymi oczami. Kręci głową.

– Chciałeś ze mną rozmawiać, pamiętasz?

– Tak – mówię. – Tak. Chodzi o to...

– O co?

Kit siedzi tak, jakby się przygotowywała psychicznie. Rękoma zasłania twarz, można by pomyśleć, że boi się ciosu, który mógłbym wymierzyć. Dlaczego? A może osłania się przed pocałunkami? Nie wiem, jak interpretować tę sytuację.

– Przeprowadziłem mnóstwo obliczeń i wydaje mi się, że to nie twój tata siedział za kierownicą.

– O czym ty mówisz? – pyta Kit, a jej głos jest niski, ochrypły.

– Zrobiłem badania, przyjrzałem się plamom krwi, zdjęciom,

wszystkiemu, i... nie istnieje możliwość, żeby twój tata siedział za kierownicą. Nigdzie nie było napisane, że jechał sam, a ja mam pewność, że siedział na fotelu pasażera. Tak więc zostałam okłamana. Jest mi przykro, że muszę ci to powiedzieć. Proszę, nie bądź na mnie zła. Chciałem jedynie to rozwiązać. Dla ciebie.

– Okej – odpowiada, ale nie uśmiecha się, nie dziękuje mi ani nie wymierza policzka – innymi słowy, nie decyduje się na żadną z opcji, które wydawały mi się równie prawdopodobne, gdy odgrywałem w myślach tę rozmowę.

– Może miał romans, jak twoja mama, i jego... eee... kochanka prowadziła... i dlatego nikt ci o tym nie powiedział – sugeruję.

– Co takiego?! Mój tata nie miał romansu. – Jej głos cichnie. Teraz brzmi niemal jak szept. Jakby Kit była parującą wodą.

– Istnieje wiele możliwych wytłumaczeń. Ale ty chciałaś wiedzieć, ja k, prawda? Jak to się stało. No więc nie było tak, jak sądziliśmy. Wiem, że nie lubisz otwartych pętli, tak samo jak i ja, a to jest wielka otwarta pętla – mówię. – Przykro mi.

– To nie jest otwarta pętla. – Znów cicho. Zbyt cicho.

– To pewne, że samochód prowadziła kobieta. Z ustawienia fotela kierowcy wnioskuję, że nie mogła mieć więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, prawdopodobnie około metra sześćdziesięciu dwóch. No chyba że twój tata miał romans z bardzo niskim mężczyzną.

– Mój tata nie miał romansu! – krzyczy Kit i nagle wszystko się zmienia. Woła tak głośno, że ludzie odwracają się w naszą stronę. – I nie był homoseksualistą, idioto!

– Przepraszam. – Unoszę ręce, tak samo jak ona wcześniej, kiedy sprawiała wrażenie, jakby spodziewała się ciosu. Nie rozumiem, co się dzieje. W ciągu niespełna trzech minut przeszliśmy od całowania się do krzyków. Spodziewałem się, że Kit się rozłości, że mówiąc prawdę, mogę wszystko zepsuć, ale to właśnie moja zguba: genetyczna skłonność

do szczerości i otwartości. Ale nie myślałem, że to będzie wyglądało tak. Wydawało mi się, że Kit jest inna, że nie rzuca bolesnych słów – „idiota”, „kretyn”, „down” – tylko dlatego, że może.

Jak zwykle się myliłem.

Tylko że tym razem budzi to moją rozpacz. Nie wiem, czy się pozbieram.

– Przepraszam – powtarzam. Nie wiem za co, chyba za to, że jestem za bardzo sobą.

Kit kładzie głowę na stole i zaczyna płakać. To spazmatyczny, nieprzyjemny szloch. Chcę pogłaskać ją po włosach, ponieważ nawet po tym wszystkim, nawet mimo „idioty”, nie mogę się powstrzymać przed dotykiem. Ostatecznie jednak rezygnuję. Kit mnie nienawidzi, może ja jej też.

W głowie mi się kotłuje. Już nigdy nie będziemy jeść kanapek, siedząc naprzeciwko siebie. Kiedy o tym pomyślę – o siedemdziesięciu trzech dniach, które zostały do końca roku szkolnego, które przesiedzę samotnie, o świecie pozbawionym Kit – moje ręce zaczynają trzepotać. Zakrywam jedną dłoń drugą i czuję ulgę, że Kit nie patrzy. Nie może mnie zobaczyć w takim stanie.

Recytuję w myślach liczbę pi, żeby balon, który mam w głowie, nie wzbił się w powietrze. Wpatruję się w kark Kit. Przyglądam się linii jej włosów. Wyobrażam sobie, jak ją rysuję. Wyobrażam sobie, jak przesuwam po niej palcem.

I czekam.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

# KIT

**S**tół czuć frytkami, policzek mi się klei od jakichś resztek keczupu albo dżemu. Wolę nawet nie wiedzieć, od czego. Podnoszę głowę, biorę serwetkę i wycieram twarz z maksymalną godnością, na jaką mnie stać. Kto by pomyślał, że można dwa razy w ciągu dnia znaleźć się na dnie.

– Przepraszam – szepczę, ponieważ głos mnie zawodzi. Nie chcę być dziewczyną, która poranek przesiedziała we własnych wymiocinach, a po południu płakała w miejscu publicznym z resztkami jedzenia na twarzy. Celuję w coś więcej. – Nie powinnam była na ciebie krzyżeć.

W drodze do McCormick's postanowiłam, że będę odważna i szczerą. Uświadomiłam sobie, że dłużej nie mogę tak żyć. Moja mama chciała zbudować dla nas szklany dom wzniesiony na kłamstwach. Czas jednak rzucić pierwszy kamień. Niech szklane ściany rozbiją się w drobny mak, niech odłamki spadną na nas jak deszcz, niech nas pokaleczą.

Powiem to na głos, powiem prawdę: Ja siedziałam za kierownicą. To byłam ja.

Nie. Nie potrafię. W ustach mi kompletnie zaschło.

David wpatruje się w moje ramię. Dłonie zacisnął mocno w pięści, pewnie z chęcią by mnie udusił. W sumie mu się nie dziwię. Mama

popęłniła błąd, próbując ukryć prawdę, pogrzebać ją jak obiekt fizyczny. Jak gdyby dzięki temu, że moje nazwisko nie pojawi się w gazetach, można było udawać, że nic się w ogóle nie stało. Mama jest świetna we wprawianiu maszyny w ruch i dlatego zrobiła to, co umie robić najlepiej. Ruszyła do akcji dziesięć minut po tym, jak lekarz stwierdził zgon taty – zupełnie jak filmowa superbohaterka, którą – moim zdaniem – zawsze była. Mandip Lowell rusza na ratunek! Żeby zmienić to, co się wydarzyło, w coś bardziej strawnego.

„Wszyscy wiemy, że to był wypadek” – powiedziała do reportera, szpakowatego starszego pana z niesfornym siwym wąsem. Wydawał się wkurzony, że nasza rodzinna tragedia przerwała mu obiad. „Po co niszczyć życie szesnastolatce?”

Jakby moje życie i tak nie zostało zniszczone. Jakby wszystko miało się zmienić w zależności od tego, co ludzie przeczytają następnego dnia przy porannej kawie.

„Proszę jej w to nie mieszać” – powtarzała, podczas gdy ja stałam obok, totalnie oszołomiona i odrętwiała. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zaprotestować. „Nie proszę o pisanie kłamstw, absolutnie nie o to chodzi. Niech pan tylko napisze tak, żeby czytelnicy sami doszli do swoich wniosków”

Następnego dnia rano na pierwszej stronie „Daily Courier” pojawiło się zdjęcie z wypadku, a dziennikarz zrobił dokładnie tak, jak mu zasugerowała mama. Nie wspomniał słowem o drugiej osobie, więc każdy, kto przeczytał artykuł, doszedł do naturalnej konkluzji, że kierowcą był mój tata. Nie robiłyśmy z mamą nic, żeby wyprowadzić ludzi z błędu. Jeszcze jedna werbalna sztuczka.

Puf, i już. Nigdy nie siedziałam w tym samochodzie, mój udział został niemal całkowicie wykluczony. Żadnego śledztwa, żadnych dodatkowych pytań, tylko moje nazwisko w raporcie policyjnym schowanym głęboko gdzieś w komisariacie. Podobno ludzie ciągle giną w wypadkach.

„Tata chciałby cię chronić” – powiedziała mama. Uwierzyłam jej, bo było mi to potrzebne.

Powinnyśmy jednak zachować uczciwość. Nie ukrywać wszystkiego pod eufemizmami w rodzaju „wypadek”, sloganami typu „to nie twoja wina”, nie unikać prawdy. Nieumyślne spowodowanie śmierci pojazdem mechanicznym, tak to się nazywa.

– Nie rozumiem, o co chodzi – mówi David.

– Wiedziałam, że to nie tata prowadził – mówię i nagle przerywam, bo łzy napływają mi do oczu. Chciałabym zrobić to, jak trzeba, ale nie jestem naiwna. Nie da się podać słów ot tak, przekazać ich drugiej osobie i zapomnieć. Słowa są jak sznurek, którego koniec cały czas zostaje w twoich rękach. – Nie powiedziałam ci jednego...

Davidowi można zaufać. Nie zdradzi mojej tajemnicy. Pomoże mi. Przytrzyma drugi koniec sznurka.

Może właśnie o to mi chodziło od samego początku, kiedy wyszłam z propozycją projektu „Wypadek” – żeby David odkrył prawdę, żeby wreszcie opadła ta zasłona. Chciałam dokonać aktu spektakularnego sabotażu i zacząć wszystko od nowa.

Kiedy byłam mała, tata śpiewał mi przed zaśnięciem *You Are My Sunshine*, łącznie ze smutną drugą zwrotką, której nikt nie zna albo nie pamięta: *The other night, dear, while I lay sleeping, I dreamt I held you in my arms. When I awoke, dear, I was mistaken, so I held my head down and cried*<sup>[4]</sup>.

Piosenka pobrzmiwa mi echem w głowie, śpiewana głosem taty, co sprawia, że od razu przypominam sobie teorię Davida o świadomości. Może mój tata żyje w tekście tej piosenki? Może będzie mi towarzyszył zawsze, gdy jego obecność okaże się naprawdę potrzebna?

*Gdy się obudziłam, kochanie, zdałam sobie sprawę, że to tylko sen, a wtedy zwiesiłam głowę i polały się łzy.* To prostsze słowa,



zdecydowanie łatwiejsze do wypowiedzenia niż „To ja siedziałam za kierownicą. To byłem ja”

– Rozumiem – odzywa się David, zanim zdołam się wytłumaczyć. – Oczywiście. Jak mogłem o tym nie pomyśleć? R z e c z y w i ś c i e jestem idiotą. To t y prowadziłaś. – Słowa podsycone są entuzjazmem, jakby właśnie zdał śpiewająco egzamin, nacisk kładzie radośnie na „ty”. Uśmiecha się i mówi zdecydowanie za głośno.

W niczym nie przypomina to tych chwil, gdy jego szczerość wydawała mi się orzeźwiająca, jak powietrze albo morska głębina. Tym razem jest ostra, lodowata i precyzyjna jak wymierzony cios. Śpiew taty gaśnie mi w uszach.

Jestem pewna, że słyszą nas ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach. David musi zamilknąć, musi zaprzestać tego, co ja zaczęłam. Świat wiruje, jego twarz przeobraża się z przystojnej w okrutną. Kulę się w sobie.

– To ty prowadziłaś, prawda? Twój tata siedział obok jako pasażer. Teraz to ma sens! Masz dokładnie sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Nie mogę uwierzyć, że wcześniej nie wziąłem tego pod uwagę! – David wydaje się perwersyjnie podekscytowany. Jakby coś wygrał. Jakby spodziewał się gratulacji: „Super, David! Rozpracowałeś to – tak, to ja zabiłam swojego tatę!”

– Proszę, przestań. Nie rozma... – błagam. Nie dam rady. Nie tutaj, nie z tym jego szalonym uśmiechem na twarzy i dudniącym, zadowolonym z siebie głosem. Rozumiem teraz, dlaczego mama kłamała. Prawda jest ohydna. Chciałabym schować sznurek do kieszeni. Co ja sobie myślałam?

Pomóż mi, tato.

Myliłam się.

Myliłam.

Chciałabym, by David powiedział mi, że nic się nie dało zrobić, żeby

w porę zahamować.

Chciałabym, żeby David oczyścił mnie z zarzutów.

Ale tego wszystkiego, co się tu właśnie dzieje, nie chcę.

– Nie rozumiem, Kit, dlaczego mnie okłamałaś – mówi, a jego twarz znów się zmienia. Teraz David brzmi i wygląda oskarżycielsko. Nie ma w nim żadnego ciepła. Ani grama współczucia czy ludzkich uczuć. Jest jak Hannibal Lecter, który siada do pucharka wypełnionego moimi wnętrznościami.

– Proszę... Przestań, proszę. – Jednak moje słowa giną gdzieś nad blatem stolika. Nie jestem w stanie unieść głowy. Łzy zalewają mi twarz, ale już nie płaczę. Jestem tym, co zostaje po płaczu.

*Zwiesiłam głowę i polały się łzy.*

Gdzie jesteś, tato? Dokąd odszedłeś?

Nie słyszę już jego głosu. Zniknął.

– Jak mogłaś, Kit? – David ma do mnie pretensje. Jakby cokolwiek z tego dotyczyło jego osoby.

– David...

– Jesteś taka sama jak wszyscy. Kłamczucha. To ty siedziałaś wtedy za kierownicą. To byłaś ty. Okłamałaś mnie!

David krzyczy, a potem, zupełnie jak w horrorze, bo takie właśnie stało się moje życie, zapada cisza.

Ktoś upuszcza widelec. Słyszę wyraźne wstrzymywanie powietrza.

Jestem głupia, spodziewałam się miękkiego lądowania, a nie dramatycznego upadku.

No i myliłam się, nie pierwszy już raz: oczywiście, że wcześniej nie sięgnęłam dna. Stało się to dopiero teraz, a dno jest zimniejsze, ciemniejsze i jeszcze bardziej samotne, niż można oczekiwać.

Myliłam się.

Odwracam głowę i wtedy ich zauważam: przy sąsiednim stoliku siedzą Gabriel i Willow. Jedzą naleśniki z bitą śmietaną. Potrawę, którą

zamawiają sobie prości, szczęśliwi ludzie.  
Słyszeli każde słowo.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

# DAVID

**R**ozpracowałem zagadkę. Zrobiłem dokładnie to, czego chciała Kit. Ale to była pułapka, szukanie wiatru w polu. Kłamstwo. J e j kłamstwo.

W restauracji zapada cisza, a potem słychać chóralne zachłyśnięcie się powietrzem. Jakiś facet, którego nigdy wcześniej nie widziałem, wstaje od jednego ze stolików i podchodzi do nas. Powinienem wstać i usunąć się z drogi, chociaż nie wiem dlaczego. Kit zostawiła tyle pytań bez odpowiedzi. Dlaczego nie zaufała mi i nie powiedziała prawdy? Czy nie chce poznać obliczeń? Mam dla niej konkretne dane, kojące fakty i kalkulacje. Nie spałem przez całą noc, żeby do tego dojść.

Mężczyzna obejmuje Kit ramieniem i wyprowadza z restauracji. To wszystko dzieje się tak szybko, że prawie tego nie zauważam. Kit na mnie nie patrzy. Nie mówi nic, nie licząc „Jack?”, co brzmi jak pytanie, chociaż nim nie jest. To z pewnością jego imię. Ten człowiek wygląda na Jacka.

Nienawidzę go.

– Już dobrze, Kitty Cat – mówi.

Kitty Cat to dla niej idealne przydomkowanie, ponieważ koty są skomplikowane, przerażająco inteligentne i potrafią się zwijać w kłębek.

Oczami wyobraźni widzę kota, który z rękawów swetra robi sobie rękawiczki.

– Zaczekaj! – mówię, ale oni idą dalej. Kit rzuca jedno spojrzenie w moją stronę, jedno ostatnie zszokowane spojrzenie: widzę jej bladą, zalaną łzami twarz i po raz pierwszy potrafię odczytać jej wzrok, chociaż wcale tego nie chcę.

Dopiero wtedy, kiedy zmuszam się do kontaktu wzrokowego, wreszcie do mnie dociera, co i jak bardzo zepsułem.

– O cholera! – mówi Miney, kiedy jej wszystko opowiadam.

Do domu wróciłem biegiem, byłem tak skonfundowany, że zostawiłem samochód na parkingu pod restauracją. Jest mi zimno, zmokłem i cały się trzęsę. Staram się zapobiec atakowi, bo on mi w niczym nie pomoże.

Nie pozwalam sobie na myślenie o liczbie pi. Nie zasłużyłem na takie poczucie ulgi. Nie pozwalam sobie też na myślenie o Kit ani o jej twarzy, bo to sprawia mi zbyt wielki ból.

– Nie wiem, zdenerwowałem się i zapomniałem o zasadzie numer cztery. „Pomyśl o danej sytuacji z perspektywy drugiej osoby”. Wszyscy to słyszeli, Miney. Wszyscy. Co ja mam teraz zrobić?

– Nie wiem – odpowiada cicho.

– Jak to: nie wiesz? Musisz wiedzieć. Musisz mi pomóc! – Zaczynam wpadać w panikę.

– Nie jestem pewna, czy potrafię. Uściślijmy. Najpierw się uśmiechałeś, jakbyś dokonał czegoś pozytywnego? A potem zacząłeś na nią wrzeszczeć i oskarżyłeś ją o zabicie ojca, przy czym inni ludzie to słyszeli?

Kiwam głową, zbyt się wstydzę, żeby próbować wyjaśnić kolejność zdarzeń. Ucieszyłem się, że rozwiązałem zagadkę, a potem załamałem, bo się okazało, że zostałem oszukany, i wreszcie – za późno, jak zwykle za późno – uświadomiłem sobie, że patrzę na to z niewłaściwej strony.

– Spieprzyłem sprawę – mówię. Zauważam, że walizka Miney, przez dwa tygodnie otwarta, z wywleczonymi po całym pokoju ubraniami, teraz jest spakowana, zamknięta i stoi przy drzwiach. Moja siostra jest ubrana, uczesana i świeżo pachnie. – Moment! Wyjeżdżasz? Teraz?

– Za dwie godziny. Mówiłam ci. Tak jak prosiłeś, dawałam ci codziennie ostrzeżenie.

– Ale Miney! Nie możesz jechać. Musisz to naprawić.

– Nie mogę wszystkiego za ciebie naprawiać. Muszę wracać na studia. Mam własne sprawy, którymi powinnam się zająć. David...

– Nie nazywaj mnie tak, proszę.

– Okej, sorry, Mały D. Nie mam pojęcia, czy ona ci wybaczy, ale myślę, że dobrze wiesz, co masz robić. Nie potrzebujesz już mojej pomocy tak jak kiedyś.

– Oczywiście, że potrzebuję. Dzisiejszy dzień jest dowodem na to, że absolutnie i niezaprzeczalnie potrzebuję twojej pomocy.

– Nie. Dzisiejszy dzień jest dowodem na to, że nadal jesteś sobą i od czasu do czasu popełniasz błędy typowe dla aspergera – mówi Miney i się zapowietrza. Nigdy wcześniej nie użyła w rozmowie ze mną tego określenia. Oczywiście, „asperger” pasuje do mnie o wiele bardziej niż „David”. Nie wiem, dlaczego tak długo się przed nim opierałem. No i co z tego, że nie ma go już na łamach *DSM*. I tak najlepiej mnie opisuje. – Zobacz jednak, jak szybko zrozumiałeś, co zrobiłeś nie tak. Dawniej może nawet nie zauważyłbyś, że Kit się zdenerwowała. Albo uparłbyś się, że jest przewrażliwiona. Coraz lepiej u ciebie z empatią. Po prostu wymaga praktyki, jak wszystko.

– Ty nie masz takich problemów.

– Nie mów tacie, ale praktycznie zawaliłam fizykę, więc – jak widzisz – każdy z nas ma swoje braki. Podobno wszystkiego można się nauczyć w tysiąc godzin.

– Czyli istnieje szansa, że za jeden przecinek cztery roku będę

normalny?

– Raczej nie. – Uśmiecha się i ściska mnie za ramię. – Ale normalność jest przereklamowana, uwierz mi.

– Muszę przeprosić Kit.

– Tak, musisz. Mimo że cię okłamała.

– Może kupię jej prezent? Czekoladki. Albo taką piżamę z kaczką dziwaczką, którą tak lubisz. – Wpatruję się w biurko Miney, nie chcę patrzeć ani na nią, ani na jej walizkę. Mam wrażenie, że moja siostra już jest nieobecna duchem.

– Może pomiń prezent.

– Każdy lubi owoce oblane czekoladą.

– Zaufaj mi.

– A jeśli mi nie wybaczy? – Wyobrażam sobie pusty stolik w stołówce. Jeśli Kit mi nie wybaczy, może mógłbym się dosiąść do Joségo, Czeskiego Piłkarza i Chloe, którzy siedzą trzy stoły dalej. Co prawda będę się musiał przyzwyczaić do innej akustyki i perspektywy, ale dam radę. Ich towarzystwo oraz widok nie są jednak tak atrakcyjne jak Kit.

Miney wzrusza ramionami.

– To jej strata. Jest wiele innych dziewczyn na świecie.

– Nie odchodź – mówię, chociaż wcale nie mam tego na myśli. Po prostu obracam w słowa nieprzemienne pragnienie, by rzucić się jej do nóg i powstrzymać, tak jak to robiłem z mamą, gdy byłem mały. Rozumiem, że Miney musi wrócić na uczelnię i że moje uczucia w tej kwestii są nieistotne. – Poza tym twój nauczyciel fizyki nie może być taki inteligentny, skoro się na tobie nie poznał.

Miney uśmiecha się, jak to robiła dawniej, a potem mocno mnie do siebie przytula. I chociaż nie lubię przytulania, pozwalam jej, ponieważ jest moją siostrą i moją najulubieńszą osobą na świecie, a za parę godzin już jej tu nie będzie.

– Kocham cię, Mały D. Takiego, jaki jesteś. Więc dobrze, możesz się zmienić, ale nigdy nie zmieniaj się tak naprawdę.

– Okej – mówię, chociaż nie mam pojęcia, co to oznacza. – Boję się, Miney.

– Najlepsi zawsze się boją – odpowiada.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

# KIT

**L**udzie są dla ciebie bardzo mili, kiedy się dowiadują, że zabiłaś swojego ojca – oznajmiam podczas przerwy obiadowej.

Wypróbuję nową wersję siebie, tę, która nie ma już tajemnicy. Żartuję, jakbym wcale nie tonęła w wyrzutach sumienia, jakby traktowanie wypadku lekko i niedbale miało sprawić, że wszystko to po mnie spłynie. Oczywiście siedzę przy swoim dawnym stoliku. Nie widziałam Davida od czasu wyjścia z McCormick's. Jack, który zwykle pojawia się wtedy, kiedy go potrzebuję najbardziej albo gdy w ogóle nie jest mi potrzebny, cudownym zrządzeniem losu siedział w restauracji razem z Evanem. Odwiózł mnie do domu, a ja byłam zbyt wstrząśnięta, żeby sobie uświadomić, że widzę go po raz pierwszy od tamtej chwili, gdy mama wyznała mi prawdę. Przez te pięć minut jazdy znów był wujkiem Jackiem, odwiózł mnie do domu, a mama spojrzała tylko na moją twarz i od razu poszła do apteczki po relanium.

To, co zdarzyło się w McCormick's, od razu się rozniosło, jak zawartość notatnika Davida, tyle że tym razem głównie za pomocą esemesów i szeptanych plotek. Nadal można wrzucić w Google'a moje nazwisko i nic nie wyskoczy.

– Przestań tak mówić – oświadcza Violet, chociaż nawet nie drgnęła, gdy to powiedziałam.

Obie z Annie spędziły całą niedzielę na mojej sofie. Zjawiły się z pizzą i z wielkim opakowaniem m&m's. Początkowo milczałam, a one o nic nie pytały. Po prostu siedziałyśmy, jadłyśmy i oglądałyśmy telewizję, a ja, zamiast zareagować niechęcią, cieszyłam się, że są wobec mnie takie delikatne. Uświadomiłam sobie, że zawsze należały do mojej drużyny. Dopiero po pewnym czasie słowa zaczęły się formować w moich ustach, a kiedy zaczęłam mówić, nie mogłam przestać.

„Mieliśmy z tatą ochotę na snickersa” – powiedziałam, wpatrując się przed siebie. Nie byłam w stanie na nie spojrzeć. „To dlatego wtedy pojechaliśmy. Powiedzieliśmy mamie, że skończyło się mleko. Tata kazał mi usiąść za kierownicą, ponieważ chciał, żebym ćwiczyła. Wiecie, co jest w tym najdziwniejsze? Wypadek zdarzył się w drodze powrotnej, a karton mleka przetrwał na tylnym siedzeniu. Nie został zniszczony, nie miał nawet minimalnego wgniecenia. Dziwaczna sprawa. I nadal mam połowę batonika. Trzymam go na biurku, jak jakąś chorą pamiątkę”.

„Zapewne byłoby wyjątkowym *faux pas*, gdybym teraz zażartowała, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, prawda?” – zapytała Annie i nie wiedzieć czemu zarówno ja, jak i Violet uznałyśmy, że to szalenie zabawne, i śmiałyśmy się tak długo, aż łzy popłynęły nam z oczu. Uświadomiłam sobie wtedy, że może humor mógłby mi pomóc przetrwać. To inny sposób na zagięcie czasoprzestrzeni.

– To był w y p a d e k. Naprawdę nie twoja wina – mówi Annie.

To ich nowa mantra, zawierająca słowa „wypadek” i „wina”, jakby niosły w sobie jakąś magię. Jestem rozgrzeszona. Puf. Już jest lepiej. Nie protestuję, gdy tak mówią, potrzebuję każdego możliwego pocieszenia. Nie powinnam była zwlekać tak długo z rozmową z przyjaciółkami. Cały czas mnie wspierają, nie to co David.

– Ale nie rozumiem, dlaczego twoja mama nalegała na zachowanie

tajemnicy – mówi Violet.

– Próbowала mnie chronić – odpowiadam, po czym nie mogę się powstrzymać i spoglądam w stronę stolika Davida. Nie ma go tam jednak, siedzi kilka rzędów dalej z ludźmi z Ligi Akademickiej. Przyłapuje mnie na tym, że na niego patrzę, więc szybko odwracam się z powrotem do dziewczyn. – Myślała, że jeśli nikt się nie dowie, nie przypną mi żadnej łatki. Znaćie moją mamę, jak się uprze, to koniec. Zmusza mnie, żebym codziennie jechała samochodem do szkoły, i wysyła po różne rzeczy, ponieważ boi się, że nabawię się lęku. Fobii.

– Działa? – pyta Annie.

– Tak jakby. Nadal jeszcze się trochę trzęsę w samochodzie, ale za każdym razem jest odrobinę łatwiej.

Ostrzegłam przyjaciółki, że nie istnieje już dziewczyna, którą kiedyś znały i kochały. Że powinny przestać próbować ją ożywić. Nie jestem silniejsza ani odważniejsza, jak łudziła się moja mama. Jestem nową wersją siebie, być może kimś, kogo kiedyś polubią bardziej niż poprzednią. Kto wie? Może okażę się zabawniejsza?

Mama znalazła mi psychologa specjalizującego się w terapii żałoby, sama też się umówiła na spotkanie. Ostatnio wspominała o wizycie u trzeciego psychologa, żebyśmy mogły pogadać razem. Działyśmy.

– Postanowiłyśmy, że pójdziemy na bal same, pojedziemy Uberem. Niepotrzebny nam inny kierowca. Wybierzesz się z nami? Tylko my, bez facetów? – pyta Annie. – Proszę! Proszę!

– Nie mogę.

– Dlaczego? Skoro ja mogę iść i przez cały wieczór przyglądać się, jak Gabriel obślinia Willow, to ty też możesz przyjść i chociaż udawać, że się dobrze bawisz.

Wzruszam ramionami. Mój tata byłby podekscytowany balem. Pewnie zrobiłby mi tysiąc zdjęć i wrzucił je wszystkie na fejsa bez mojej zgody oraz błagałby mnie, żebym przesłała mu esemesem playlistę.

– Dawaj, Kit – mówi Violet.

– Przepraszam, ale nie.

– Chodzi o Davida, prawda? Zapomnij o nim, to dziwoląg – stwierdza Annie. – Oczywiście już nie jesteśmy jego fankami.

– Nie chodzi o Davida – odpowiadam, chociaż może trochę chodzi. Ponieważ przez krótką chwilę, zanim David stał się moim wrogiem, wyobrażałam sobie nas elegancko ubranych, tańczących powoli do jakiegoś romantycznego kawałka. Wyobrażałam sobie kolejny wieczór taki jak na imprezie u Dylan, kiedy David patrzył na mnie jak na kogoś, kto jest wart spojrzenia. Kiedy pozwoliłam sobie na zapomnienie.

Po tym, co się wydarzyło w McCormick's, przysłał mi tylko jednego esemesa. Z jednym słowem: „Przepraszam”

Może i zabiłam swojego tatę, ale wydaje mi się, że nawet ja zasługuję na więcej.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

# DAVID

**P**ierwszy tydzień po spieprzeniu sprawy wciąż czuję zażenowanie i mam takie wyrzuty sumienia, że zdobywam się jedynie na kretyńskiego esemesa. Jest bardzo krótki, ograniczam się do słowa, które nie może być niewłaściwe: „Przepraszam”. Nie ufam sobie na tyle, żeby napisać cokolwiek więcej, bo mógłbym jeszcze bardziej wszystko popsuć. Kiedy tylko biorę do ręki telefon, żeby wysłać kolejną wiadomość, paraliżuje mnie strach. Mam wrażenie, że nie zasłużyłem sobie na możliwość wytłumaczenia. Nie zasługuję nawet na to, żeby oddychać tymi samymi cząsteczkami powietrza co Kit.

Całymi dniami zajmuje mnie zasada numer cztery – próbuję sobie wyobrazić, co Kit może myśleć. Stawiam na to, że uważa mnie za socjopatę. Uśmiechnąłem się. Uśmiechnąłem się, kiedy rozmawialiśmy o wypadku, podczas którego ona prowadziła, jej tata siedział na miejscu pasażera i zginął. U ś m i e c h n ą ł e m s i ę.

A potem miałem czelność k r z y c z e ć.

Ponieważ siedzę we własnym umyśle, rozumiem, dlaczego to zrobiłem – ciąg przyczynowo-skutkowy jest dla mnie bardzo czytelny – ale zdaję sobie sprawę, że dla niej, dla osoby znajdującej się poza moim

umysłem, niezdającej sobie sprawy z moich reakcji synaptycznych, muszę być potworem.

Kiedy siedziałem w McCormick's, z Kit naprzeciwko, z zimnym koktajlem w żołądku i dziwnym wrażeniem nowych ubrań na ciele, mój umysł się zawęził. Zrobił to, w czym jest naprawdę dobry. Skoncentrował się na jednej rzeczy. Gdybym miał przyrównać tamtą chwilę do rosyjskiej matroszki, powiedziałbym, że zwracałem uwagę na najmniejszą laleczkę. Skupiałem się na detalach: plamach krwi, informacjach dotyczących hamowania oraz spreparowanym przez siebie algorytmie. Znalazłem odpowiedź, tkwiła w samym środku, jak maleńka bryłka złota. Tylko ją widziałem. Rozwiązanie równania matematycznego, które od dawna nie dawało mi spokoju. Brakujące dane.

Nie widziałem pozostałych – metaforycznych – laleczek. Tych, które zawierały w sobie najmniejszą.

Nie widziałem tego, co neurotypowi ludzie nazywają k o n t e k s t e m.

Nie dostrzegałem Kit, siedzących dookoła osób oraz delikatności poruszanego tematu.

Szczerze mówiąc, nie widziałem nic.

– David, gdybym rezygnował za każdym razem, gdy kogoś wkurzę, w ogóle nie miałbym przyjaciół – mówi Trey tydzień później, po tym jak opowiedziałem mu całą historię, łącznie z elementami, które są dla mnie najtrudniejsze. Nasza dzisiejsza lekcja będzie dotyczyła wyłącznie kompetencji społecznych, ponieważ jestem tak wstrząśnięty tym, co się stało, że nawet nie wyciągam gitary.

– Zapewne mi nie wybaczy – odpowiadam.

– Być może nie, ale musisz chociaż spróbować. A jeśli zrobisz wszystko, żeby ją przeprosić, a ona ci nie wybaczy, musisz przejść nad tym do porządku dziennego. Spieprzyłeś sprawę, zdarza się. Będą

jeszcze inne dziewczyny.

– Niezupełnie. To znaczy... oczywiście, że jest wiele innych dziewczyn na świecie, ale z definicji żadna nie jest taka jak Kit, żadna nie ma takiej samej konstrukcji genetycznej ani środowiskowej. – Żałuję, że gitara leży w szafie, bo moje ręce aż się rwą do ruchu. Przydałyby mi się teraz struny.

– Co najgorszego może się stać, jeśli spróbujesz?

– Jeszcze bardziej mnie znienawidzi. Znowu się upokorzę. Dostanę ataku, zwinę się w kłębek i będę się kołysał przed całą szkołą.

– Widzę, że dogłębnie to sobie przemyślałeś.

– W niczym mi nie pomagasz.

– To może tak: nie jesteś w stanie kontrolować jej reakcji, ale możesz kontrolować własne. Bądź sobą. Zrób, co możesz, i miej nadzieję na pozytywny skutek.

– Płacę ci czterdzieści dolarów za godzinę, a ty jesteś w stanie powiedzieć tylko: „Bądź sobą”?

– Twój rodzice mi płacą, a nie ty, mądralo.

– Racja – odpowiadam, bo tak rzeczywiście jest.

Tak więc pięć dni po rozmowie z Treyem, pięć dni, podczas których skupiam się na najmniejszej matryoszce, jaką jest odzyskanie przyjaźni Kit, pięć dni, podczas których myślę usilnie, co to znaczy, że mam być sobą – wreszcie jestem gotów na realizację planu.

Pierwszym krokiem jest jedzenie. W końcu wszystko zaczęło się w stołówce.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

# KIT

**W** poniedziałek wracam do domu i znajduję na progu lodówkę turystyczną podpisaną moim imieniem. Wewnątrz znajduje się wielkie pudełko z domowym kurczakiem tikka masala i białym ryżem. Do kurczaka jest dołączony list, ale nie ma na nim ani jednego słowa, tylko trzy pozornie identyczne rysunki. Przedstawiają mnie, wyglądam jednak na ładniejszą i smutniejszą niż w rzeczywistości. Oczywiście od razu wiem, że ich autorem jest David, ale dopiero po chwili dostrzegam różnice.

Na pierwszym rysunku piegi układają się tak, jak powinny: w kształt zbliżony do okręgu.

Na drugim David ułożył je w kształt liczby pi.

Na trzecim przedstawiają znak nieskończoności.

Przyczepiam te trzy wizerunki do wewnętrznej strony drzwi szafy, są teraz zwrócone w stronę moich ubrań. W miejscu, które tylko ja zobaczę. To ja zamieniona w sztukę.

Wieczorem jemy z mamą kurczaka w kuchni. Siedzimy obok siebie, oddziela nas ciężar prawdy. Powoli zaczynamy się przyzwyczajać do szczerości, akceptujemy milion sposobów, jakimi wpełza nam pod



skórę i czyni nas bezbronnymi, wrażliwymi. Próbujemy otworzyć się na przerażającą możliwość, że zostaniemy zrozumiane. Oraz na jej straszniejsze przeciwieństwo: że nikt nas nie zrozumie.

Kurczak jest przepyszny. Prawie tak dobry jak ten, który robi babcia, i o wiele lepszy od serwowanego w Curryland.

We wtorek otwieram szkolną szafkę i znajduję w niej grubą zakurzoną książkę, stare wydanie *DSM*. Samoprzylepna karteczka i strzałka wskazują na rozdział dotyczący zespołu Aspergera.

*Jestem pewien, że mam aspergera. To stare wydanie DSM (w nowym moja diagnoza podchodzi pod zaburzenia ze spektrum autyzmu). Myślę, że to Ci wiele wyjaśni w kwestii tego, dlaczego jestem, jaki jestem (i dlaczego zachowałem się tak, a nie inaczej), chociaż nie traktuję mojej diagnozy jako wymówki. To raczej wytłumaczenie.*

*Istnieje powiedzenie, że jeśli poznałaś jedną osobę z autyzmem, to... poznałaś jedną osobę z autyzmem.*

*Tak więc poznałaś mnie.*

*Tylko mnie.*

*Nie diagnozę.*

*Zdaję sobie sprawę, że Cię skrzywdziłem. Zapomniałem, że najpierw powinienem pomyśleć o Tobie.*

*Nie wszedłem w Twoją skórę, jak mówią.*

*Chociaż, gdy o tym pomyśleć, idea wchodzenia w czyjąś skórę wydaje mi się obrzydliwa. Akceptuję to wyrażenie wyłącznie w sensie metaforycznym.*

*Wiedz, że tylko o Tobie myślę.*

*PS Sugeruję zmianę kodu do szafki ze względów bezpieczeństwa, ale dopiero w przyszłym tygodniu. Odgadłem Twój kod przy piątym podejściu.*

\*

W środę otwieram laptopa na pierwszej lekcji i wypadają z niego trzy bilety na mecz koszykówki drużyny Princeton, a wraz z nimi liścik i kolejny rysunek. Tym razem siedzę na trybunach, wśród rzeszy kibiców, a obok mnie znajdują się Annie i Violet. Nie jestem smutna, śmieję się, a coś w moich włosach – to, jak opadają mi idealnie na ramiona – sprawia, że wyglądam na wolną.

*Powiedziałaś, że lubisz oglądać mecze. I to ja jestem dziwny?*

*Tak na marginesie – to miał być żart, chociaż nie jestem pewien, czy wolno mi z Tobą żartować. Zapewne nie, ponieważ od czasu incydentu w McCormick's nie rozmawiamy ze sobą. Mam teraz nowy cel w życiu: uzyskać kiedyś pozwolenie na to, by móc cię rozbawić.*

W czwartek w skrzynce pocztowej znajduję drzewko bonsai.

*Mówiłaś, że Twój tata uwielbiał takie drzewka. Pomyślałem/miałem nadzieję, że może Ty też.*

W piątek otwieram szafkę i znajduję przyklejony do ścianki rysunek. Przedstawia dwie liczby, 137 i 139, ale w ludzkiej postaci. 139 ma plecak, jak David, oraz jego nową fryzurę. 137 nosi torbę na ramię i wielką męską koszulę mojego taty. Obie liczby idą za rękę ulicą Clancy.

*Chciałem, żebyś wiedziała, że to moje ulubione liczby i ulubione liczby bliźniacze: 137 i 139. Teraz chcę je podarować Tobie.*

*137 i 139.*

*Od dzisiaj należą do Ciebie.*

*Dbaj o nie, proszę.*

W sobotę, gdy sprawdzam skrzynkę, znajduję e-mail zatytułowany: *To daje mi nadzieję...* Wewnątrz David zamieścił link do artykułu

o rosyjskim naukowcu, który w warunkach laboratoryjnych wyhodował dwa identyczne płatki śniegu. Uśmiecham się jak głupia do ekranu komputera.

W niedzielę David zostawia na naszej werandzie stare radio ratunkowe na korbkę.

*Żebyśmy zawsze odbierali nawzajem swoje fale. Oczywiście mnie takie radio jest o wiele bardziej potrzebne niż Tobie, ale kupowanie samemu sobie prezentu nie współgrało z ideą wieloetapowych przeprosin.*

W poniedziałek po ostatniej lekcji Annie zatrzymuje mnie na parkingu. Ręce mi się trochę trzęsą – jak zawsze, gdy siadam za kierownicą – ale tym razem nie próbuję tego ukryć.

– David poprosił, żebym Ci to przekazała – mówi i podaje mi kartkę, która wygląda, jakby została wyrwana z jego notesu.

Patrzę na Annie pytająco, ale ona tylko wzrusza ramionami.

– I tak nigdy nie miało znaczenia, co myślę o Davidzie, więc teraz też nie powinno – oznajmia i trąca mnie w ramię.

Rozwijam kartkę.

KIT LOWELL: Wzrost: 162 cm. Waga: około 57 kg. Falowane brązowe włosy, w dni klasówek, deszczu i w większość poniedziałków nosi je ściągnięte w kitkę. Skóra lekko brązowa, ponieważ jej tata – dentysta – jest biały, a mama to Hinduska. Ranking klasowy: 14. Zajęcia: szkolna gazeta, kółko hiszpańskiego, klub organizatorów szkolnych wydarzeń.

Już to wszystko czytałam, kiedy treść jego wykradzionego notesu trafiła do sieci, ale teraz cała notatka została przekreślona grubymi liniami, zamiast tego widnieją słowa napisane drukowanymi literami:

ULUBIONA DZIEWCZYNA NA CAŁYM ŚWIECIE. CZY NADAL JEST MOJĄ PRZYJACIÓŁKĄ?

Proszę, przyjdź po szkole na trybuny. Bardzo proszę.

Jest mi naprawdę przykro. Bardziej niż komukolwiek w historii ludzkości. Dołączę

jeszcze jedno „proszę” na szczęście, chociaż nie wierzę w szczęście. Wierzę w naukę. Przepraszam. Jeszcze raz.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

# DAVID

Czekam na trybunach, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie usiedliśmy w pierwszy dzień, kiedy Kit była dla mnie po prostu Kit Lowell, wpisałem w notesie, osobą ostrożnie i niepewnie dodaną do listy osób godnych zaufania. I dopisałem kilka istotnych spotkań. Nic więcej. Teraz sobie uświadamiam, że nie licząc Miney, to moja pierwsza przyjaciółka. Jeśli nie przyjdzie, serce mi pęknie. Oczywiście metaforycznie, ponieważ zapewne będzie bić dalej. Pojawi się ból w znaczeniu dosłownym i przenośnym.

Zamykam oczy, przypominam sobie nasz pierwszy pocałunek. Jak chwyciła mnie za kark. Mam wrażenie, że upłynęło znacznie więcej dni niż czternaście. Odkąd poznałem Kit, czas zmienił swój kształt. Czy to możliwe, że miłość jest tak potężną siłą, iż zakrzywia kontinuum czasoprzestrzenne? Czy ma cząstki i fale czegoś, co przypomina świadomość? Muszę później przemyśleć kwestię zastosowania teorii kwantowej do miłości, a przynajmniej do jej odpowiedników chemicznych i hormonalnych. To mógłby być ciekawy temat mojej przyszłej pracy doktorskiej.

Nie przyjdzie, to oczywiste. Teraz się okaże, że miniony tydzień był

jedynie bezowocną serią moich aktów rozpaczy. Patrę, jak uczniowie wysypują się ze szkoły, większość dwójkami lub trójkami, onieśmielająco organicznymi formacjami. Atomy łączące się w cząstki.

Ja, jak zwykle, jestem sam.

Moje słuchawki wołają mnie swoim syrenim śpiewem, z trudem się powstrzymuję, by ich nie wyjąć z plecaka. Przebrnę przez otaczający mnie hałas, pozwolę, żeby nasiąkł nim mój umysł. Odległy dźwięk dzwonka. Warkot silników. Wibrujący w moim organizmie niepokój.

Strzelałem w ciemno i spudłowałem. Kit nie potrzebuje więcej przyjaciół, a już na pewno nie takich jak ja.

Zastanawiam się nad mało prawdopodobną opcją, którą zasugerował Trey: że któregoś dnia Kit przestanie mi być potrzebna. Że znajdę sposób, by wypełnić życie innymi ludźmi. Że na świecie są inne dziewczyny i może jedna z nich znów okaże się dla mnie Złotowłosa. Oczywiście wszystkie dane wskazują na to, że Kit jest wyjątkiem. Że coś takiego już się nigdy nie powtórzy.

Zamykam oczy, dłużej nie potrafię się opierać. Zakładam słuchawki i zaczynam recytować liczbę pi.

– David?

Jestem na sto trzydziestej czwartej cyfrze po przecinku, kiedy podnoszę wzrok. Przedemną stoi Kit i wygląda tak jak zawsze. Nie muszę się przyzwyczajać do nowej wersji, przynajmniej to przynosi mi ulgę. Kit się nie uśmiecha.

Niebo zwiesza się nisko – szare, nieprzyjazne. Gdyby to była powieść, z pewnością zostałoby opisane jako złowieszcze.

– Cześć – mówię i zdejmuję słuchawki. Uświadamiam sobie, że jestem żałośnie nieprzygotowany na ten moment. Powinienem był napisać przemówienie. Narysować coś. Albo przynajmniej zastanowić się nad tym, co chcę powiedzieć. Dociera do mnie, że nie sądziłem po prostu, iż Kit się pojawi. – Usiądziesz?

Zajmuje miejsce obok i osłania ręką oczy przed niewidocznym słońcem. Siedzimy w milczeniu przez kilka minut.

– A więc? – pyta. – Chciałeś, żebym przysłała.

– Myślałaś kiedykolwiek o tym, że twoje imię do ciebie nie pasuje? To znaczy... w mojej głowie zwykle jesteś Kit, ale uważam, że twoje imię powinno zawierać literę Z, ponieważ jesteś zagmatwana i zygzakowata, a w dodatku zjawiasz się w zaskakujących miejscach – na przykład przy moim stoliku w stołówce albo na trybunach. Naprawdę nie myślałem, że przyjdiesz. Może także cyfrę osiem, ponieważ... nieważne. I literę S. To moja ulubiona. Więc tak, Z8S-137. Albo 137-Z8S. Tak czasami o tobie myślę – mówię, ciesząc się, że jestem w stanie cokolwiek powiedzieć. I zbyt się denerwuję, żeby ocenić, czy to, co mówię, ma sens.

– Nie wiem, czy dam radę – oznajmia Kit.

Mówię dalej.

– Moje imię też do mnie nie pasuje. Pomyśl tylko: David? Wiesz, że w Stanach Zjednoczonych żyje około trzech milionów siedmiuset osiemdziesięciu sześciu tysięcy czterystu siedemnastu Davidów? Moi rodzice gorzej nie mogli wybrać. Powinienem być... sam nie wiem. Kimś z literą Y w każdym razie.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym ty teraz mówisz.

– Próbuję ci przekazać – zapewne fatalnie – że każdy z nas jest widziany w jakiś sposób przez resztę świata. Ty byłaś pierwszą osobą w tej szkole – a może nawet w ogóle, nie licząc mojej najbliższej rodziny – która spojrzała na mnie i dostrzegła kogoś więcej niż trzepoczącego rękoma dziwaka znanego pod imieniem David albo gównozerca. Słuchałaś mnie. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny. To jakby ktoś podarował mi lepsze imię.

Kit kiwa głową, a ja się zastanawiam, czy za chwilę wstanie i sobie pójdzie. I tak to się skończy, ani wrogowie, ani przyjaciele. Wmawiam sobie, że i tak będę mógł to uważać za zwycięstwo.

– Ale ja... to znaczy... Nie będziemy rozmawiać o tym, co się stało? Tamtego dnia twoja inność nie była ani pozytywna, ani urocza. Była okrutna. Skrzywdziłeś mnie. I nie obchodzą mnie imiona, przestań zmieniać temat.

– Przecież nie zaczęliśmy tematu...

Kit wzdycha, więc odchrząkuje. I próbuję od nowa.

– Masz rację. Jest mi bardzo przykro. Mogę spróbować wyjaśnić, co się wtedy wydarzyło, to znaczy... w kwestii mojego mózgu, ponieważ musisz wiedzieć – mam nadzieję, że wiesz – nigdy, przenigdy nie byłbym celowo okrutny, zwłaszcza wobec ciebie. Jesteś moją ulubioną osobą. Chodzi o to, że ja się bardzo skupiam na jednej rzeczy, i to właśnie wtedy robiłem. Skupiłem się na sednie sprawy, na odpowiedzi, a nie na tym, co ona oznacza. Nie wiem, czy mnie rozumiesz...

Kit wzrusza ramionami, to gest widniejący w *Słowniku obrazkowym dwuznacznych gestów*, który mam w głowie. Nie wiem, co robić. Mam mówić dalej czy powinienem jednak zamilknąć?

– Przepraszam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz – mówię i odwracam się, by na nią spojrzeć. Jednak nie na jej obojczyk, szczękę czy lewe ramię. W oczy, tak jak jest najtrudniej.

– Nie wiem, chyba – odpowiada i to ona jako pierwsza odwraca wzrok. – Ale to nie oznacza, że znów jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi i tak dalej.

– Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi? – pytam.

Oczywiście, ona była dla mnie najlepszą przyjaciółką – oprócz Miney, ale to rodzina, więc się nie liczy. Nie sądziłem, że ona też mnie zaliczała do tej kategorii.

– Wiem, że to ja poprosiłam cię o zajęcie się projektem „Wypadek”. Wiem o tym. To wszystko było takie pokręcone. Wiem, że nie powiedziałam ci prawdy, a przynajmniej nie całą, ale wykrzyczałeś całemu światu mój największy sekret – najgorszą rzecz, jaka przytrafiła



mi się w życiu, i mam nadzieję, że najgorszą w ogóle. Jakby to było nic takiego. Jakbyś miał w dupie moje uczucia.

– Przepraszam. Nie tylko za to, że krzyczałem. I że zachowałem się niewłaściwie. Czasami robię takie głupie rzeczy. Przepraszam za to wszystko, ale najbardziej za to, że to ci się w ogóle przydarzyło. To, że siedziałas za kierownicą tamtego samochodu – niewytłumaczalne okrucieństwo losu – to jedyna rzecz, jakiej nie potrafię wyjaśnić za pomocą matematyki czy teorii kwantowej. Widzisz, ja raczej nie stosuję słowa „los”, ale są rzeczy wymykające się spod wszelkiej kontroli, nawet nauka nie ma dla nich nazwy. I są straszne. Nie zasługujesz na to, co się stało. Ten wypadek nie był twoją winą. Nawet matematyka...

– Okej – przerywa mi Kit, jakby podjęła decyzję, jakby nie była zainteresowana moimi algorytmami.

Oczywiście nie mam pojęcia, jaka jest ta decyzja i czy w ogóle się w jakiś sposób ze mną wiąże.

– Nie mogłaś zahamować. Nic nie mogłaś działać – mówię. To ostatni prezent, jaki mogę jej zrobić, nawet jeśli ona nie jest pewna, czy chce to usłyszeć. A potem koniec. Żadnych więcej rysunków, żadnych potraw. Tylko ja.

– Oczywiście, że mogłam zahamować. Mogłam szybciej przycisnąć pedał. Musiał być taki moment – i tylko tego chciałam się dowiedzieć. Kiedy. Żebym mogła zobaczyć to z innej strony, choćby tylko we własnej głowie – odpowiada, wpatrując się w horyzont.

Patrzę w ślad za jej spojrzeniem, ale nie wiem, co widzi. Zapewne całe Mapleview.

– Tak naprawdę nie mogłaś. Gdybyś zahamowała, byłoby znacznie gorzej. Ktoś jeszcze straciłby życie. Za tobą jechał mini cooper, gdybyś się nagle zatrzymała, zostałby zmiażdżony z dwóch stron. Oba samochody przyjęłyby uderzenie. Mogę ci pokazać symulację

na modelach, które przygotowałem, jeśli chcesz.

– Raczej nie. Znaczący... dziękuję. Ale są rzeczy... ja nie mogę...

– To nie była twoja wina. Ani pod względem matematycznym, ani prawnym. Nic nie byłeś w stanie zrobić. Zamiast próbować spojrzeć na to z innej strony, może po prostu w ogóle przestaniesz na to patrzeć?

Kit przenosi na mnie wzrok, na jej twarzy czai się coś, czego nie potrafię nazwać.

– Nie poznałam jej. Tej kobiety w mini. Nie wiem nawet, jak się nazywa.

– Uratowałaś jej życie.

– Może. – Kit kiwa głową, ale jej uśmiech jest ledwie widoczny, wodnisty, już zaczyna się rozpląwać. – Jeszcze raz dziękuję. To miłe z twojej strony.

– Uratowałaś jej życie – powtarzam, bo chyba nie słyszy pewności w moim głosie. A ja stwierdzam fakt.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Ja nie sądzę. Ja wiem. Matematyka nie kłamie.

– Za to ludzie, owszem, ciągle.

– Nie ja.

– Nie ty – potwierdza i jej uśmiech znów odżywa.

– Czyli wracamy do przyjaźni?

– Pewnie.

– Wiesz, nie musimy siedzieć przy tym samym stoliku w stołówce – wydawałaś się uszczęśliwiona powrotem do Annie i Violet – ale byłoby świetnie, gdybyśmy czasami mogli pogadać. Na przykład w szkole.

– Oczywiście, że możemy gadać – odpowiada, a mnie zalewa fala ulgi. Jednak nie wszystko stracone.

– Ale wyjaśnijmy sobie pewne rzeczy. Rozumiem, że całowanie nie wchodzi już w grę? – pytam.

Kit się śmieje. Głośno, radośnie, a ja czuję się tak samo fantastycznie

jak wtedy, gdy rozbawiłem ją po raz pierwszy. Kiedy chodzi o śmiech Kit, nie liczą się moje zamysły, tylko efekt.

– Zobaczymy.

– Czyli... że co? Że może tak?

Trąca mnie łokciem, to chyba przyjacielski gest, więc odpowiadam tym samym.

Tłumaczę go sobie jako „nie, dziękuję”

– Dobrze. A trzymanie się za ręce? Będzie możliwe?

– David.

– Dobrze. Już przestaję gadać. Możemy posiedzieć sobie w milczeniu.

– To świetny pomysł.

– Okej.

– Dziękuję.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

# KIT

Siedzimy z Davidem na trybunach, a całe Mapleview rozpościera się przed nami niczym menu restauracyjne. Jest zimowe popołudnie, ta godzina, kiedy cały świat spowija identyczna rozmyta szarość. Powietrze jest gęste, można by je pokroić i serwować jak ciasto. Nasze małe miasteczko z tej odległości wydaje się jeszcze mniejsze.

Pozwalam, żeby otuliły mnie jego słowa. Nie miałam na nic wpływu. Potwierdzają to podobno obliczenia matematyczne i model w jego komputerze. Nie wiem jeszcze, co o tym wszystkim sądzić i czy to cokolwiek zmienia. Być może nie. Być może nie istnieje dla mnie ukojenie, a jedynie upływ czasu.

Jestem pewna, że David przywołałby jakąś teorię kwantową – rozwijanie naszych przyszłych wersji, istnienie wieloświatów, gojenie się ran na poziomie molekularnym. Ja jednak sądzę, że to wszystko jest znacznie prostsze. Tata miał rację: ludziom zdarzają się niewyobrażalnie gówniane rzeczy. Mamy wybór, czy z nich wyrastamy, czy więdniemy. Wybaczamy czy pielęgnujemy w sobie urazę. Ja wybieram wzrost i wybaczenie, zarówno dla siebie, jak i dla mamy. Ona zasługuje na taką samą łaskę.

Spoglądam na Davida. On patrzy na mnie i się uśmiecha, więc i ja się uśmiecham. A potem odwracamy wzrok i patrzymy przed siebie. Nie wiedzieć czemu przychodzą mi na myśl trzy portrety wiszące w mojej szafie. Moja klatka piersiowa wytatuowana piegowymi możliwościami. Pi. Nieskończoność. Jedno otwarte, drugie zamknięte. Oba wieczne. Na samą myśl czuję się lżejsza. Bliższa całości. Jakby większa.

– 137-Z8S? – pytam. – Poważnie?

– Jeśli wolisz, mogę cię nazywać Z8S-137 albo Z8, żeby było krócej.

– Pomyślę o tym – mówię. A kiedy na niego patrzę, uświadamiam sobie, że miał rację. Nie wygląda na Davida. Wcale. – A jak ja ciebie powinnam nazywać?

Wzrusza ramionami, tym swoim nienaturalnym wzruszeniem, które dzisiaj wydaje mi się urocze.

– W takim razie pomyślę – stwierdzam.

– A pomyślisz też o całowaniu? – pyta David.

Wybucham śmiechem i naśladuję jego wzruszenie ramion. Gdyby tylko wiedział, ile czasu spędziłam na myśleniu o całowaniu!

– Pomyślisz o trzymaniu się za ręce? – pyta.

Nie odpowiadam, tylko przysuwam rękę, żeby znalazła się obok jego ręki. David wysuwa mały palec, splata go z moim, a ciepły, cudowny dreszcz przeszywa mnie aż po szyję.

Siedzimy tak przez chwilę, spleceni małymi palcami, jakbyśmy dawali sobie maleńką obietnicę.

A potem chwytam całą jego dłoń i splatam wszystkie palce z moimi.

Nieco większa obietnica. A może prośba: stań się częścią mojej drużyny.

To takie proste. Chociaż raz wszystko jest takie proste. W tej chwili jesteśmy tylko my, razem, dłoń w dłoni.

Najszczęśliwszy z gestów. Jeden ze sposobów przetrwania. Być może najlepszy.

# PODZIĘKOWANIA

**C**hociaż to moje nazwisko widnieje na okładce tej książki, trzeba pamiętać, że do napisania powieści przyczynia się mnóstwo osób. Jeśli więc nie spodobała się Wam niniejsza historia, poniżej znajdziecie listę osób, na które można zrzucić winę. Oczywiście żartuję. Za wszystkie błędy odpowiadam ja, poniższym osobom należą się wyłącznie wyrazy uznania.

Po pierwsze, dziękuję Beverly Horowitz, która popychała mnie do działania: pisania, redagowania, cyzelowania i dopieszczania tekstu. Jestem Ci ogromnie wdzięczna za idealną współpracę. Wielkie podziękowania ślę także pod adresem mojej agentki, Jenn Joel, jednej z najbardziej inteligentnych i błyskotliwych osób, jakie znam. Cieszę się, że stoisz po mojej stronie. Dziękuję niezmiernie nieodżałowanej Elaine Koster, za którą wszyscy tęsknimy.

Gorące wyrazy wdzięczności oraz serdeczne uściski kieruję w stronę cudownej ekipy z Random House Children's Books, do której należą: Jillian Vandall (najlepszy wydawca, jakiego mogłam sobie wymarzyć), Kim Lauber, Hannah Black, Dominique Cimina, Casey Ward, Alissa Nigro, John Adamo, Nicole Morano, Rebecca Gudelis, Colleen Fellingham oraz boska Laura Antonacci. Jestem zobowiązana działowi praw zagranicznych w ICM, Sharon Green oraz mojemu internetowemu kubłowi zimnej wody, jakim jest Fiction Writers Co-op. Ściskam mocno Julię Johnson i ślę całusy Kathleen Caldwell oraz A Great Good Place for Books – bez wątplenia najlepszej niezależnej księgarni na świecie.

Przed napisaniem tej książki przestudiowałam mnóstwo materiałów – jeśli chcielibyście się dowiedzieć czegoś więcej na temat autyzmu, napiszcie do mnie przez moją stronę internetową. Z chęcią podzielę się z Wami swoją listą lektur. Nadal się uczę, mam nadzieję, że do mnie dołączycie.

Chciałabym szepnąć także słówko czytelnikom, dzięki którym piszę: jesteście moją ulubioną drużyną. Nie wiem, jak mam Wam dziękować za to, że mogę codziennie robić to, o czym kiedyś tylko marzyłam. Dziękuję Wam za e-maile, listy, wiadomości na Twitterze, posty na blogach, zdjęcia, podchodzenie do mnie podczas spotkań autorskich, za całe Wasze wsparcie. Jesteście świetni, a ja jestem Wam dozgonnie wdzięczna.

No i wreszcie słowo do moich rewelacyjnych przyjaciół i rodziny. Dziękuję tacie i Lenie za to, że wszyscy, którzy kiedykolwiek stanęli na Waszej drodze, przychodzą na moje spotkania autorskie. Dziękuję bratu za dodawanie mi otuchy. Mammaji za opiekę nad dziećmi i pilnowanie, żeby rodzina Kit została właściwie opisana. Całej reszcie klanu Flore za to, że mogłam dołączyć do Waszej rodziny. Mamie i babci, które – jeśli fizycy kwantowi się nie mylą – żyją gdzieś, także w mojej książce. Na końcu dziękuję Indy’emu, Elili i Luce, którzy wypełniają każdy mój dzień sensem i miłością. Jestem największą szczęściarą pod słońcem.

# Przypisy

[1] *Kit* (ang.) – apteczka, wyposażenie. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].


[2] Od ang. słowa *mine* – mój.

[3] Gra słów: *Nie ufaj atomom; one wszystko zmyślają / z nich wszystko się składa.*

[4] *Kochanie, zeszłej nocy śniło mi się, że trzymam cię w ramionach. Gdy się obudziłem, kochanie, zdałem sobie sprawę, że to tylko sen, a wtedy zwiesiłem głowę i polały się łzy.*





 za**bookowani**.pl

**DAVID NIE POTRAFI ROZMAWIAĆ Z RÓWIEŚNIKAMI.  
KIT ZAPOMNIAŁA, JAK TO SIĘ ROBI.**

Gdy śliczna i popularna Kit Lowell zaprzyjaźnia się z chorym na zespół Aspergera Davidem Druckerem, wszyscy są zszokowani – a najbardziej David i Kit. Tych dwoje – wydawałoby się niemających ze sobą nic wspólnego – świetnie się rozumie! Dziewczyna zmagając się z życiową tragedią – jej ojciec zginął w niejasnych okolicznościach. David angażuje się w prywatne śledztwo, ale żadne z nich nie jest w stanie przewidzieć, jak ono się skończy...

*Urocza, zabawna i zarazem wzruszająca do głębi.*

Nicola Yoon, autorka bestsellerów

*Ponad wszystko oraz Słońce też jest gwiazdą*



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-271-5806-2

EAN 9788327158062

U.WD.BEL041.1.01.01



Zabookowani